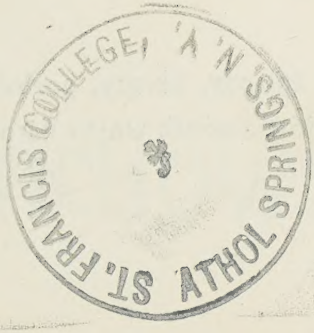

CZACHOWSKI.

BOJE POLSKIE.

Jlustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne
z dziejów naszych wojen narodowych.

POD REDAKCYĄ DR. MARYANA KUKIELA.
WYDAWCA KAROL RZEPECKI.

TOM IV.

ILUSTROWAŁ MARYAN RYBKOWSKI.
Z 4 MAPKAMI I PLANAMI.

STANISŁAW DŁUGOSZ.

CZACHOWSKI.

Library
St. Hyacinth College and Seminary
Granby, Massachusetts

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA.
NEW YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.
POZNAŃ 1914.
Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego w Poznaniu.

Digitized by the Internet Archive
in 2025

https://archive.org/details/czachowski0000stan

WSTĘP.

W historyografii polskiej daje się odczuwać dotkliwy brak sądu o 1863 r., opartego na szerokiej znajomości źródeł tej epoki i sumiennem ich zużytkowaniu. Wogóle trudno dziś jeszcze mówić o kategorycznej ocenie tej walki; zbyt świeże to wypadki, aby o nich można mówić z chłodnym spokojem, zwłaszcza, gdy ogromne zasoby źródeł są dotychczas niedostępne. Trzeba pomimo to jednak o ostatniem powstaniu pisać; przemawiają za tem trzy poważne względy: pierwszy z nich — to konieczność prostowania wręcz czasami mylnych opinii o 63 r., jakie znajdują dotąd prawie powszechne uznanie. W literaturze pięknej, w obchodach patryotycznych rocznicowych brzmiała zawsze nuta smutku i rozpaczy, kiedy potrącono o powstanie styczniowe; wspomnienia te były poprostu czynnikiem, odstraszającym społeczeństwo od śmielszych zamiarów i nadziei. Tymczasem kryje się niewątpliwie w r. 63 wiele momentów krzepiących i żywych; w imię tedy wyjawiania wszechstronnej prawdy dziejowej należy już dziś podjąć i prowadzić studya nad epoką powstania styczniowego. Drugi powód, który do pracy tej skłania, to obowiązek gromadzenia, grupowania i wyzyskiwania dostępnych nam źródeł, bo tylko przez to ułatwić można zadanie pracom następnym. Wreszcie wzgląd trzeci — to znaczenie ogólne historyi wojen,

Trzeba poznać r. 63, bo — jak się wyraża jeden z najwybitniejszych działaczy tego okresu — „młodzi nasi bracia lepiej i dokładniej znają wypadki za panowania Jana Kazimierza wydarzone, niż organizacyę narodową z rządem dla wrogów zasłoniętym i owe niestrudzone pochody oddziałów powstańczych pomiędzy batalionami i pułkami wojska rosyjskiego i boje, jakie z nimi staczać musieli powstańcy, służący narodowi bez żołdu, o chłodzie i głodzie."

Tematem niniejszego opracowania są dzieje oddziału Dyonizego Czachowskiego w województwie sandomierskiem od końca marca do początków listopada 1863 r. Rozpoczyna ten okres czasu rozsypka po bitwie grochowiskiej — kończy śmierć Czachowskiego. Bieg wypadków przedstawionych toczy się w granicach sandomierskiego; nie wyklucza to jednak, że dla rozmaitych względów — zatarcia, albo zmylenia śladów, wykonania dywersyi, zaciągu rekruta — opuszczał Czachowski sandomierskie — zawsze na b. krótko, czasem na kilka godzin. W każdym razie sandomierskie przyjąć należy za teren działań.

Źródła do dziejów tego zakątka Kongresówki w 63 r. są — co zresztą da się powiedzieć o wszystkich prowincyach Rzpltej — bardzo dalekie od stanu, który nazwaćby można zadowalającym. Przedewszystkiem mnóstwo źródeł rękopiśmiennych — bądź w postaci raportów władz cywilnych i wojskowych austryackich, pruskich, rosyjskich, bądź w postaci wspomnień i relacyi uczestników powstania — dotąd niewydanych zalega archiwa państwowe i rodzinne; do większości nie ma dostępu badacz. W ogromnej ilości wypadków zadowolić się trzeba pomocą przyczynków drukowanych i przygodnie zbieranych relacyi ustnych. Całość zdarzeń w pewnej części kraju dają pamiętniki; stanowią one poważne źródło dla badań, ale wymagają znacznego krytycyzmu przy posługiwaniu się nimi. Trzeba się tedy liczyć ze stronnością opo-

wiadania, naturalną zresztą, gdy się zważy łączność ścisłą narratora z wypadkami kreślonymi; dalej nie zawsze dopisuje pamiętnikarzowi pamięć — stąd nieścisłości chronologiczne i rzeczowe.

Z pamiętników, przydatnych w odtwarzaniu działań Czachowskiego, najszczegółowiej opisuje wypadki Drążkiewicz. Dokument ten posiada pierwszorzędną wartość ze względu na porządek chronologiczny wypadków; powstał on z notatek, czynionych w obozie, w czasie walki, przez jednego z jej uczestników — redakcyę jednak tych zapisek odnieść należy do czasów późniejszych (na książce jest data 1890 r.) i przypisać — zdaje się — nie autorowi. Pamiętnik napisany żywo i zajmująco; charakterystyka ludzi zawsze dobitna i jaskrawa. Wogóle odnoszenie się autora do wypadków cechuje wielkie umiłowanie sprawy i temperament żołnierski. Nie brak jednak tej książce i wad poważnych. Zbyt entuzyastycznie i pochopnie sądzi nieraz autor zdarzenia, zbyt śmiałe czasem i ryzykowne wygłasza wnioski, uogólniając chętnie znane sobie fakty na całe dziedziny wypadków. Cyfry podawane stoją często w żywej kolizyi z obliczeniami urzędowemi polskiemi, nie mówiąc już o źródłach rosyjskich, z któremi pod tym względem niemal zawsze Drążkiewicz się mija. Podobnie często napróżno szukać trzeba potwierdzenia faktów, podawanych przez Drążkiewicza z bezwzględną pewnością. W ogólności pamiętnik ten jest, można powiedzieć, typowym w swoich wadach i zaletach.

Mniej od Drążkiewicza systematycznym jest Ożegalski. Spisywany zresztą w czas jakiś po wypadkach, stracił wiele na bezpośredniości; brak dotkliwy dat szczegółowych i opisów topograficznych. Zato wielką doniosłość przedstawia pamiętnik ten dla dokładnej charakterystyki oddziału galicyjskiego, który pod Łopackim wkroczył do Kongresówki w kwietniu i poddał się rozkazom Czachowskiego. Pod tym względem stanowi Ożegalski źródło niezastąpione.

Innym nieco w charakterze swym jest pamiętnik X. Serafina Szulca, kapelana z obozu Langiewicza, służącego później pod Czachowskim. Drążkiewicz i Ożegalski w opowiadaniu swem są żołnierzami, którzy nieraz występują z mniej, albo więcej udatną oceną działań i metod walki. X. Szulc z natury swych funkcyi spełnianych w obozie, ogranicza się do protokółowania faktów — dość naogół zgodnego z innemi źródłami, przyczem, (co na karb jego zasług położyć wypada) w charakteryzowaniu ludzi umiał sądzić sprawiedliwie nawet tych, z którymi miał przykre osobiste zatargi, n. p. z Czachowskim. Pamiętnik spisany rychło po upadku powstania, ukazał się w druku już w 1868 r.

Z kolei innej strony wypadków 63 r. dotyka pamiętnik Zapałowskiego, jednego z czynniejszych członków cywilnej organizacyi narodowej w województwie sandom. Jedyny to większy ślad działalności org. cywilnej w sandomierskiem. Z tego powodu jest ten pamiętnik niepoślednim przyczynkiem dla poznania warunków, w jakich walczył Czachowski; przebieg walki przedstawiony zato pobieżnie. Wadą tych wspomnień — poza usterkami w treści — jest zbytnia szczegółowość tomu 2-go, t. j. opisu pobytu autora na wygnaniu na Syberyi; szkoda, że natomiast szerzej nie została potraktowana działalność w kraju w epoce powstania.

Do źródeł o charakterze pamiętnikarskim zaliczyć należy epizodyczne wspomnienia uczestników walk, umieszczane w wydawnictwach zbiorowych („W 40-ą rocznicę“, „Wydawnictwo materyałów“ i t. d.) i w czasopismach. O niektórych działaniach Czachowskiego, albo oddziałów, zostających z nim w kontakcie, informują pamiętniki Z. L. Sulimy, wykazujące bardzo często nieścisłość; stąd trudność w posiłkowaniu się nimi bez szerokich zastrzeżeń.

Osobny dział dokumentów stanowią wydawnictwa peryodyczne Rządu Narodowego („Wiadomości z pola bitwy“), zawierające raporty ze sto-

czonych potyczek, rozkazy dzienne, wykazy awansów i nagród. Jest to materyał wielkiego znaczenia, gdy idzie o stwierdzenie udziału pewnych osobistości w bitwach, o miejsce i czas walk. W kwestyach oświetlenia wypadków natomiast, zachować wypada pewną ostrożność.

Prasa współczesna może być czynnikiem wyjaśniającym wiele momentów niejasnych i pomocą w szeregowaniu chronologicznem faktów. Ale i tu

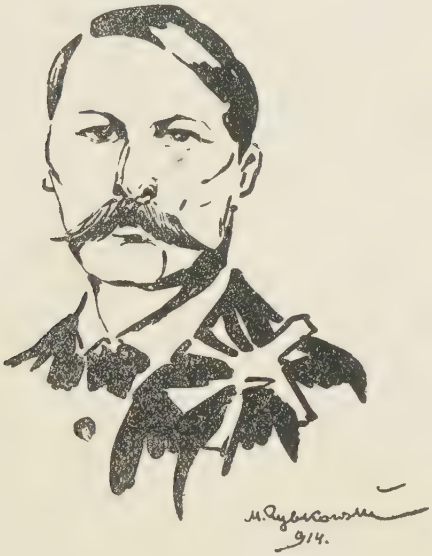

DYONIZY CZACHOWSKI.

przyjąć trzeba tę samą ostrożność, jak przy korzystaniu z pamiętników, zwłaszcza, że możliwe są wypadki podawania do publicznej wiadomości faktów wręcz fałszywych, w celu zmylenia wywiadów nieprzyjacielskich. Zato „dociąganie“ wiadomości do potrzeb agitacyjnych było na porządku dziennym (por. Koźmian: Rok 1863). W informowaniu ogółu

polskiego o postępach powstania prym oczywiście wiodą zabory austryacki i pruski, choć przychodziło nieraz staczać walki z administracyą, czułą na każdy objaw sympatyi dla zaboru rosyjskiego. Najlepsze stosunkowo o Czachowskim wiadomości posiada ze względu na dość blizkie sąsiedztwo terytoryalne Galicya, choć i czasopisma wielkopolskie dość są dokładnie informowane przez swych korespondentów. Prasa Kongresówki, związana warunkami cenzuralnymi albo milczała, albo powtarzała wiadomości, podane przez organa urzędowe. Pograniczne czasopisma niemieckie („Krakauer Zeitung", „Lemberg. Zeit." i „Schlesische Zeit.") miały wiadomości dość wiarogodne naogół, czerpały czasem stamtąd wydawnictwa polskie. Inaczej rzecz się przedstawiała w prasie rosyjskiej; oddajmy w tej sprawie głos oficyalnemu historykowi powstania, Bergowi, który tak charakteryzuje te stosunki: „W „Dzienniku działań wojennych" („Żurnal wojennych diejstwi"), który wychodził regularnie, numer za numerem ,przy Sztabie warszawskiego Okręgu Wojennego, „zaokrąglało się" wszystko w sposób należyty i w tej „zaokrąglonej" postaci szło na szpalty „Inwalida Rosyjskiego", a dopiero stąd przedostawało się do czytającego ogółu". Przysłowiowe legendy o „jedynym" kozaku, który zginął bez wieści, znalazły zupełnie zasłużoną ocenę ze strony dziejopisa rosyjskiego.

Podobnie ocenić trzeba inne wydawnictwa w rodzaju n. p. Pawliszczewa. Wyjątek przecież stanowi praca Gesketa, utrzymana w tonie ściśle fachowym, choć nie pozbawiona tendencyi.

Rolę pomocniczą w pracy niniejszej odgrywały wydawnictwa z zakresu geografii i topografii, odtwarzające teren opisywanych wypadków. W tym względzie większe trudności nastręczyło odszukanie ścisłych danych o drogach i stanie lasów; nie wystarczyły tu krótkie zarysy Szyca i Tatomira — odwołać się musiał autor do pracy Puzyrewskiego o 31 r. Wiele pomogły precyzyjnie wykonane mapy

współczesne wypadkom. Równolegle z rekonstrukcyą warunków topograficznych, postępować musiała rekonstrukcya metod wojennych i środków technicznych — a więc przedewszystkiem broni. Dość obfity materyał źródłowy o taktyce tego czasu, a partyzantce w szczególności, jest zupełnie dotąd nieuporządkowany; nie wiadomo co z tych przepisów, wydanych przez władze wojskowe polskie, zostało w praktyce przyjęte i zastosowane. Źródła pamiętnikarskie i nieliczne rozkazy dzienne są jedynem w sprawdzaniu oparciem. Rozporządzamy w każdym razie szeregiem podręczników, wydanych przeważnie przez b. wojskowych z 31 roku jeszcze przed wybuchem styczniowym, książeczki opublikowane w czasie powstania, a nawet po jego upadku. Gorzej jest, gdy chodzi o zbadanie broni tegoczesnej; w tym przedmiocie mamy broszurkę Józ. Gałęzowskiego o broni iglicowej, wprowadzonej w Rosyi i książkę Günthera, gdzie wszakże dział broni palnej okresu 63 r. jest traktowany bardzo zwięźle.

Przystępując do opracowania epizodu z dziejów 63 r. przy tak mało uporządkowanym materyale źródłowym do tej epoki, autor liczył się poważnie z trudnościami, których częściowe może pokonanie zawdzięcza w znacznej mierze pomocy osób życzliwych. To też niech mu będzie wolno wyrazić przedewszystkiem JWP. prof. Tokarzowi najżywszą i szczerą podziękę za nieszczędzenie drogiego czasu i wysoce cenne rady i wskazówki w rzeczach budowy i przyczynków źródłowych do pracy niniejszej.

ŹRÓDŁA:

1. „Czas". Kraków, 1863 r.
2. „Kronika". Kraków, 63 r.
3. „Goniec". Lwów, 63 r.
4. „Gazeta narodowa". 63 r.
5. „Tygodnik lwowski". 67 r.
6. „Dziennik literacki". Lwów, 63 4 r.
7. „Dziennik Poznański". 63 r.
8. „Nadwiślanin". Chełmno, 63 r.
9. „Dziennik powszechny". Warszawa, 63 r.
10. Drążkiewicz: Wspomnienia Czachowczyka. Lwów, 1890.
11. Ożegalski: Wspomnienia krwawych czasów. Kraków, 1903.
12. Schulz X.: Pamiętnik („Polska w walce", wyd Giller, Paryż, 1867).
13. Sulima: Wspomnienia ułana i pamiętnik powstańca. Poznań, 1879.
14. Wydawnictwo materyałów do historyi powst. Lwów, 1890.
15. „W 40-tą rocznicę powst. styczn.". Lwów, 1903.
16. Zapałowski: Pamiętniki. Wilno, 1913.
17. M. W. Berg: Zapiski o polskiem powstaniu. Kraków, 1898.
18. Gesket: Wojennyja diejstwja w C. P. Warszawa, 1894.
19. Pawliszczew; Siedmicy polskaho miatieża. Petersburg, 1887.
20. Chołodecki: Dowódzcy oddziałów w powst. styczn. Lwów, 1908.
21. Kolumna: Pamiątka dla rodzin polskich. Kraków, 1867 8.

LITERATURA POMOCNICZA:

1. Szyc: Rys geografii Król. Pol. (Klöden, Geogr. powsz. 1865).
2. Tatomir: Geografia fizyczna Polski. Lwów 1863.
3. Puzyrewskij: Wojna polsko-ruska 1830 31. Warszawa, 1899.
4. Sztolzman: Partyzantka. Paryż 1844.
5. (Chrzanowski) O wojnie partyzanckiej.
6. (Bystrzonowski?) Myśli przydatne do powstania. Paryż, 1863.
7. Powstanie pod względem wojennym. Warszawa 1863.
8. Regulaminy i instrukcye (wyd. Rz. N.) Warszawa, 1863.
9. X. Y. Z. (Kamieński): Wojna ludowa. Bendlikon, 1866.
10. Kozłowski: Sztuka wojenna (zasady taktyki i strategii). 1866.
11. Balck: Taktik. Berlin, 1909.
12. Widdern von: Der kleine Krieg u. d. Etappendienst. Berlin, 1906.
13. Günther Dr.: Geschichte der Handfeuerwaffen. Leipzig, 1909.
14. Mapa Król. Pol., wyd. w zarządzie Oberkwatermistrza Wojsk. Warszawa, 63.
15. Mapa dróg gub. Radomskiej. 1852.

I. Czachowski.

Do tradycyi wojska zwykła odnosić się opinia polska ze szczególnem umiłowaniem tego działu wspomnień narodowych. Wizerunek munduru żołnierskiego budzi zawsze poczucie dawnej świetności i siły; niedarmo mówili o nas obcy, że Polska jest krajem żołnierzy, skoro niebawem po utracie niezawisłości politycznej, zdobyła się na znaczny wysiłek organizacyjno-wojskowy w postaci legionów. Późniejsza armia Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego świadczyły wyraźnie o istnieniu w nas pierwiastka rycerskości, który pomimo ciężkich warunków politycznych, wydał w zakresie sprawności wojskowej jak najlepsze rezultaty.

Wojna 1831 r. zamyka w dziejach wojskowości polskiej okres armii regularnej; zamierzenia r. 48 w kraju i na obczyźnie są już cząstkowemi, nie podlegają żadnemu szerszemu systemowi. Organizacya zbrojna sił polskich wkracza na drogę dorywczości w formowaniu kadrów narodowych i najbardziej typowe kształty dla siebie znajduje w powstaniu styczniowem.

Jest pomiędzy walkami lat dawniejszych a rokiem 63 tragiczny przedział. Obok braku należytej organizacyi militarnej polega on przedewszystkiem na szczególnem położeniu prawnem żołnierza polskiego w powstaniu styczniowem. Starania, aby uznano w powstaniu jedną ze stron walczących, spełzły na niczem; dyplomacya rosyjska oświadczyła, że sprawę ruchu w Polsce uważa za sprawę wewnętrzną Rosyi — stąd każdy uczestnik powstania był wyjętym z pod prawa przestępcą, ściganym tak, jak chcą tego przepisy karne. Zaprowadzenie rządów wojskowych otwierało pole wszelkim nadużyciom. Te niezwykłe warunki prawne stanowiły jednak tylko część tego, na co narażony był żołnierz powstańczy; w stałem pogotowiu musiał on

spędzać ogromną część nocy pod gołem niebiem, w rozmaitych warunkach atmosferycznych; pozbawiony regularnej dostawy żywności, odzieży, broni i amunicyi, nieraz przepędzał ciężkie chwile głodu; kiedy już rozwiała się nadzieja osiągnięcia celu na drodze walki samodzielnej, bił się później o to, aby przedłużyć sprawę do oczekiwanej pomocy zewnętrznej, aby „krew przelana zakreśliła przyszłe granice niepodległej Polski". Z powodu tych właśnie tak różnych warunków, w jakich rozwijała się walka 63 r., trzeba sięgnąć po inną miarę w ocenie i charakterystyce żołnierza powstańczego, niż ta, którą zwykliśmy mierzyć stosunki normalne i codzienne.

Już samym wyglądem zewnętrznym nie mogła „partya" przypominać świetnych szwadronów jazdy i pułków piechoty liniowej z 31 r. Niejednolitości odzieży, w przeważnej większości ciemnej i pozbawionej wszelkich ozdób, towarzyszyła o wiele boleśniejsza różnorodność broni: od karabinu rosyjskiego, lub ulepszonego sztućca belgijskiego, od myśliwskiej dubeltówki, lub pojedynki, aż do kosy. Były przecież wypadki, że kołek, wyrwany z płota stanowił broń. Starszyzna oddziału partyzanckiego nie różniła się wiele od żołnierskiej braci; szarfa o barwach narodowych na lewym rękawie lub piersi wyodrębniała dowódzcę od podkomendnych. Inne też nieco zadanie ma przed sobą oficer partyzancki od oficera armii regularnej; nie wystarczą tu umiejętności, nabyte w szkole wojskowej. Dowódzca oddziału musi zdobyć wiedzę zwyciężania wielekroć liczniejszego i lepiej uzbrojonego wroga, niepokojenia go w każdej godzinie dnia i nocy, nękania nieustannymi podchwytami, odcinania go od siły głównej — słowem niszczenia stopniowego sił moralnych i fizycznych wroga. Stąd musi oficer powstańczy znać szczegółowo terytoryum, za którem działa — każde większe skupienie lasów, środki komunikacyjne lądowe i wodne, oryentować się musi dobrze w usposobieniu ludności.

W liczbie oficerów i wodzów styczniowego powstania był człowiek, który wysunął się na czoło powstania sandomierskiego, nie zawdzięczając tego wykształceniu wojskowemu, ale tym właśnie przymiotom, bez których działanie skuteczne w wojnie podjazdowej jest niemożliwością. Był to Dyonizy Czachowski. O jego przeszłości przedpowstaniowej małe doszły nas informacye. Pochodził z rodziny szlacheckiej, osiadłej niegdyś na Podolu; w chwili, kiedy wybucha powstanie styczniowe, jest Czachowski człowiekiem 60-kilkoletnim, oddanym rolnictwu i myśliwstwu. Czy brał udział w wojnie 31 r. — twierdzićby bezwzględnie nie podobna; nie wszystkie bowiem źródła potwierdzają tę wiadomość. W ruchu narodowym przed 63 rokiem nie był z pewnością jednym z przywódców, notują jednakowoż źródła jego współudział w pogrzebie 5-u poległych ,gdzie występował jako delegat województwa sandomierskiego; do tego czasu odnieść należy fotografię Czachowskiego w stroju cywilnym, ozdobionym kokardą narodową.

W pierwszych zaraz dniach powstania Czachowski wyrusza na punkt zborny pod Ś-tym Krzyżem, gdzie organizował się oddział pod wodzą Prędowskiego; wyrusza, porzuciwszy swój zawód dzierżawcy, wierząc w swoje siły pomimo siódmego krzyżyka, jaki dźwigał na swych plecach. „Jak każdy bałaguła, mając wstręt do książki, nie wdawał się pan Dyzma w żadne kombinacye wyższej polityki, a nie miał pretensyi do badania tajemnic Komitetu Centralnego w Warszawie". Zrozumiał tylko jasno, że czas już porzucić wszystko i pójść za nakazem sumienia.

Był Czachowski uosobieniem wodza partyzanckiego. Nieustraszona odwaga łączyła się u niego z tak dokładną znajomością terenu, na jakim prowadził akcyę, że — zdawaćby się mogło — znał każdą ścieżkę, każdy przesmyk leśny, każdy jar. To też zawsze prowadził swój oddział najkrótszą drogą i w miejsca najbardziej ubezpieczone, gdzie

najłatwiej było organizować się na nowo po doznanej klęsce, albo spocząć po śmiertelnie utrudzającym marszu i bitwie.

Z temi zaletami, jako stary, wypróbowany myśliwy, bez żadnego bodaj wyszkolenia militarnego, dostaje się Czachowski z punktu zbornego do obozu Langiewicza. Został tu czasowo szefem sztabu, ale ta funkcya bynajmniej nie odpowiadała ani jego uzdolnieniom, ani upodobaniom. Wogóle dziwnie odbijać musiał ten człowiek od środowiska, jakie otaczało przyszłego dyktatora; w zgiełkliwym tłumie, gdzie tyle było bezładu, a czasem nizkich apetytów na godności, tytuły, odznaki, na łatwy awans bez istotnych zasług, w tym tłumie wytworzyć sobie musiał Czachowski swój odrębny sąd o powstaniu, o metodach walki powstańczej. Stał się później ten sąd podstawą i źródłem działań samodzielnych, które wyniosły Czachowskiego na jedno z wybitniejszych miejsc w 63 r. Przedewszystkiem zaś baczna obserwacya wszystkich niedomagań i braków obozu langiewiczowskiego, pozwoliła Czachowskiemu wydobyć z siebie ogromny zasób energii w nim tkwiącej i zużyć tę energię w walce z brakiem inicyatywy i niesfornością swoich i przemożną siłą obcych.

Pod Langiewiczem dowodzi Czachowski batalionem strzelców w randze majora; ten „trzeci batalion był ulubionym przez Langiewicza z powodu doboru ludzi, karności przestrzeganej ściśle i nieustraszonej odwagi w czasie boju, połączonej z zimną krwią i wesołym zawsze humorem.“ W obozie sandomierskiego wojewody nie jest Czachowski jednym z licznych sztabowców o funkcyach szumnie nazywanych. Jako major, a później jako pułkownik do samego końca działań Langiewicza poświęca się niezmiennie służbie liniowej. Brak wykształcenia wojskowego zastępowały u Czachowskiego inne cechy — dla żołnierza i dla wodza wojny podjazdowej niezbędne; obok szerokiej znajomości terenu walki, był Czachowski po-

mimo podeszłego wieku niezwykle wytrzymały na obozowe trudy, a jego stanowczość w przeprowadzaniu poleconej mu akcyi, mogła być wzorem dla człowieka w pełni sił męskich. Natura despotyczna, nie znosząca oporu ze strony podwładnych, nie tolerował żadnych wykroczeń służbowych: karał je niezwłocznie w miarę stopnia winy — poczyna-

KLASZTOR Ś. KRZYŻA.

jąc od doraźnej rozprawy batogiem, a skończywszy na rozstrzelaniu. Polecenia władzy wypełniał ściśle i bez szemrania; czasem tylko odezwie się w nim niepohamowana natura, gdy spostrzeże dziwny brak decyzyi silnej i inicyatywy ze strony kierownictwa, jak np. pod Pieskową Skałą, kiedy oburzony bezczynnością — sam, bez rozkazu, pro-

wadzi swój batalion do boju. Karność jednak w stosunku do władz zaczyna w Czachowskim słabnąć, kiedy widzi upadek myśli organizacyjnej i jasnej woli w działaniach; wtedy już nie waha się myśleć o opuszczeniu środowiska langiewiczowskiego, do czego mu dopomógł rozwój wypadków, zakończony wyjazdem Langiewicza do Galicyi i rozproszeniem podległych Dyktatorowi oddziałów.

Langiewiczowi oddał Czachowski ogromnego znaczenia usługi, nie jako doradca o szerokim poglądzie na sprawy powstania (choć do rady bywał powoływany i zdanie jego ceniono), ale przedewszystkiem jako wykonawca poleceń trudnych, często wręcz niemożliwych, wykonawca sumienny, uparty w swojej sumienności aż do bohaterstwa. Przegląd kampanii Langiewiczowskiej od pierwszych jego działań poważniejszych, aż do ostatniej sprawy pod Grochowiskami, wykazuje we wszystkich akcyach udział Czachowskiego bezpośredni, czynny, nierzadko decydujący o losach korpusu powstańczego.

Długi szereg tych akcyi rozpoczyna starcie pod Suchedniowem. Organizujący się pod dowództwem Langiewicza oddział w kotlinie Wąchocka, ubezpieczony był między innemi posterunkiem w Suchedniowie, który zajmował ze swym batalionem Czachowski. Posterunek to ważny — należyte wypełnienie zadań z nim związanych miało rozstrzygnąć o możliwości wyszkolenia sił zgromadzonych w Wąchocku. Zadanie to polegało głównie na: 1) bacznem śledzeniu traktu suchedniowskiego, przejmowaniu korespondencyi i t. d. i 2) na obowiązku osłonięcia obozu wąchockiego w razie nadejścia nieprzyjaciela.

Wiadomość o pracach organizacyjno-powstańczych, w Wąchocku podjętych, spowodowała ze strony radomskiego okręgu wojennego ekspedycyę, która wyruszyła z Radomia 2 lutego pod wodzą generał-majora Marka w sile: batalion piechoty, kompania saperów, 2 działa lekkie gwinto-

wane i 20 kozaków. Jednocześnie z Kielc wysłany był przez pułk. Czengierego do Radomia dywizyon (2 szwadrony) dragonów noworosyjskich; dowodził nim major Krasinskij. Z Szydłowca wysłał Mark do Krasinskiego rozkaz połączenia się z ekspedycyą radomską. W Suchedniowie jednak ujęty został przez Czachowskiego wiozący ten rozkaz porucznik Łuskino i odwieziony do Wąchocka. W ten sposób posterunek polski zyskał szczegółowe wiadomości o zamiarach gen. Marka. Tymczasem dragoni Krasinskiego w marszu natknęli się na zburzony most na rzece Łosienicy, a na przeciwległym brzegu na oddział powstańczy; zawiadomiony o tem Czengiery, wysłał dragonom pomoc w sile 3 kompanii piechoty i 60 kozaków. Most naprawiono i cała ekspedycya południowo-kielecka weszła do Suchedniowa. Okazało się, że miasto jest wolne od powstańców. W istocie jednak część posterunku suchedniowskiego ukrył Czachowski po domach w mieście, a częścią pozostałą obsadził las z obu stron drogi, wiodącej z Suchedniowa na północ, w kierunku Szydłowca. Otrzymawszy powtórny od Marka rozkaz połączenia się, ruszył Krasinskij z dragonami na Bzin do Szydłowca, pozostawiwszy w Suchedniowie piechotę. Ledwie jednak wstąpił na drogę, tworzącą w tem miejscu leśną ciaśninę, kiedy zasadzka polska, przepuściwszy czoło kolumny, dała do maszerujących salwę; zawiązała się walka. Na odgłos strzałów przybiegli z Suchedniowa kozacy, a w ślad za nimi major Bentkowskij z piechotą, pozostawiwszy w Suchedniowie tabor pod osłoną plutonu z oficerem na czele. Skorzystała z tego część posterunku polskiego, ukryta w mieście i uderzyła na eskortę; niewątpliwie cały tabor dostałby się w ręce polskie, gdyby nie odsiecz Bentkowskiego, który wracał spiesznie do miasta z dwiema kompaniami piechoty.

Zbierając swój batalion, odstępował Czachowski w kierunku Wąchocka; po drodze, w Parszowie

zniszczył jeszcze most. Mark tymczasem, połączywszy się z oddziałem kieleckim (przybyły jeszcze 2 kompanie piechoty) w Milicy, odległej od Wąchocka o 12 wiorst, wyruszył w kierunku obozu langiewiczowskiego. W Parszowie zatrzymała go reparacya mostu, a kiedy przybył do Wąchocka, napastowany dwukrotnie przez kawaleryę polską, — nie zastał w mieście nikogo. Langiewicz pociągnął w lasy. Dzięki akcyi Czachowskiego, jak zauważa historyk rosyjski, działanie ekspedycyi radomskiej opóźnione zostało na 24 godziny. To wystarczyło, aby Langiewicz mógł opuścić ze swym jeszcze niezorganizowanym oddziałem miejscowość, niedogodną dla przyjęcia bitwy. Z pierwszego egzaminu ogniowego wyszedł Czachowski zwycięsko; wykazał samodzielność i rzutkość w planie operacyjnym — śmiałość w wykonaniu. Akcya suchedniowska będzie dla niego typową formą działania.

Pod osłoną Czachowskiego ściągnął Langiewicz obóz wąchocki i ustąpił w góry Św-Krzyskie, nieścigany przez nikogo, bo ekspedycye rosyjskie powróciły obie do Radomia i Kielc. Korzystając z czasu, Langiewicz rozbił obozowisko na stokach Łysej Góry, w miasteczku Nowa Słupia, a w klasztorze Św-Krzyskim umieścił chorych, składy, drukarnię polową i t. d. pod eskortą 50 kosynierów i 30 strzelców. Już w ośm dni jednak od starcia suchedniowskiego, wyruszył z Kielc pułkownik Czengiery i, rozdzieliwszy kolumnę swą na dwie części, z dwu stron usiłował atakować obóz powstańczy: część pierwsza z podpułk. Sorniewem leśnemi ścieżkami zdążała do klasztoru, część druga z Czengierym uderzyła na obóz w Nowej Słupi, zasypując go kartaczami. Do zagrożonego klasztoru za odgłosem pierwszych strzałów poszedł z odsieczą batalion Czachowskiego; jak donosiło w kilka dni później sprawozdanie, „walka szczególnie zaciętą była na górze.“ Napad na klasztor odparto, a tymczasem główna siła zdążyła z No-

wej Słupi wycofać się w lasy. Niespodziewany opór słabo obsadzonego klasztoru zmusił Czengierego do oczekiwania bezczynnego na posiłki z Kielc, w postaci dział gwintowanych. Ta zwłoka znów pozwoliła Langiewiczowi zgromadzić siły i uprowadzić je do Staszowa. Tu, w Staszowie, znów wynika sytuacya, w której batalion Czachowskiego wytrzymuje długi czas ogień piechoty nieprzyjacielskiej w podpalonym budynku, gdzie według rozkazu ma „trwać do upadłego". W rezultacie nieprzyjaciel zmuszony został do odwrotu, poniósłszy straty.

Zarówno w wypadkach, gdzie chodziło o inicyatywę, jak i wtedy, gdy wymagano od Czachowskiego posłuszeństwa ślepego i uporczywej wytrwałości — zawsze okazywał pełnię przymiotów dowódzcy partyzanckiego. Najcięższą jednak próbę bojową przeszedł on sam i podległy mu oddział w bitwie pod Małogoszczą. Na pozycyę Langiewicza wyruszyły 24 lutego oddziały rosyjskie z trzech stron: pułkownik Czengiery (3 komp. piech., szwadron drag. i 2 działa), podpułkownik Dobrowolskij (3 komp. piech., szwadr. drag. i 2 działa) i major Gołubow (3 komp. piech.). Langiewicz, który wbrew radom wyższych oficerów (gen. Jeziorańskiego) postanowił wydać w Małogoszczy bitwę, ujrzał się zaskoczonym wobec nagłego pojawienia się kolumn Gołubowa i Dobrowolskiego. W pospiesznej dyspozycyi bojowej przypadł Czachowskiemu posterunek na prawem skrzydle nieprzyjaciela. „Bił się tam Czachowski, nie uważając na to, co się naokoło niego działo. Z dubeltówką w ręku idąc naprzód, zagrzewał przykładem". Chciał on przebić się przez nieprzyjaciela i dostać się w lasy Ropockie, w których mu dobrze była znaną każda drożyna — z nich przejść w znane mu jeszcze lepiej lasy Śto-Krzyskie — mówi o nim gen. Jeziorański, potwierdzają to i inni świadkowie. To męstwo okazane przez batalion Czachowskiego i atak kawaleryi Jeziorańskiego,

zatrzymały nieco napór nieprzyjacielski. Korzystając z tego, Langiewicz pod osłoną Czachowskiego przebył z oddziałem wbród rzekę Łośnę. Jednak doświadczenie starć minionych, gdzie już poczęły stawać się coraz widoczniejszymi braki Langiewicza jako wodza wojny partyzanckiej, usposobiło Czachowskiego krytycznie wobec kierownika naczelnego. Daje temu wyraz w rozmowie z Jeziorańskim przed bitwą małogoską. Niezadowolenie to wzrasta w miarę tego, jak Langiewicz okazuje niechęć do działań drobnych, partyzanckich, jedynie przy ówczesnym stanie siły polskiej wskazanych, a w fatalnych swych ambicyach — wodza armii regularnej — widzi jedyny ratunek.

To niezadowolenie Czachowskiego, zanim przybierze konkretne formy w chęci odłączenia się od oddziału Langiewicza, wybucha od czasu do czasu w pewnych wystąpieniach, kiedy brak jakiegokolwiek rozkazu ze strony wodza zmusza Czachowskiego do kroków niezawsze celowych i owocnych.

Tak np. w Pieskowej Skale, nie mogąc się doczekać na rozkaz ruszenia do bitwy, kiedy nieprzyjaciel podchodził już pod zamek, prowadzi Czachowski swój batalion w ciasny jar — aby zbliżyć chwilę spotkania z oddziałem rosyjskim. Za jego przykładem idą i inni; odwrót musiał być bardzo powolny, bo na pospiech nie pozwalał natłok ludzi.

Wreszcie już po ogłoszeniu nieszczęsnej dyktatury, w starciu pod Chrobrzem 17 marca, Czachowski, tworzący aryergardę oddziału, rozwinął linię tyralierów przeciw prawemu skrzydłu nieprzyjaciela. Kiedy próżno czekał na rozkazy, powziął postanowienie uderzyć samemu na nieprzyjaciela; tak też zrobił. Dowodzący Rosyanami gen. Szachowskoj zrozumiał ten atak jako manewr oskrzydlający i wstrzymał swe kolumny, przez co pozwolił Czachowskiemu wejść w opodal ciągnące się lasy, a Langiewiczowi umożliwił spokojny od-

wrót. Tegoż dnia jeszcze wieczorem znużony oddział Langiewicza natknął się w folwarku wsi Wełecz na obozującego tam Czachowskiego. Wyraźna chęć opuszczenia dyktatora miała się już w dniu następnym przyoblec w kształty realne.

Na pozycyę Langiewicza pod Grochowiskami 18 marca z dwu stron podchodzili Szachowskoj i Czengiery. Rozpoczęła się bitwa, która miała być ostatnią bitwą dyktatora goszczańskiego. Pod gradem kul stał Langiewicz w otoczeniu swojego sztabu na fatalnej grobli grochowiskiej, w strasznej bezradności wobec popłochu, jaki opanował polskie szeregi. Na prawem skrzydle linii bojowej walczył Czachowski. Czengiery upartego w nim znalazł przeciwnika. Korzystając z terenu pagórkowatego i zarośniętego, podsuwał Czachowski swoich tyralierów pod nieprzyjacielskie kolumny, aż wreszcie uderzył całą siłą, przebił się przez nie i, straciwszy wprawdzie kilkudziesięciu ludzi, dostał się w las gęsty. To posłużyło mu do spełnienia dawno powziętego zamiaru opuszczenia oddziału Langiewicza.

Późniejsze losy korpusy langiewiczowskiego znane są dostatecznie. Z przejściem wodza naczelnego do Galicyi skończyła się działalność tego oddziału, z którym związane było tyle nadziei. Siła, zgromadzona znacznemi ofiarami, uległa rozproszeniu całkowitemu; na obszarze województwa sandomierskiego pozostał Czachowski z batalionem piechoty.

Z przedstawionego krótko powyżej udziału Czachowskiego w kampanii Langiewicza wynika, czego mógł nabyć i co nabył w zakresie sztuki wojowania. Te dwa niespełna miesiące pobytu w oddziale były dobrą szkołą wytrzymałości na trudy wojenne i próbą ogniową, nie mogły być jednak szkołą karności wojskowej, ani kształceniem umiejętności wojskowych. Widoczna na każdym kroku bezplanowość w działaniach odpornych, brak wogóle działań zaczepnych o pewnym określonym

GUB. RADOMSKA

według mapy Królestwa Polskiego wykonanej w zarządzie

Granica

Miejsce bitwy

Król. Pol.
RADOM
KIELCE
OPATÓW
SANDOMIERZ
Jedlinsk
Skrzynno
Skaryszew
Wittenica
Jastrząb
Jzca
Brody
Bodzentyn
Wąsiwin
Paluszyce
Łagów
Pacanów
Busko
Stopnica
Baranów
Zawichost
Klimontów
Jurkowice
Wyprzenica
0 6 12 24 36 48

planie, nie mogły dać jasnego pojęcia o zasadach walki. W szczęśliwszem położeniu pod tym względem był batalion podległy Czachowskiemu; naznaczony jako ubezpieczenie w czasie postoju, albo osłona w przemarszu, nietylko przeszedł chrzest ognia niejednokrotnie, ale nabrał znajomości kierowania walką samą, a nietylko przygotowaniami do niej. Niezwykle silny w Czachowskim czynnik inicyatywy, niezawsze jednak miał możność wyzwolenia się z krępującej zależności od naczelnego kierownictwa, które zapoznawało znaczenie działań drobnych z pozoru, w istocie przecież stanowiących jedynie możebną formę walki. Kiedyś, później, żachnie się Czachowski nieraz na wspomnienie owych rozległych zamiarów dyktatora, który pod pozorem, że „dość już tej partyzanckiej latanіny", gubił bezczynnością skoncentrowane w miejscu siły.

Sprawność wojskową Czachowskiego w chwili, kiedy opuszczał rozsypujący się oddział Langiewicza pod Grochowiskami, można sprowadzić do następujących czynników: 1) nieporównana znajomość terenu walki, 2) wybitna inicyatywa bojowa, 3) nieustępliwość w przeprowadzeniu planu, 4) bystrość w odgadywaniu zamiarów przeciwnika, 5) silne poczucie karności.

Siła, jaką uprowadził Czachowski z bitwy grochowiskiej, wynosiła batalion piechoty; organizacya wewnętrzna tego oddziału jest badaniu trudno dostępną. Składać się musiał (podobnie, jak inne bataliony langiewiczowskie) z 3 kompanii, z których dwie pierwsze uzbrojone były w broń palną — w części bagnetową, w części myśliwską — a ostatnia była kosynierską. Liczbowa siła tego batalionu wynosiła, po stratach bitwy grochowiskiej, około 300 ludzi. Rola jego dowódzcy zmieniła się zasadniczo: z podkomendnego, który odpowiadał jedynie za wykonanie sumienne rozkazów wodza naczelnego, przeobraża się Czachowski siłą rzeczy, zanim jeszcze przyjdą urzędowe nominacye, w ko-

mendanta jedynego wówczas w Sandomierskiem oddziału, a więc odpowiedzialnego za dalsze losy powstania w tem województwie. Otwierało się teraz przed nim pole działań samodzielnych, tem trudniejszych, że poczynanych po klęsce, po rozsypce, w ogólnym upadku ducha i zwątpieniu w przyszłość. Musiał mieć Czachowski świadomość tego, kiedy swój uszczuplony batalion przeprowadzał lasami, dążąc na północny wschód, ku puszczy iłżeckiej. Otworzyć tę drogę — z pod Grochowisk do lasów Iłży z zupełnie ścisłą dokładnością niepodobna. Była ona mocno poplątaną ze względu na liczne, przetrząsające okolicę, oddziały rosyjskie, które należało za wszelką cenę omijać, aby nie doprowadzić do zguby tej resztki dyktatorskiej armii. W dwa dni po bitwie grochowiskiej, 20 i 21 marca słychać o drobnem starciu, prawdopodobnie jednego z podjazdów rosyjskich, z jakimś oddziałem polskim w okolicach Chmielnika (ok. 3 mil na półn.-wschód od Pinczowa). Był to — należy sądzić — Czachowski. Widział go po upadku dyktatury w okolicy Książa Wielkiego pułk. Czengiery i przedsięwziął poszukiwania w lasach opatowskiego pow. ze wszystkiemi 16 kompaniami kieleckiego garnizonu, ale ani ta wyprawa, ani ekspedycya radomska pułk. Ernrotha — nie dały żadnych wyników. Wyprawy te dowodzą pewnego zaniepokojenia, jakie powstało w rosyjskich sferach wojskowych, gdy stwierdzono, że gdzieś, po lasach tuła się jeszcze jakiś oddziałek, choć odcięty od rozproszonej siły głównej, przecież sam nie rozbity, nie zdezorganizowany.

Ale stokroć większą wartość moralną miało ocalenie batalionu Czachowskiego dla ludności województwa, dla opinii krajowej, upadkiem Langiewicza zaskoczonej. Jeszcze długimi miesiącami walki usprawiedliwi Czachowski nadzieje, jakie obudził powszechnie, wyprowadziwszy resztkę z odmętu bitwy grochowiskiej.

II. Terytoryum i siły stron obu.

1. Kraj i ludność.

Mianowany w rozkazie dziennym z dnia 20 kwietnia 1863 r. naczelnikiem wojennym województwa sandomierskiego, został Czachowski wodzem wszystkich oddziałów zbrojnych, jakie się na tem terytoryum znajdowały. Województwo sandom. wedle podziału, opartego o organizacyę Król. Kongr. z 1816 r., stanowiło północną część gub. radom. z 63 r., a mianowicie cztery jej powiaty — tyle pod względem rozległości mniej więcej, co gub. radom. dzisiejsza. Niepodobna wszakże działań w tem województwie traktować niezależnie od pozostałych 4 powiatów południowych, stanowiących wojew. krakowskie. W praktyce zresztą ten podział gub. radom. na dwa województwa miał bardzo małe zastosowanie, gdyż w razie potrzeby zarówno przeciwko oddziałom sandomierskim, jak i krakowskim wyruszały wojska z całej gub. radom. Być może, że i ten wzgląd między innymi spowodował Rząd Narodowy do połączenia później godności wojewodów sandom. i krak. w rękach gen. Bosaka.

Gubernia radomska w podziale administracyjno-politycznym Kongresówki z 1863 r. obejmowała 8 powiatów: radomski, opoczyński, opatowski, sandomierski (sandomierskie) i kielecki, stopnicki, miechowski, olkuski (krakowskie). Obszar gub. radomskiej obejmował 439 mil kwadrat. Ludność wynosiła 960 633 (według spisu z 1861 r.) o dość znacznej gęstości zaludnienia w porównaniu z innemi okolicami Królestwa. Naturalną granicę gubernii od północy i zachodu stanowiła Pilica, od wschodu i południa — Wisła.

Kraj wogóle rolniczy, był jednak w r. 63 już znacznie uprzemysłowionym. Zawdzięczać to należy bogatym pokładom rudy żelaznej, ciągnącym się w okolicach Kielc, Bodzentyna, Wąchocka, Opatowa, Kunowa i Iłży. Wydobywanie zorganizowane

było przez zakłady górnicze rządowe w Suchedniowie i prywatne w pow. opatowskim, stopnickim, kieleckim, opoczyńskim, olkuskim. Oprócz rudy żelaznej, okolice Chęcin, Olkusza i Kielc, dostarczały ołowiu, miedzi, galmanu i węgla kamiennego. Fabryki i zakłady górnicze skupiały znaczną ilość proletaryatu wyrobniczego, który był już wówczas elementem uświadomionym i usposobionym rewolucyjnie. W raporcie z pierwszych ruchów powstańczych w sandom. pisał generał Uszakow: „We wszystkich prawie rządowych zakładach górniczych był przygotowany oręż dla powstania; do 22 stycznia prawie wszystkie stanęły pustkami — robotnicy pod dowództwem urzędników udali się do oddziałów.“ Majorem, a następnie pułkownikiem piechoty u Langiewicza jest urzędnik zakładu suchedniowskiego — Dawidowicz, w oddziałach licznie służą robotnicy.

W środki komunikacyjne była gub. radomska dość ubogą. Wodna komunikacya — z wyjątkiem Wisły — była wykluczona zupełnie. Linia kolei żelaznej warszawsko-wiedeńskiej przerzynała południowo-zachodni kąt gubernii, bez żadnego znaczenia dla operacyi wojennych. Jako gałęzie drogi bitej pierwszego rzędu (żwirówki) Warszawa-Kraków, szły drogi: Radom-Kurów i Kielce-Sielpia. Żwirówki drugiego rzędu łączyły punkta uboczne. Z charakteru opisywanych wypadków wynika, że stan dróg nie wpływał decydująco na bieg faktów: dla oddziałów polskich nie miało to znaczenia, gdyż dróg większych, bardziej uczęszczanych, unikano; dla Rosyan, którzy w ciągu całej kampanii Czachowskiego nie używali dział[1]), również był obojętnym stan dróg, pomimo, że posiłkowano się w ekspedycyach bardzo często podwodami. Na całym obszarze gubernii jedna tylko linia telegraficzna biegła z Warszawy przez Radom do Puław.

---

[1]) Raz jeden użył ich Czengiery, ostrzeliwując kartaczami opuszczone już obozowisko.

Była gub. radom. jedną z najbardziej górzystych części Królestwa, dzięki wyżynom sandomierskiej i krakowskiej. Tu należą przedewszystkiem Łysogóry. „Trzon ich — pisze geograf ówczesny — rozsiadł się szeroko pomiędzy prawym brzegiem Pilicy a lewym Wisły i uchodzącą do tej rzeki Kamienną. Linia pomyślana od Przedborza nad Pilicą na Radoszyce, Końskie, Ostrowiec i wzdłuż rzeki Kamiennej aż po jej ujście, stanowi dokładną granicę właściwych Łysogór od wschodu.

Po za tą granicą poczynają się już gromady przechodowych pagórków. Zresztą nie mają one zupełnie charakteru gór — przechodzą w równiny, nieznacznie tylko pogarbione, lub gubią się miejscami całkiem pomiędzy podmokłemi łąkami i moczarami. Dopiero na południowym zachodzie od pomienionej linii poczyna się kraina poprzerywana dolinami i spiętrzona miejscami do znacznej wysokości z wybitną cechą okolic górzystych. Ku dolinie Wisły opadają naglej te grzbiety górzyste i spiętrzają lewy brzeg tej rzeki". O wyżynach tych i łańcuchach górskich wyraża się strategik rosyjski, że „jakkolwiek nie odznaczają się one wielką wysokością, przedstawiają jednak bardzo strome przeważnie stoki, zbrużdżone głębokimi parowami, wąwozami i bagnistemi dolinami licznych rzek, okryte wreszcie ogromnymi lasami. Z tego powodu stają się po większej części niedostępnemi".

Lasy zajmowały w tym czasie ⅓ rozległości Królestwa. Zalesienie gub. radom. stanowiły kępy w okolicach Kozienic, Radomia i bory świętokrzyskie, ciągnące się wzdłuż gór. „Obfitość lasów — pisze historyk rosyjski — była istotnym warunkiem powodzenia dla działań powstańczych: lasy dawały im schronienie i uniemożliwiały wywiady kawaleryi rosyjskiej i bez tego zresztą słabe. Prócz tego oddziały powstańcze mogły oryentować się w lasach bez porównania lepiej, niż Rosyanie. Szczególnie lasy utrudniały ruchy wojsk tam, gdzie zjawiały się na terenie górzystym, jak np. w okr.

radomskim". Istniały w sandomierskiem trzy znaczniejsze grupy leśne: puszcza kozienicka, ujęta od północy w widły Pilicy i Wisły, dochodząca na południu do Zwolenia, była terenem działania partyi przeważnie nie sandomierskich, ale mazowieckich lub podlaskich, które chroniły się w ten zakątek dla zaczerpnięcia nowych sił po utrudzającej walce. Znaczenie tej puszczy dla partyzantki potęgowały liczne, szczególnie na północy, bagna. Natomiast słabą stroną tych pozycyi było zamknięcie z dwu stron odwrotu — przez rzeki Wisłę i Pilicę; to spowodować mogło w razie oskrzydlenia klęskę (Kononowicz, Jankowski). Drugie większe skupienie leśne — to lasy iłżecko-świętokrzyskie, rozłożone przeważnie szerokim pasem na lewym brzegu rz. Kamiennej. Tutaj, na południe od Iłży, były główne punkty oparcia oddziałów polskich w zachodniej części sandomierskiego (pod Lipiem, „Piekło"). Zachodnim swym krańcem lasy iłżeckie dotykały lasów opoczyńsko-koneckich z puszczą radoszycką i należącym do rzadkości ostępem samsonowskim, obfitym w modrzewie.

Pora roku, w której Czachowski rozpoczynał samodzielną walkę, odpowiadała potrzebom oddziału. Był właśnie początek wiosny, po chłodach zimowych długo oczekiwanej przez tych, którzy nocowali przeważnie pod gołem niebiem. Zaczynały się dni cieplejsze ,dość pogodne, choć nocami nieraz jeszcze bywały przymrozki. Ziemia przecież tak bardzo była nasiąknięta wilgocią, że często żołnierz, wstając ze snu, widział na mchach leśnych odciśnięty kształt swojej postaci, wypełniony wodą. Kiedy przyszły ciężkie tygodnie rozsypek, marszów lisich, czajeń się po wykrotach, kiedy unikano tropiących oddziałów rosyjskich — wyszedł zakaz rozniecania nocą ognisk; wtedy chłód bywał jeszcze dokuczliwszy.

Rozpatrując stosunek ludności woj. sand. do powstania, musimy rozpatrzyć kolejno stosunek wszystkich warstw i stanów. Przedewszystkiem

szlachta — klasa w 63 r. najzamożniejsza. Podobnie, jak w innych okolicach, odnosiła się na początku powstania z rezerwą do wystąpień zbrojnych, ulegając powszechnie w sprawach polityki stronnictwu „białych". Znana misya Karskiego, który jeździł do Langiewicza z propozycyą zaniechania kroków wojennych, kiedy z obu stron padły już pierwsze strzały, może być do pewnego stopnia miarą stosunków szlachty sandomierskiej na początku ruchu. Stosunek ten zmienia się radykalnie

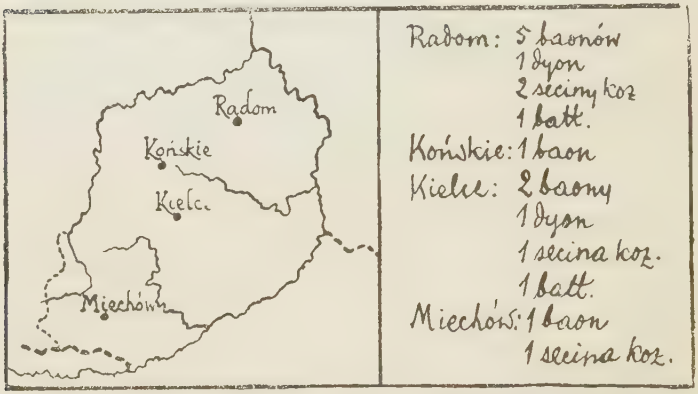

KONCENTRACJA WOJSK ROS. w OKR. RADOM. 3. II. 63.

z przystąpieniem dyrekcyi „białych" do powstania. Pod znanym programem „wytrwajmy do chwili interwencyi obcych" podpisywała się znaczna część szlachty. Oddawał ten stan usługi w sandomierskiem przez zasilanie szeregów narodowego wojska (przeważnie kawaleryi), aprowizacyę oddziałów, udział w organizacyi poczty narodowej i t. d. Zdarzały się wypadki otwartego, lub ukrytego niesprzyjania ruchowi. Do takich przeciwników powstania należał n. p. Eustachy Kołłątaj, właściciel Wólki Kłuckiej, który w swej rafineryi spirytusu podwyższył cenę wódki o 20 gr. na flaszce specyalnie dla przybyłej

partyi, ukrył starannie, na wieść o zbliżaniu się oddziału, wszystkie zapasy żywnościowe i t. d.

Mieszczaństwo w 63 r. — to rdzeń akcyi manifestacyjnej przed powstaniem. W ruchu samym bierze równie czynny udział: zasila rekrutem oddziały, organizuje w miasteczkach przyjęcia dla przemaszerowujących partyi, urządza obchody narodowe (n. p. 3 maja w Tarłowie). B. burmistrz m. Jastrzębia, Wiśniewski jest dowódzcą oddziału konnych żandarmów narodowych; Jakób Kuczyński b. burmistrz Kunowa i Kaniowski, naczelnik tego miasta są czynnymi członkami organizacyi cywilnej i w. i.

Lata zależności pańszczyźnianej i nizki poziom oświaty wytworzyły w warstwie włościańskiej nieufność do sprawy powstania. Nieufność ta potęgowana przez odpowiednie działanie administracyi, wyraziła się we wręcz wrogim stosunku chłopów na początku powstania. Wypadki donosicielstwa, zdrady są bardzo częste w okolicy krakowsko-sandom. Pod Stym Krzyżem chłop Wikiera (zdrajca ks. Ściegiennego) prowadzi boczną ścieżką na klasztor podpułk. Sorniewa, Langiewicz wydaje rozkaz (niespełniony zresztą) spalenia całej wsi za zdradę, Bończa pali za szpiegostwo Lipie, Czachowski z polecenia Rz. Nar. dokonuje masowej egzekucyi na chłopach samsonowskich, którym udowodniono donosicielstwo, chłop Gajasiak z Krajna (pod górą Ś-tej Katarzyny) został przebity nożem z wyroku Rz. Narod. i t. d. Ale w miarę rozwoju powstania, szerzenia się haseł sprawiedliwości społecznej w ruchu wyzwoleńczym, chłop sandomierski zaczyna powoli wierzyć powstaniu i powoli, a coraz szybciej, przystępuje do ruchu — czasami gromadnie. Włościanie zapełniają przeważnie kompanie kosynierskie, przechowują rannych, broń, przebranych powstańców, dają przewodnika. Później, kiedy już po kampanii wiosennej znajdzie się Czachowski w Krakowie, zjawi się u niego deputacya chłopów z Kozienickiego, którzy przybyli, ofiarowując swą

gotowość podjęcia wojny ludowej, a prosząc tylko o instruktorów i naczelne dowództwo. Nieraz w obozie nocą zjawia się chłop, który przebył dziesiątki wiorst, aby ostrzedz partyę o grożącem jej niebezpieczeństwie.

Duchowieństwo sandomierskie naogół sprzyjało powstaniu i niosło w różny sposób ofiarną pomoc. Tak n. p. niestrudzony ks. Kotkowski, komisarz cywilny przy Langiewiczu, pełni później te funkcye przy Bosaku, a choć Brzózki ani Maćkiewicza nie wydało sandomierskie, to przecież dzielnymi kapelanami są ks. Serafin Szulc i Agrypin Konarski, który pojmany ostatecznie po rozsypce Kononowicza, stracony został w końcu czerwca w cytadeli warszawskiej. Innym typem był ks. Tomaszewski, proboszcz ze Strawczynka (pod Kielcami), który wzywał parafian z ambony, aby nie słuchali rozkazów „buntowniczego“ Rządu Narodowego, lecz chwytając pojedyńczo powstańców odstawiali ich do Kielc, pułk. Czengieremu, za co wypłaconą im będzie nagroda po 5 rb. za głowę.

Ludność żydowska, która w okresie manifestacyi szła solidarnie z Polakami — w większych przynajmniej miastach — obecnie tu i owdzie przyjmowała udział w powstaniu. W takim n. p. Ożarowie żydzi zaopatrują zupełnie bezinteresownie i chętnie przechodzące oddziały w żywność, witają je uroczyście ze swem duchowieństwem na czele. Spotykamy też czasem żydów-Polaków w szeregach walczących (podporucznik strzelców Izydor Karlsbad, wychowaniec polskiej Szkoły Wojskowej w Cuneo). Nieraz wszakże uchylają się od płacenia podatku narodowego, albo oddają usługi wojskom rosyjskim przez szpiegowanie (pod Suchedniowem). Wręcz wrogim dla powstania w sandomierskiem jest żywioł niemiecki, reprezentowany przez kilka kolonii rolniczych. Słynęła z tego kolonia Jawor Solecki, gdzie nawet wykonał Czachowski egzekucyę nad kilkoma szpiegami; to też za zbliżeniem do tej wsi oddziału polskiego — cała ludność pierzchała w lasy.

O stosunkach Czachowskiego z organizacyą cywilną narodową szczupłe są dotąd wiadomości. Funkcya stałego komisarza organizacyi przy sztabie oddziału była nieobsadzona zupełnie,*) rzadko słychać w ciągu kampanii wiosennej o większych dostawach żywności; partya sama musiała (zawdzięczając może stosunkom organizacyjnym) przeprowadzać rekwizycye artykułów żywnościowych i odzieży; natomiast częściej zdarzały się wypadki ostrzegania drogą organizacyjną o grożącem niebezpieczeństwie. Wogóle z trzech kierunków, w jakich przejawiać się musiała działalność organizacyi, tj.: intendentury i dostawy broni, służby wywiadowczej i służby sanitarnej, najwięcej wiadomości przechowało się o dwu ostatnich placówkach. Szpitale większe organizowano w miarę potrzeby, np. po jakiejś większej bitwie. Jeden z nich, w Siennie — wizytowany był przez rosyjskiego pułkownika Zwierowa, który nadspodziewanie obszedł się z chorymi i usługą, pozostawiwszy zupełną swobodę i nietykalność. Po bitwie pod Jurkowicami, już w kampanii jesiennej, urządzono z polecenia Czachowskiego szpital w Klimontowie, gdzie dwu doktorów i dwu felczerów obsługiwało chorych; pomoc pełniły szarytki zakonnice z Kurozwęk i obywatelki z okolicy. Prócz tego pojedynczo po dworach i miasteczkach przebywali ranni i rekonwalescenci. Był Czachowski w pewnych stosunkach z Rz. Narodowym, co widać z faktu ,że wysyła on w sprawach organizacyjnych do Warszawy Władysława Zapałowskiego (członka org. cyw.); jakie to były mianowicie sprawy — nie wiemy. Składać musiał niewątpliwie raporty władzom ze swej działalności, ale sprawozdań tych w czasopismach Rz. Narod. nie publikowano. Tak n. p. za pośrednictwem prasy zakordonowej („Czas“) dowiadujemy się, że z przebiegu bitwy Stefankowskiej złożył Czachowski Rz.

*) Wyjąwszy 3-dniowy pobyt Stanisława Jarmunda w początkach kwietnia 1863 r.

Narodowemu raport „z prawdziwą żołnierską akuratnością, ale zarazem i krótkością napisany."

Dostawa broni i amunicyi była przez władze cyw. zorganizowana bardzo słabo. Dopiero w czerwcu (a więc pod koniec kampanii wiosennej) słychać o pewnych staraniach, nieuwieńczonych, zdaje się — pomyślnym skutkiem.

2. Siły polskie: liczba, uzbrojenie, organizacya.

Oprócz Czachowskiego walczył w sandomierskiem szereg większych i mniejszych oddziałów, podlegających w zasadzie naczelnemu kierownictwu wodza sił zbrojnych województwa. Tak więc w porozumieniu z Czachowskim działali: Łopacki, Gryliński, Kononowicz, Jankowski, Stamirowski, Bończa, Wiśniewski, Figetty.

Czachowski. Zawiązkiem i ośrodkiem organizacyjnym powstania sandomierskiego po upadku dyktatury Langiewicza jest oddział Czachowskiego. W początkach kwietnia w puszczy iłżeckiej liczy on ogółem 389 ludzi. Liczebność poszczególnych rodzajów broni następująca: 50 karabinów rosyjskich i sztućców belgijskich, 120 dubeltówek i pojedynek bez bagnetów, przyczem wiele sztuk broni myśliwskiej było powiązane sznurkami, z poszczerbionemi i pogiętemi lufami, uszkodzonymi zamkami, 150 kos, 53-ch kawalerzystów, uzbrojonych w lance, pałasze kawaleryjskie i dubeltówki, pojedynki lub pistolety, oficerów 16-u (z tych 7-u konno) uzbrojonych w dubeltówki, pałasze i rewolwery.

Ta cyfra bynajmniej nawet w przybliżeniu nie może być uważana za stałą. Relacye z każdej poszczególnej potyczki podają cyfry inne — większe, lub mniejsze. Tę zmienność wytłumaczyć sobie można różnymi względami: przedewszystkiem napływ świeżego rekruta, o czem czasem wspominają źródła, mógł podnosić ogólną liczebność oddziału, następnie chwilowe rozsypki, przedsiębrane dla względów taktycznych, uszczuplały czasowo siły, wre-

szcie ubytek w bitwach przez poległych i wziętych do niewoli, zmieniał ustawicznie czynny stan oddziału. W każdym razie siła, poddana pod bezpośrednie rozkazy Czachowskiego nie przekraczała nigdy cyfry 600 ludzi, o tym samym mniej - więcej stosunku broni, jak podany powyżej.

Oficerowie, otaczający Czachowskiego, byli to ludzie najrozmaitszych szkół wojskowych, niejednakowych zdolności, w znacznej części wolontaryusze wszystkich walk za wolność, które gdziekolwiek i kiedykolwiek w tej porze staczano. Wybuch powstania sprowadził ich do kraju. Z pośród oficerów Czachowskiego do najwybitniejszych niewątpliwie należał Władysław Eminowicz, b. oficer artyleryi austryackiej, rodem ze Lwowa. Od najmłodszych swoich lat był przejęty chęcią służenia ojczyźnie; ta chęć popchnęła 17letniego chłopca w r. 1854, a więc na progu spodziewanej wojny z Rosyą, do armii austryackiej. Pierwsza jednak wiadomość o wybuchu powstania styczniowego sprawia, że Eminowicz porzuca otwierającą mu się karyerę w wojsku państwa rozbiorowego i udaje się do obozu Langiewicza w Goszczy. Tu zostaje przydzielony do oddziału Czachowskiego i odtąd dzieli z nim trudy wojenne do końca. Dwudziestosześcioletni oficer zyskał sobie w obozie powstańczym gorącą sympatyę, szacunek i zaufanie. Jego to zdolnościom militarnym w znacznej mierze przypisać trzeba pomyślne starcia Czachowskiego z wielekroć liczniejszym nieprzyjacielem. Stanowił Eminowicz, jako wyszkolony oficer, doskonałe

uzupełnienie Czachowskiego, jako człowieka, znającego znakomicie teren operacyi. Uznawał to Czachowski, mieniąc często Eminowicza „swoją prawą ręką". Po rozsypce ratajskiej zebrał Eminowicz rozpierzchłe rozbitki i stanął pospołu z kilku jeszcze oficerami na ich czele. Nie mogąc jednak jako samodzielny dowódzca utrzymać się w sandomierskiem, przechodzi Wisłę i wstępuje do jednego z lubelskich oddziałów. W początkach sierpnia bije się niestrudzenie i po pewnym czasie wraca w sandomierskie. Tu w związku z innemi partyami walczy w dalszym ciągu. Nieporozumienie, czy intryga niechętnych sprowadzają na Eminowicza degradacyę z zajmowanego dotąd stanowiska. Może to wpłynęło ujemnie na jego stargane zdrowie — dość, że dla zdobycia nowych sił wyjeżdża za urlopem zagranicę. Ale w tym właśnie czasie chwiać się poczęło powstanie — więc jeszcze osłabły po 9-miesięcznych trudach spieszy Eminowicz na plac boju. „Wszystkie pretensye i żale, wszystkie urazy osobiste nic nie znaczyły u niego wobec sprawy ojczyzny; zapomniał o wszystkiem, gdy widział, że w coraz słabszej ze strony powstańców walce, siły jego i zdolności przydać się mogą." Wraca na pole bitwy już nie jako oficer — w braku szabli ujmuje w dłoń karabin i idzie w szeregu jako prosty żołnierz, zgubiony w tłumie bezimiennych bohaterów. W blasku tej żołnierskiej wierności odbiera w końcu lutego 64 r. w Opatowie ranę śmiertelną. Jeszcze się miesiąc pasuje ze śmiercią, aż w końcu marca w zapadłej wsi zamyka na zawsze oczy. W kwietniu 63 r. mianowany kapitanem, w lipcu majorem, w grudniu podpułkownikiem — umiera jako żołnierz.

Obok Eminowicza jaśnieje ogromną zasługą nazwisko Stanisława Dobrogoyskiego. Dzieje tego człowieka ciekawe i niezwykłe, są żywym przykładem wiecznie odradzającego się z dawno wygasłych popielisk uczucia polskości. Martyrologii narodowej nazwisko to znane; ojciec Dobrogoyskiego

— Ignacy, podpułkownik 4 pułku piechoty Król. Kongresowego, przyjęty przez majora Łukasińskiego do organizacyi wolnomularskiej, przeszedł przez więzienie i komisyę śledczą w sławnej sprawie 1824 r. Skazany na 4 lata ciężkiego więzienia, zanim jeszcze rozpocznie je odsiadywać, przejdzie straszniejszą może torturę — publicznego pozbawienia znamion godności oficerskiej i okropnej defilady w łańcuchach, z taczką hańbiącą, w oczach zgromadzonego wojska i publiczności. Zamknięty w kazamatach Zamościa, umarł Ignacy Dobrogoyski w końcu kwietnia 1825 r. Syn konspiratora, oddany jako dziecko do korpusu kadetów, kończy szkoły wojskowe, nie zdając sobie może sprawy z tego, że jest Polakiem. W rosyjskich szeregach uczestniczył w wojnie wschodniej (1856 r.), później wyjeżdża zagranicę dla dopełnienia studyów w zakresie nauki o broni, taktyki i strategii. Zdobywa wielki zasób wiedzy wojskowej, a z nią możność świetnych awansów, ale i jego pociąga powstanie do swoich szeregów. Jeszcze w Rosyi należał był Dobrogoyski do rewolucyjnych związków oficerskich. W czasie powstania dowodzi kompanią pułku smoleńskiego piechoty w Kielcach, gdzie usiłuje w podległym sobie oddziale wszcząć rewoltę. Udaremnienie tego zamiaru doprowadza do aresztowania Dobrogoyskiego; udaje mu się jednak zbiedz do Czachowskiego, gdzie jeszcze w mundurze swego dawnego pułku pełni służbę. Jest on — piszą pamiętnikarze — „sercem sandomierskiego obozu.“ „Niezmordowanie czynny, znający doskonale sztukę wojskową, umiał prowadzić partyzantkę. Żołnierze mu ufali, widzieli go ciągle na nogach uczącego ich ruchów wojskowych i strzelania.“ Istotnie — lwia część ćwiczeń oddziału w zakresie musztry, sygnalizacyi, tyralierki, była jego zasługą. Nie trwała jednak ta praca długo. W bitwie pod Stefankowem otrzymuje Dobrogoyski śmiertelny postrzał w piersi, kiedy, prowadząc atak tyralierki polskiej, wysunął się z rewolwerem w ręce na czo-

ło linii. Stało się to tego właśnie dnia, kiedy rozkaz dzienny Komitetu Centralnego mianował „oficera Stanisława Grzmota (pseudonim powstańczy Dobrogoyskiego) kapitanem.“ Sam Czachowski w asystencyi kilkunastu kawalerzystów udał się z ciałem do pobliskiego Niekłania — tam zamówił

WŁADYSŁAW EMINOWICZ.

dla niego pogrzeb uroczysty i złożył zwłoki na katafalku.

Oprócz Eminowicza i Dobrogoyskiego, dwu bezsprzecznie najwybitniejszych oficerów Czachowskiego, służyli w oddziale oficerowie różnych armii; — Garybaldczykiem np. był kapitan, a następnie major Dolnicki, oddany później (po wyjeździe Czachowskiego do Galicyi) pod sąd wojenny za „nierozstawienie forpoczt i oddalenie się od oddziału w czasie bitwy, nie zostawiając nawet w za-

stępstwie dowódzcy", a w rozkazie dziennym z 11 grudnia od odpowiedzialności uwolniony; podobnie Garybaldczykiem był kapitan Ludwik Michalski, zdolny instruktor, przydzielony w tym charakterze do partyi Kononowicza. Oficerem armii pruskiej był Franciszek Boczkowski, mianowany w czerwcu kapitanem piechoty. Z wojska rosyjskiego wynieśli wiedzę militarną: Rudowski, Gromejko, Manowski; w szkole genueńskiej kształcił się Karlsbad. Listy awansów i nominacyi, wydawane przez Wydział Wojny Rządu Narodowego, wymieniają prócz powyższych nazwiska: major Atanazy Kiciński, kapitanowie — Stawecki, Konrad Piotrowski, Antoni Wielobycki, Franciszek Łuszczewski; porucznicy — Adolf Burzyński, Adolf Czachowski, Piotr Lewandowski, Józef Wojdacki, Adolf Stępowski, podporucznicy — Franciszek Jurgielewicz, Hipolit Kiciński, Maryan Marynowski i t. d.

Kierownictwo oddziału leżało w rękach sztabu. Wbrew przepisom odnośnych instrukcyi, które wyliczały aż 14 członków sztabu Naczelnika Wojew., sztab Czachowskiego składał się z szefa, adjutanta i intendenta. Szefem sztabu był początkowo Błaszczyński (Bończa), a później Eminowicz, jakkolwiek formalnie był tylko podszefem. Jest szef sztabu doradcą i głównym pomocnikiem wodza w sprawach administracyjnych i wojennych; w razie choroby lub śmierci naczelnika, pełni zastępczo jego obowiązki. Adjutantami Czachowskiego byli kolejno Wielhorski i Gromejko; wogóle adjutantura była godnością, przenoszoną w coraz to inne ręce. Czynności intendenta spełniał Tomasz Burzyński.

Instytucya sądu wojennego nie była u Czachowskiego stałą. W razie potrzeby sąd stanowili oficerowie oddziału i naznaczeni przez wodza szeregowcy; ten komplet wybierał prezesa sądu i audytora, który wnosił oskarżenie. Określenie przestępstwa i rodzaj kary decydowano większością głosów — wyrok zatwierdzał Czachowski. Przedmiotem spraw sądzonych były: niesubordynacya

wojskowa, wypadki zdrady pośród ludności — wreszcie sąd nad jeńcami wojennymi. Spraw pierwszej kategoryi wpływać musiało niewiele, bo oddział Czachowskiego słynął z karności; o szpiegach z pośród włościan informowany był Czachowski przez władze cywilne, których wyroki wykonywano pilnie. Tak powieszono w początkach kwietnia dwu Niemców kolonistów w Jaworze Soleckim; podobnie powieszono 11 chłopów z Wólki Kłuckiej i dróżnika z Sielpi, za wydanie miejsca kryjówki Kononowicza powieszono w Jedlni sołtysa tej wsi. Syna mieszczańskiego z Sienna, który zelżył swego starego ojca, a następnie zadenuncyował go, jako sprzyjającego powstaniu, skazano na śmierć, a w zamian tego wyliczono mu 150 kozackich nahajek, po których prawie trupa zostawiono na placu egzekucyi. Prawem odwetu sądzono jeńców rosyjskich, ale niezawsze; dwunastu pochwyconych w czasie bitwy stefankowskiej i poprzedniego dnia przez podjazd polski, zawisło w puszczy iłżeckiej w pobliżu miejscowości „Piekło“ z kapitanem Nikiforowem na czele. Była ta egzekucya odpowiedzią za popełnione dni kilka przedtem przez majora Rüdigera morderstwa niewinnej i bezbronnej ludności w Grabowcu. Powieszeni byli żołnierzami pułku, który wsławił się jeszcze za czasów kampanii Langiewicza spaleniem Suchedniowa, a Nikiforow był podobno tym samym, który przebywał czas jakiś w obozie langiewiczowskim jako stronnik powstania, a następnie wiadomości tam nabyte wykorzystywał w walce z powstaniem. Jeden ze skazanych na śmierć został ułaskawiony za wstawieniem ks. Szulca i obecnych; żołnierz ten, nazwiskiem Turlin, podobno z pochodzenia Polak, zbiegnie niebawem do Rosyan, opowiadaniem o rzekomych „okrucieństwach“ polskich wywoła obłudne oburzenie urzędowego „Dziennika powsz.“ w Warszawie a znalazłszy się w Kielcach wyda na śmierć Józefa Guzowskiego, żołnierza z partyi Czachowskiego, który przed trzema niespełna mie-

siącami prosił o łaskę dla niego. Jeńcy z bitwy pod Boryą-Lemieszami w liczbie 4 zostali rozstrzelani. Nieraz wszakże jeniec rosyjski schwytany przez rekonesans odchodził z obozu obdarzony pieniędzmi, złożywszy uprzednio zeznania. — Te egzekucye, wyolbrzymione przez badaczy rosyjskich, wytworzyły o Czachowskim opinię człowieka nad wyraz okrutnego i w karaniu nie znającego miary. Sąd to płytki, stronny i błędny; był Czachowski gwałtownym, umiał w przystępie gniewu strzelać do winnego wprost z konia, nie złożywszy sądu, ale były to wypadki bardzo rzadkie, czyny zaś wojskowego w czasie wojny można trafnie ocenić tylko na tle ogólnie rozgrywających się wypadków i czynów przeciwnika.

Oprócz sztabu i w miarę potrzeby stwarzanego audytoryatu polowego istniała przy oddziale stała kancelarya, załatwiająca wszelkie korespondencye Czachowskiego z okolicznem obywatelstwem i organizacyą cywilną.

Siła partyi, polegająca naczelnemu dowództwu Czachowskiego zorganizowana była w jednostki 4 rodzajów broni: strzelcy (broń bagnetowa), piechota (broń myśliwska), kosynierzy, kawalerya. Zasadnicza jednostka — kompania, podzielona na plutony, a te z kolei na sekcye, liczyła 70—100 głów; kompanią dowodził kapitan przy pomocy oficerów — poruczników i podporuczników (liczba ich niestała) i podoficerów (czasem sierżantów np. Tylman, uczeń szk. genueńskiej). Później, w miarę powiększania oddziału nowemi siłami, formowano bataliony, złożone z trzech kompanii, pod wodzą majorów. Wogóle w organizacyi partyi zachodzą ustawiczne zmiany, dające się ująć w ogólne tylko formuły. Odzieży jednostajnej nie było w oddziale Czachowskiego; w bieliznę i obuwie każdy musiał się zaopatrywać na własną rękę, co było rzeczą uciążliwą wobec ciągłych marszów, kiedy przechodzono czasem przez okolicę powstaniu nieprzyjazną. Stan odzieży w takich warunkach był opła-

kany, butów czasem brakowało zupełnie — szczególnie w kompaniach kosynierskich, — w długo noszonej bieliźnie lęgło się obficie robactwo. Bronią dla nowozaciężnych, wobec braku dostawy regularnej, były karabiny zdobyte w potyczkach; tak np. starcie pod Grzybową Górą dało w wyniku pewną ilość broni, po bitwie pod Stefankowem zdobytymi karabinami uzbrojono całą kompanię, prócz tego wzięto nieco broni białej i amunicyi. Tabor bywał zawsze bardzo szczupły — 3—4 najwyżej furgony, a na nich broń zapasowa (kosy), zapasy żywnościowe — jeśli były, odzieży nieco i ranni. Podobnie, jak dostawa broni, niezbyt uregulowaną była kwesya aprowizacyi oddziału. W miarę możności wysyłano do wsi rozkazy, określające miejsce dostawy i ilość artykułów spożywczych, przyczem za dostawę płacono włościanom gotówką, niezawsze przez nich przyjmowaną. Żywność do lasu dostawiały również i dwory, ale specyalne przyjęcia dla oficerów były wykluczone zupełnie — starszyzna odżywiała się zawsze narówni z żołnierzami. Czasem za furgonami z żywnością zjeżdżało do obozu okoliczne obywatelstwo i wówczas przy dźwiękach sprowadzonej muzyki tańczono ochoczo. Pozwalając na te, rzadkie zresztą rozrywki, nie znosił Czachowski w obozie obecności kobiet; trzy dziewczęta, które przybyły w bliżej nieokreślonym celu, zostały natychmiast wydalone i pod karą chłosty zakazano im powrotu. Oddziałek kilkunastu pensyonarek z Piotrkowa, które uzbrojone i przebrane po męsku przybyły do partyi, pierwszego zaraz dnia, przy odgłosie strzałów zdradził nieprzygotowanie wojenne, przejawiające się w głośnym płaczu; to spowodowało rozbrojenie panienek i odesłanie ich do domów. — Pobór rekruta, acz rzadko i niesystematycznie, był jednak przeprowadzany; rekrutacyi dokonano np. w Ciepielowie, gdzie wybrano do wojska 16 młodzieży (przeważnie dawnych żołnierzy Langiewicza) i w Radzanowie, skąd 18 włościan wcielono do ko-

synierów. — Sprawę awansów załatwiano przez mianowanie na polu bitwy, potwierdzone później przez Wydział Wojny Rz. N. w rozkazie dziennym; jako nagrodę za męstwo i waleczność rozdano raz 5 amarantowych konfederatek z kokardą narodową i raz 9 srebrnych medalioników.

Powiedzieć można, że wzorem ładu, organizacyi i uzbrojenia był oddział, który uformowany w Galicyi (w mieleckiem) w końcu marca i początku kwietnia 63 r. wkroczył w sandomierskie i połączył się niebawem z Czachowskim. Komendantem oddziału był Andrzej *Łopacki,* właściciel dóbr Leszczyny w bocheńskim; były oficer wojsk austryackich i papieskich, odbył kampanię włoską, a w oddziale, organizowanym przez Kurowskiego w Ojcowie, wykazał znaczne doświadczenie; był Łopacki dowódzcą charakteru łagodnego, wyrozumiały, pomimo tego umiał utrzymać w swym oddziale karność i porządek. Pojawienie się jego oddziału w sandomierskiem wywołało w prasie zakordonowej radosne wzmianki.

Na punkcie zbornym w Glinikach nad Wisłą stanęło 260 ludzi prócz oficerów; dowodzili tą siłą: Markowski były oficer turecki, Witold Rogóyski — oficer austryacki, Czesław Tabaczyński — oficer austryacki, Stanisław Tabaczyński, Aleksander Brückman, Bertoli, Gąsiorowski, Olszewski, Żelechowski, Kisielewski (Wujko), Giebułtowski.

Sformowano dwie kompanie strzelców po sto ludzi — pierwszą dowodził Rogóyski, drugą Tabaczyński Czesław. Każdą kompanię podzielono na 4 sekcye[1]). Oddziałem 30 kosynierów dowodził kapitan Olszewski; rotmistrzem kawaleryi (30 koni) był Bertoli. Adjutantura należała do Giebułtowskiego, szefem sztabu był Żelechowski, furyerem wreszcie Kisielewski, kapelanem ks. Szulc. Odzież była jednostajna: sukmanki i szarawary kawowe,

[1]) Ożegalski pisząc o sekcyach miał zapewne na myśli plutony.

wkładane w juchtowe buty, rogatywki czarne z daszkami, tornistry i menażki, pasy, ładownice, manierki i worki do chleba; co trzeci miał małą siekierkę do rąbania drzewa. Wyekwipowanie w porównaniu z innymi oddziałami wprost wzorowe. Broń nie pozostawiała nic do zarzutu: karabiny były dwojakie — strzeleckie i piechoty; pierwsze krótkie, ciężkie z długimi płaskimi bagnetami, tak zw. sztućce belgijskie o celowniku 1200 ×; drugie — dłuższe i lżejsze ze szpadowymi czworograniastymi bagnetami — celownik 900 ×. Kaliber jednych i drugich 14 mm. Ładunków każdy żołnierz dostał po 60, prócz zapasów na wozie.

Nie tylko uzbrojeniem i lepszą organizacyą odznaczy się oddział galicyjski. Pośród powszechnej nieomal niesubordynacyi, jaką okazywały względem rozkazów Czachowskiego inne oddziały, odznacza się Łopacki wyjątkową karnością. Przez cały czas kampanii wiosennej nie zdarzył się ani jeden fakt wykroczenia ze strony partyi galicyjskiej. Pod Stefankowem „szli pierwsi w bój“ pisze o nich w raporcie Czachowski. Po rozsypce ratajskiej oficerowie Łopackiego pozostają w kraju, zbierają rozbitków i walczą w dalszym ciągu. Jeden z nich, Markowski, schwytany zimą 63 r. w lasach iłżeckich, zanim go jeszcze dowiozą okutego w kajdany do miasta, wyjętą z krawata długą stalową szpilkę wkręci sobie w kark, w kręgi, aż po samą główkę — do Iłży dowiozą już trupa, którego niepodobna wieszać.

Jaskrawym przeciwstawieniem stosunku Łopackiego do Czachowskiego jest zachowanie się komendanta samodzielnego oddziału, Faustyna *Grylińskiego*[1]). Z kwatery Zaryszyn wysłany został Gryliński dnia 12 marca przez Langiewicza do lasów iłżeckich, jako organizator i dowódzca formującego się tam oddziału. Pewne wykształcenie

[1]) W wielu źródłach nazywamy Grelińskim; przyjmujemy pisownię częściej używaną.

militarne posiadał — podobno w kampanii włoskiej był towarzyszem broni dyktatora i ukończył genueńską szkołę wojskową. Objąwszy dowództwo, zajął Gryliński Brody, gdzie zaczął się zbroić. Czynności te przygotowawcze trwały nazbyt długo, gdy się zważy, że dopiero około połowy kwietnia, wezwany przez Czachowskiego, oddział ten rozpoczyna działania właściwe. O Grylińskim samym przeważają opinie ujemne; był to niewątpliwie człowiek ogromnie niekarny, niesforny. Żelazna ręka Czachowskiego zmusza go do posłuszeństwa, ale na krótko. Korzysta Gryliński z pierwszej sposobności, aby umknąć z pod twardej dyscypliny, a po klęsce swego oddziałku znika z horyzontu; podobno wyjechał zagranicę.

Z oficerów Grylińskiego przechowały się tylko wieści o kapitanie Bogdanowie (nazwisko podobno zmyślone) dość tajemniczej, choć sympatycznej postaci. Z pochodzenia Rosyanin, za należenie do tajnych związków rewolucyjnych zagrożony Sybirem, zbiegł do Francyi, gdzie służył w wojsku. Na wieść o powstaniu pospieszył do Polski i tu zaciągnął się pod komendę Grylińskiego. W oddziale był prawą ręką dowódzcy; ranny w bitwie i wywieziony na kuracyę za kordon, niebawem powrócił na pole walki i bił się pod Chmielińskim.

Oddział Grylińskiego, złożony w większości z włościan i mieszczan pow. sandomierskiego i opatowskiego, wynosił 450 ludzi, w czem 180 sztućców belgijskich, 60 dubeltówek i pojedynek, 150 kos i 60 kawalerzystów. Umundurowanie było jednostajne: białe sukmanki i takież szarawary, ciemne rogatywki z lampasem barankowym; kawalerya miała ciemne kurtki i takież szarawary. Zawdzięczając lekceważeniem swych obowiązków przez dowódzcę, partya Grylińskiego odłączywszy się samowolnie od Czachowskiego została rozbita. Resztki wcielił do swego oddziału Czachowski.

Jako naczelnik pow. czerskiego (mazowieckie), okresowo tylko przebywał ze swą partyą w sando-

mierskiem Władysław *Kononowicz,* były oficer rosyjski. Ścigany w czerskiem, przechodził Pilicę i reorganizował się w lasach kozienickich. Stąd współdziałanie Kononowicza z Czachowskim poza kilkoma akcyami ograniczało się do faktu, że przebywając często na północy sandomierskiego, musiał ściągać na siebie uwagę załóg Radomia, Zwolenia i t. d., a więc był niejako ubezpieczeniem Czachowskiego od północy.

W chwili nawiązywania kontaktu z Czachowskim, liczył Kononowicz 546 ludzi — w tem 80 sztuk broni bagnetowej belgijskiej i rosyjskiej, 160 myśliwskiej, 200 kos, 80 kawalerzystów i 26 oficerów. Siły kierownicze oddziału nie musiały być zbyt wykwalifikowane, skoro przydzielono instruktora od Czachowskiego. Częste przebywanie Kononowicza w puszczy kozienickiej sprawiło wreszcie liczną na niego obławę. Osaczony od północy przez wojska z Warszawy, od południa z Radomia, ujrzał się Kononowicz zmuszonym rozpuścić czasowo oddział, a broń zakopać. Sam w towarzystwie dwóch oficerów zamierzał przeczekać w ukryciu. Ale wyśledzony i pojmany w Grabowej Woli przez generała Meller-Zakomelskiego, poniósł śmierć przez rozstrzelanie w pierwszych dniach czerwca w Warce. Oddział przestał istnieć; rozbitków — prawie samych kosynierów — zebrał później kapitan Ludwik Michalski.

Podobnie jak Kononowicz, nie jest *Józef Jankowski,* b. dzierżawca z Tarchomina, dowódzcą sandomierskim. Mianowany naczelnikiem pow. stanisławowskiego (podlaskie), od pierwszych dni lutego walczy szczęśliwie, powiększając swój oddział aż do 500 głów. W połowie kwietnia, mocno już wyczerpany, przeprawia się w sandomierskie przez Wisłę i wchodzi z Czachowskim w luźny niezmiernie kontakt, polegający na udziale w kilku bitwach. Wraca później znów w podlaskie i walczy niestrudzenie w swoim powiecie, jak również w sąsiednim wojew. lubelskiem. W działaniach okazuje nad-

zwyczajną poprostu ruchliwość, przenosząc się błyskawicznymi marszami z miejsca na miejsce. Typowym manewrem partyzanckim Jankowskiego było wyprowadzenie osaczonego oddziału z matni: w lecie 63 r. oddział ten nawpół rozproszony, liczący zaledwie stu kilkudziesięciu ludzi, znalazł schronienie w obronnem miejscu lasów okuniewsko-radzymińskich, otoczonem dokoła bagnami, posia-

JÓZEF JANKOWSKI

dającem jedno tylko, mało znane wyjście. Jednak i ten przesmyk wyśledzony został przez Rosyan i zamknięty czatami; wówczas jednej nocy, Jankowski porwał żywcem placówkę rosyjską, a rozpaliwszy w schronieniu ogniska, pod osłoną ciemności, wymknął się szczęśliwie z pułapki. Wprowadzona w błąd zasadzka rosyjska rozpoczęła długi rotowy ogień, skierowany do środka pustej już kępy, podczas gdy Jankowski przeprawiał się

szczęśliwie na drugi brzeg Wisły. Nie tylko jednak pomysły niepokojenia przeciwnika, albo wymykania się z sieci rodziły się w ruchliwej głowie Jankowskiego: powziął on niewykonany a śmiały plan ataku koncentrycznego partyi polskich na Warszawę, ogołoconą silnie z załogi na skutek licznych ekspedycyi; wykonanie tego pomysłu miało zmusić władze rosyjskie do skoncentrowania wojsk w stolicy, a to pomogłoby niewątpliwie szybszemu rozwojowi powstania na prowincyi.

Po roku nieustannej walki pochwycony przez zdradę w Błoniu, stanął Jankowski 12 lutego 64 r. na stoku cytadeli warszawskiej pod szubienicznymi słupami, wołając: „Niech żyje Polska!“

Inna teraz — smutna karta w dziejach powstania. Dowódzca oddziałku kawaleryi (kilkadziesiąt koni) były oficer rosyjski *Stamirowski* zjawia się w pow. opoczyńskim w kwietniu. Wiadomości o jego nadużyciach przy rekwirowaniu żywności, o nieprawnem pobieraniu podatków, skłaniają Czachowskiego do poddania niesfornej gromady pod swe rozkazy, zwłaszcza, że otrzymał w tym względzie wyraźną instrukcyę Rz. Narodowego. Przybywszy do obozu sandomierskiego i poddany żelaznej jego dyscyplinie, rychło opuszcza Stamirowski samowolnie Czachowskiego i prowadzi dalej swoje nawpół rozbójnicze rzemiosło, błąkając się w opoczyńskiem i na lewym brzegu Pilicy, w rawskiem. Tutaj w początkach czerwca dopadł go z kawaleryą Czachowski i w oburzeniu najwyższem strzelił doń z konia, raniąc go dość ciężko. Bandę rozpędzono, zabrawszy 46 koni i pieniądze, pochodzące z rabunku. Stamirowski, pozostawiony na miejscu, wyleczył się z rany. Rozkaz dzienny Wydziału wojny z dnia 10. VI. 63 r. opiewał: „Wzywa się naczelników oddziałów i urzędu wojsk., aby przytrzymały w miejscu pobytu kapit. Stamirowskiego dla złożenia na niego sądu wojennego za niewypełnienie rozkazu połączenia się z oddziałem sandomierskim, za nadużycie przy rekwirowaniu od obywateli ży-

wności i furażu, za ucieczkę od oddziału partyzantów konnych wojew. mazowieckiego z kilkunastu ludźmi i końmi. W razie niestawienia się, lub nieujęcia do 20 czerwca b. r., sądy wojenne właściwych województw mają go osądzić zaocznie". Widocznie zasądzono Stamirowskiego zaocznie, bo jesienią 63 roku został on przez Markowskiego rozstrzelany.

W początkach czerwca, a więc już na schyłku wiosennej kampanii Czachowskiego, przybył z Galicyi oddziałek kawaleryi pod majorem *Figettym,* wsławionym napadem na Jedlnię 22 stycznia. Uzbrojenie oddziału, złożonego z 36 koni było wzorowe: karabinki belgijskie, lance, pałasze i pistolety. Umundurowanie było nawet zbytkowne jak na stosunki ówczesne (jedwabne amarantowe koszule, spinane pasem z klamrą emaliowaną, granatowe kurty, przy butach ostrogi, burki, wysokie ułanki amarantowe, a na nich pełno szychów, sznurów, świecideł).

Oprócz oddziałów powyżej opisanych, a mających za zadanie bezpośrednią walkę, działały w sandomierskiem 2 partye konne, spełniające rolę policyi narodowej. Ten rodzaj wojska przeznaczony był na przeciąganie po kraju w różnych punktach w celu nadzoru nad miejscowościami, zagrożonemi przez nieufną dla powstania ludność. Jednym z oddziałów tych „żandarmów narodowych" dowodził Kazimierz Błaszczyński, pseudonim *Bończa,* były naczelnik województwa płockiego. Oddział Bończy działał zawsze w porozumieniu z Czachowskim. Dowódzca jego od ran, otrzymanych w nieszczęśliwej potyczce pod Górami, zmarł w końcu czerwca 63 r. Komendant drugiego oddziału żandarmeryi, liczącego tylko kilkanaście koni, Kazmierz *Wiśniewski,* b. burmistrz miasta Jastrzębia, potem szeregowiec pod Langiewiczem, działał głównie w lasach pow. opoczyńskiego. Wzięty do niewoli, powieszony został w połowie lipca w Radomiu.

Opis powyższy oddziałów, czynnych w sandomierskiem jest ilustracyą siły, jaką reprezentowało

powstanie w epoce wiosennej kampanii. Liczny szereg partyi w praktyce przecież sprowadza się do nikłych cyfr. Przedewszystkiem sprawa zależności ich od Czachowskiego. Kononowicz i Jankowski,jako czasowo przebywający w sandomierskiem, niechętnie poddają się zwierzchniemu kierownictwu Czachowskiego. Stosunek ich do naczelnika wojewódzkiego określić można jako związek taktyczny, który rwał się nieustannie a od początków maja przestał istnieć zupełnie. Bończa i Wiśniewski pełnili służbę w swoim zakresie — bezpośrednio w kampanii udziału nie brali, Stamirowskiego brać w rachubę niepodobna. Pozostają zatem oddziały Czachowskiego i Łopackiego, wzmocnione szczątkami Grylińszczyków i kawaleryą Figettego.

Koncentracya oddziałów, zarządzona przez Czachowskiego w połowie kwietnia, wykazała łączną siłę: Czachowskiego, Łopackiego, Grylińskiego i Kononowicza — 1960 ludzi. Było to maximum, jakie zgromadzić można było. W tym zespole jednak nie przeprowadzono ani jednej operacyi wojennej. Niebawem przyszły częściowe straty, częściowa rozsypka pod Rzeczniowem (pocz. maja.) — to sprawia, że w przeddzień rozwiązania oddziału, ma Czachowski pod rozkazami 402 ludzi.

Tak nikła siła, jeśli ma odpowiedzieć swemu zadaniu: walki z kilku, albo kilkadziesiąt razy liczniejszym przeciwnikiem, na rozległem terytoryum, — musi przejawić znaczną sprawność w dwu kierunkach; musi się zdobyć na ruchliwość i sprężystą organizacyę wewnętrzną. Obu warunkom odpowiadała partya Czachowskiego. Ruchliwość osiągnięto przez zredukowanie liczby furgonów do minimum (3—4 najwyżej) i odpowiednie przyzwyczajenie ludzi do pochodów. Niektóre marsze liczyły do 11 mil na dobę, odbytych bez większych spoczynków.

Organizacya wewnętrzna silna i sprężysta wyraziła się we wzorowej służbie forpoczt, wywiadów i ubezpieczenia w czasie marszu.

Karność w obozie była bardzo przestrzegana; z wyznaczonych dla każdej kompanii miejsc nie wolno się było wydalać pod żadnym pozorem ani do sąsiednich kampanii ani do pobliskich obozów. Służbę obozową obejmowała zwykle kompania strzelców z oddziału Czachowskiego, obstawiając dokoła obóz wedetami, złożonemi każda z jednego strzelca i kosyniera; zdarzały się przecież wypadki naznaczania wedet pojedynczych. Przestrzeń pomiędzy wedetami i odległość ich od obozu bywały różne — zależnie od terenu, posterunki jednak z reguły ustawione być musiały na wszystkich drogach wiodących do obozu. Oprócz konnych podjazdów, rozsyłanych w okolice obozu, wedety kontrolowane były często przez ront, zjawiający się nieraz nocą w postaci Czachowskiego i innych wyższych oficerów. Obozowano przeważnie pod gołem niebem — najczęściej w lesie i bez ognisk — wyszukując miejsca, obfitujące w wodę zdatną do picia. Jeżeli rozbijano obóz w miasteczku, unikano zawsze, a szczególnie nocą, rozkwaterowania po domach; nocowano z zachowaniem wszelkich ostrożności na rynku (Zwoleń, Denków, Grabowiec i t. d.) O sprawności służby forpocztowej świadczy fakt, że obóz nigdy nie został przez nadciągającego nieprzyjaciela zaskoczony, co w znacznej mierze przypisać należy podjazdom wywiadowczym, pełnionym nieustannie przez kawaleryę.

Bezpieczeństwo oddziału w marszu po za nieustannie prowadzonymi wywiadami, gwarantował szyk marszowy kolumny, ustalony u Czachowskiego wedle zasad następujących:

1. *Szpica kawaleryjska* (najbardziej naprzód wysunięte ubezpieczenie), złożona z dwu kawalerzystów; zadaniem szpicy było w razie dostrzeżenia nieprzyjaciela dać ognia i cwałem wrócić do maszerującego oddziału (p. Stefanków). Za szpicą w odległości 10—300 ✕ (zależnie od pory dnia i terenu) jechała

2. *Awangarda (straż przednia) kawaleryjska,*

którą stanowiła połowa posiadanej przez oddział jazdy; za nią szła

3. *Szpica strzelecka,* złożona z 6—8 celnych strzelców, za którymi postępowała

4. *Awangarda strzelecka,* złożona z kompanii strzelców.

5. Połowa piechoty — strzelców i kosynierów.

6. *Furgony.*

Za furgonami następował szyk odwrotny wyżej opisanemu. W miarę możności i potrzeby wysyłano prawo- i lewo-boczne patrole konne. Łączność między poszczególnemi częściami kolumny zachowywano bacznie; raz jeden, i to w lesie, ubezpieczenie tylne (aryergarda) utraciło czucie z siłą główną (odwrót z pod Rzeczniowa). Opisany porządek marszu posiadał tę wielkę dogodność, że pozwalał kolumnie w czasie stosunkowo dość krótkim na rozwinięcie linii tyralierskiej, przyczem na skrzydłach znajdowała się kawalerya, a pośrodku furgony.

Wykształcenie militarne, nabyte w szeregach u Czachowskiego, było bardzo szczupłe; więcej brak czasu, niż brak sił instruktorskich był tego przyczyną. W czasie dłuższych, kilkodniowych postojów przerabiano kilkakrotnie pod komendą Dobrogoyskiego musztrę kompanii i batalionu, ćwiczenia z zakresu tyralierki, nauki robienia bronią (musztra bagnetami), sygnalizacyi świstawkowej. Później Dolnicki kilka razy wyłożył zasady formowania łańcucha tyralierskiego według regulaminu włoskiego. Była to jednak praca dorywcza, obliczona na godziny — materyał w większości surowy, oderwany od zajęć, nic ze sztuką wojskową nie mających wspólnego.

Wartość najwyższą dla bezpośredniej walki przedstawiała piechota, uzbrojona w broń palną. Ogień strzelców rozsypanych w łańcuch tyralierski miesza przeciwnika pod Stefankowem, odbiera mu możność ofenzywy pod Lemieszami, zasłania resztę oddziału pod Rzeczniowem. Samodzielność poje-

dyńczych kompanii, plutonów, a nawet sekcyi dochodziła do maximum w czasie bitwy. Zdarzało się, że każdy żołnierz musiał sam sobie radzić. Oficerowie walczyli zawsze w linii; zwyczaj ten później instrukcyą Wydz. Wojny dla znacznego ubytku sił oficerskich zakazany, pozbawił oddział sandomierski Dobrogoyskiego. Oprócz karabinów austryackich i belgijskich (opisanych wyżej — p. Łopacki) i broni myśliwskiej, bijącej nieraz na 50 ✕ tylko, były w użyciu u Czachowskiego i karabiny rosyjskie zdobyczne. Naogół przeważała jeszcze w 63 r. u stron obu broń odprzodkowa, to też przypuszczać należy, że karabiny rosyjskie używane przez Czachowskiego należały do systemu Lütticha (1843 r. w użyciu do 64 r.), najbardziej w wojsku rosyjskiem rozpowszechnionego. Broń ta o kalibrze przeszło 17 mm. ważyła z górą 4 kg bez bagnetu; dalekonośność równa mniej-więcej broni austryackiej (900—1200 ✕).

Inny rodzaj piechoty Czachowskiego — kosynierzy, przeznaczani byli przeważnie jako rezerwa, a używani wyłącznie, jako wzmocnienie ataku bagnetowego strzelców. Fatalna tradycya bitwy grochowiskiej odzywała się jeszcze nieraz w skłonności do popłochu, okazywanej przez kosynierów (Rzeczniów), choć bywali oni przykładem męstwa i zaciętości bojowej (Stefanków).

Kawalerya Czachowskiego, zajęta rekonesansami, nie brała rozstrzygającego w bitwach udziału — nie powtórzyła się świetna szarża jazdy Jeziorańskiego pod Małogoszczą, wyjąwszy chyba rozbicie resztek z pod Stefankowa przez Bończę. Pomocnicze wszakże zadania spełniała kawalerya godnie.

Braki w organizacyi oddziałów sandomierskich przypisać należy bądź czynnikom zewnętrznym, bądź też pewnym niedomaganiom wewnętrznym, tkwiącym w naturze partyi.

Do pierwszej kategoryi odnieść należy stosunek liczbowy do wojsk rosyjskich, stojących zało-

gami w okolicach sandomiersko-krakowskich i do ludności miejscowej. Zestawienie takie uczy bardzo wiele i wiele tłumaczy. Łączna siła (rzadko — jak widzieliśmy — łącznie występujących)oddziałów, wynosiła zaledwie 10 proc wojska okręgu radomskiego, a zaledwie 1 proc. ludności. Gdy nadto zważymy, że w większości partyi walczyła przewaga żołnierzy, pochodzących z innej części Polski (Galicya, mazowieckie, podlaskie i t. d.), to stosunek

BOŃCZA.

ludności miejscowej, w cyfrach rekruta dostarczonego zawarty, będzie bardzo znikomy.

Braki wewnętrzne organizacyi powstania sandomierskiego polegały przedewszystkiem na braku broni, nie dostarczała jej organizacya cywilna wskutek licznych i dodatkowych konfiskat ze strony władz austryackich, pruskich i rosyjskich. Stąd zaledwie ½—⅔ każdego oddziału (prócz Łopackiego) posiadało broń palną — i to w części tylko wojsko-

wą, nieraz z przewagą myśliwskiej. Niemniej dotkliwym brakiem był brak sprawnej administracyi; dlatego o Czachowskim jego wielbiciele nawet mówią, że świetny wódz partyzancki — administratorem był najgorszym. Błędów wszelako nie trzeba szukać w brakach systemu aprowizacyjnego np., ale w nadzwyczajnem zaabsorbowaniu wszystkich sił zadaniami walki. To było przyczyną, że żołnierz tak nędznie uzbrojony, odziany i żywiony *musiał* wykonywać swoje obowiązki. Ten mus — to wytłómaczenie wielu na pozór dziwnych zagadek 63 r. Do licznych braków wewnętrznych powstania sandomierskiego należy słaba bardzo pomoc sanitarna bezpośrednia. Ranni, zebrani po bitwie, bardzo skrzętnie, szli na kuracyę do potajemnych lazaretów, albo do domów prywatnych, ale na polu walki, w zakresie pomocy doraźnej robiono niewiele. Obowiązki lekarza, a zarazem sanitaryusza, spełniał w oddziale Czachowskiego przez cały ciąg kampanii wiosennej żyd-felczer z Warszawy.

Wszystkie zalety i braki oddziałów polskich można poznać najlepiej przez poznanie sił przeciwnika.

3. Rosyanie.

Województwa krakowskie i sandomierskie stanowiły w rosyjskiej organizacyi wojskowej 63 r. okręg radomski, jeden z 5, na jakie podzielone było Królestwo Kongresowe. Załogę tego okręgu w początkach stycznia 1863 r. składało:

6 batalionów 7-ej dywizyi piechoty,
2 bataliony 5-ej dyw. piech.,
1 batalion 4-ej brygady saperskiej,
4 szwadrony (pułk) 2-ej dyw. kawaleryi,
4 seciny kozackie,
2 baterye 2-ej dyw. artyleryi,

ogółem siła 11½ tysięcy ludzi i 16 dział.

Dyzlokacya wojsk ze stycznia obejmowała 33 miast i miasteczek załogami o różnej sile; rozlo-

kowanie było bardzo schematyczne. Np. wszystkie kompanie saperskie umieszczono w północnym kącie okręgu, wszystkie szwadrony jazdy skupiono znów na południu. Ta dyzlokacya, tak rozpraszająca siły, była szczególnie niewygodna w czasie ruchów powstańczych. Cyrkularz głównodowodzącego gen. Ramzaya z dnia 27 stycznia nakazał komendantowi okręgu koncentracyę sił w kilku ważniejszych punktach.

Za najważniejsze punkty uznano miasta: Radom, Końskie, Kielce i Miechów i w nich skoncentrowano całą siłę, przenosząc już teraz dywizyon (2 szwadrony) jazdy na północ — do Radomia. Tej nowej dyzlokacyi, ukończonej 4 lutego niepodobna jednak uznać za stałą; daje tylko ona świadectwo, które punkty były przez władze rosyjskie uznane najbardziej godnymi obrony i z których punktów wyjść mogły najskuteczniej działające ekspedycye. Bowiem o ile — według historyka rosyjskiego — „przygotowanie stłumienia ruchu powstańczego polegało na koncentracyi wojsk — o tyle samo stłumienie na poszukiwaniach. Zgodnie z takiem zapatrywaniem, okres koncentracyi można nazwać częścią strategiczną kampanii, a poszukiwania — taktyczną.“ Poszukiwania te nie polegały wyłącznie na przetrząsaniu różnych okolic okręgu przez wyznaczone ekspedycye, ale na obsadzeniu także na dłużej niewielkiemi załogami punktów drugorzędnych. Tak np. słychać o spędzeniu załogi rosyjskiej z Iłży, albo ze Zwolenia, o posterunku w Opatowie, Staszowie, Sandomierzu itd. Wogóle w północnej części okręgu stały: 2 bataliony mohylewskiego, 2 halickiego i 1 połockiego pułków piechoty, dywizyon dragonów noworosyjskich, 2 seciny kozackie i 8 dział, a w południowej: 2 bataliony smoleńskiego p. p. i 1 batalion strzelców, dywizyon dragonów, 2 seciny kozak. i również 8 dział. Tak wykazują urzędowe źródła stan wojsk w lutym. Czy uległ on jakimś ilościowym zmianom — orzec napewno trudno; wiadomo

np., że z za Pilicy, z mazowieckiego, przeprawiała się ekspedycya gen. Meller-Zakomelskiego w celu zniszczenia Kononowicza. Konkretnie — o powiększeniu załogi Radomia podaje niesprawdzoną wiadomość pamiętnikarz, mówiąc o przybyciu „pułku świeżo sprowadzonych z Rosyi do Królestwa dragonów“ w początkach kwietnia. Historyk rosyjski, opisując ostatnią potyczkę Czachowskiego, wspomina o dragonach jekatierinosławskich — niewiadomo, czy używa innej nazwy na określenie dragonów noworosyjskich, czy mówi o owym świeżo przybyłym pułku.

Ekspedycye rosyjskie wysyłane prawie bez przerwy na poszukiwania, liczyły przeciętnie 2—4 kompanie piechoty[1]) i odpowiednią ilość kawaleryi, lub kozaków. Dział w ekspedycyach tych nie spotykamy, wyjąwszy wyprawę Czengierego pod „Piekło“ w kwietniu; do spotkania wówczas nie doszło. Drobniejsze oddziały wykonywały często manewry koncentracyjne, mające na celu osaczenie przeciwnika (Borya). Prócz tych wypraw poważniejszych, snuły się po okręgu radomskim lotne oddziałki zwane „partyzanckimi“; pod wodzą młodych oficerów; w skład takich lotnych kolumn wchodziła piechota, kawalerya i kozacy — po kilkudziesięciu ludzi każdej broni.

Komendantem okręgu radomskiego był gen. Uszakow, żołnierz doświadczony (brał udział w obronie Sebastopola), który z początku bagatelizował rozmiary i znaczenie powstania. Był on naogół, zdaje się, dość mało ruchliwym umysłem w rzeczach inicyatywy wojennej — wyręczali go w tym młodzi podkomendni, a przedewszystkiem komendant garnizonu kieleckiego, pułkownik Czengiery, wsławiony również w kampanii langiewiczowskiej podpułk. Dobrowolskij, major Rüdiger i t. d. Z po-

[1]) Kompania rosyjska z 63 r. liczyła przeszło 200 ludzi; bataliony składały się z 5 kompanii (każda piąta strzelecka), pułk z 3 batalionów.

czątkiem kwietnia przybył do Radomia z Kaukazu major Klewcow, doświadczony, jak sam o sobie opowiadał, w wojnie podjazdowej z plemionami kaukazkiemi; zobowiązywał się podobno w krótkim czasie stłumić powstanie sandomierskie, ale już w początkach maja zginął w bitwie pod Boryą. W wyprawach przeciwko Czachowskiemu uczestniczyli m. i.: podpułk. Bułatowicz, majorzy Czesławskij, Nasiekin, Niepielin, podpułkownicy Gołubow, Taube i Suchonin, który spowodował rozwiązanie oddziału Czachowskiego w czerwcu swoim niestrudzonym pościgiem. Wreszcie oddziałem, który sprowadził ostateczną klęskę i śmierć Czachowskiego, dowodzili porucznicy Miedjanow, Woroniec i Assijew[1]), Czerkies rodem, jeden z najzaciętszych partyzantów; służył czas jakiś w powstaniu u Kononowicza, a więc pośrednio pod Czachowskim, któremu podobno własnoręcznie zadawał ostatnie ciosy szablą. Wzięty do niewoli w zimie 64 r. przez gen. Bosaka, złożył Assijew na jego ręce słowo honoru, że nie będzie używał broni w walce z powstaniem i pod tą gwarancyą został puszczony na wolność; słowo jednak bez żadnego skrupułu złamał.

Pod względem wartości bojowej żołnierz rosyjski w okręgu radomskim nie przedstawiał żadnych wyjątków. Dostatek broni, amunicyi, odzieży i żywności, słynna rutyna egzercytacyjna — czyniła z niego mechanizm, działający w ruchach i obrotach sprawnie. Ale słaba i najsłabsza strona tego mechanizmu przejawia się tam, gdzie chodzi o maximum energii żołnierskiej, gdzie chodzi o wydobycie z mas entuzyazmu najwyższego — t. j. w momencie rozstrzygającym wedle taktyki nowoczesnej każdą walkę — w ataku bagnetowym. Ten brak wielkich moralnych nakazów, któreby stały poza rozkazem wodza, odbija się wyraźnie na bo-

[1]) Z różnie podawanej pisowni tego nazwiska przyjmujemy pisownię Berga.

jowej wartości żołnierza rosyjskiego. Wzięty do niewoli — drży on przed śmiercią i błaga o życie; zdarzało się, że pikiety rosyjskie (złożone, prawda, z kozaków) widząc maszerujący opodal oddział polski, nie alarmowały, w obawie, swojego obozu; pod Rzeczniowem np. oficerowie rosyjscy płazem pędzili piechotę do ataku.

Podobne fakty tłomaczą jasno, dla czego wyprawy wojska regularnego tak chętnie omijały lasy i dla czego tak długo utrzymały swe stanowiska oddziały polskie.

III. Przebieg działań.

Z pod Grochowisk dążąc w głąb kraju, oparł się Czachowski o lasy Śto-Krzyskie — „sam obdarty, opalony, osmalony, a żołnierze istne duchy dantejskiego piekła, brudni, w łachmanach, boso, pokaleczeni, z przyschniętą krwią na twarzy". Na znacznym obszarze sandomierskiego województwa ujrzał się Czachowski samotnym dowódzcą resztki, ocalałej z pogromu. W sumieniu swojem przesądził kwestyę osobistej odpowiedzialności za losy powstania sandomierskiego; podjął zadanie walki, opuszczonej przez dyktatora goszczańskiego — żołnierz Suchedniowa, Ś-go Krzyża, Małogoszczy, zmuszony był poczuć się wodzem garści, którą wyprowadził z ognia i błąkających się po okolicy rozbitków. Z tą siłą trzeba się zmierzyć z przeciwnikiem silnym, bo licznym i uzbrojonym.

Zadaniem ruchu powstańczego z wiosną 63 r. wedle zasad polityki powstania było: wytrwać, przeciągnąć walkę do spodziewanej interwencyi mocarstw; więc bić, nie by zwyciężać, ale by zwycięstwo przyszłe ułatwić. Podejmuje to zadanie Czachowski. Chce w pierwszej chwili skojarzyć wszystkie siły powstania sandomierskiego, choć początkowo tytułu prawnego do przeprowadzenia

tej akcyi skupiającej nie miał żadnego zgoła. Wyszedł od Langiewicza jako dowódzca pułku, a mianowany na radzie wełeckiej dowódzcą części korpusu langiewiczowskiego, miał prawo do przewodzenia resztkom dawnej armii dyktatora. Czuł jednak Czachowski na sobie ciążący obowiązek odpowiedzialności za los powstania sandomierskiego — nie pytał o tytuły prawne, kiedy działać trzeba było szybko i zdecydowanie. Twardym rozkazem zwołuje sąsiednie zbrojne oddziały — nim jeszcze przyjdzie nominacya od władz narodowych, która temu rozkazowi da moc niewzruszoną.

Nadciąga więc od północy, z puszczy kozienickiej, Kononowicz, z gór witosławskich idzie niesforny Gryliński, spieszy z południa galicyjski oddział pod Łopackim. Napełnia się obozowisko powstańcze. „Nadzwyczajne wrażenie — pisze naoczny świadek — wywarł na mnie widok tego obozowiska wiernych synów ojczyzny, niosących w ofierze za jej wolność własne swe życie i mienie, narażających się na okrutne barbarzyństwo dzikiego i ciemnego wroga i szyderstwa a naigrawania się nikczemnych własnych braci, wyrodków i zdrajców, nieprzyjaciół własnego kraju, a stronników wroga. — Te niebotyczne drzewa, w pośród których w wolnych pomiędzy temiż odstępach porozkładano ogniska, płonące różnobarwnem światłem — były urocze. Te postacie leżące i odpoczywające w różnych pozach na obfitej, a wilgotnej letniej trawie, inne przechadzające się wspólnie i po cichu gwarzące, inne znowu miarowym krokiem wchodzące lub wychodzące z obozu, inne jeszcze śpiące na wilgotnym leśnym posłaniu tak głęboko a smacznie, jak może na najwygodniejszej pościeli nigdy im się w życiu dotąd nie przytrafiło. Ten zresztą bohaterski starzec-wódz, nad którego snem czuwały setki oczu — przedstawiało to wspaniały a nader rzewny swojski obraz. U wszystkich, mimo, że ogromną większość stanowiła sama młodzież, mars osiadł na czole; determinacya i zadowolenie

z siebie widniały w wyrazie twarzy, choć powierzchowność ich więcej wyglądała na cyganów, niż na ludzi tutejszokrajowych, tak obszarpani i zabrudzeni byli. Całą oznaką, że to był obóz wojskowy stanowiły: wedety, podjazdy, patrole, raporta... Spokój i cisza były uderzające w stosunku do licznie nagromadzonej tu zwykle gwarliwej młodzieży".

Do tego to obozu ściągały zawezwane przez Czachowskiego oddziały. Nie mało trudu kosztowało, aby okiełznać niekarną naturę Grylińskiego. Chciał on za wszelką cenę utrzymać się na stanowisku samodzielnego dowódzcy, ale z Czachowskim była sprawa trudna: stary naczelnik umiał się chwycić ostatecznych środków, umiał zdławić bunt, choćby się miała nawet polać krew. Ugiął się wreszcie Gryliński i został wcielony do oddziału Czachowskiego. Inny był stosunek do Kononowicza. Pozostał on w dalszym ciągu samodzielnym dowódzcą, choć poddanym pod zwierzchnictwo naczelne Czachowskiego. Brakło jednak w oddziale Kononowicza zdolnych instruktorów, chcąc więc temu zaradzić, odkomenderował Czachowski kapitana Ludwika Michalskiego, który pełnił odtąd w oddziale czerskim funkcye instruktora.

To łącząc, to rozdzielając oddziały swój, Grylińskiego i Kononowicza, manewruje Czachowski dni kilka w lasach Iłżeckich. Odbywają się w tym czasie zbiorowe ćwiczenia z zakresu musztry, robienia bronią i sygnalizacyi, prowadzone pod kierunkiem Dobrogoyskiego. W tych pracach przygotowawczych nie zapomina Czachowski i o działaniach wojennych. Dowiedziawszy się o przybyciu do Iłży trzech rot piechoty z Radomia, wysyła gościńcem, idącym lasami na północ ku Iłży, niemal całą kawaleryę, jaką wówczas rozporządzał, a w ślad za kawaleryą piechotę i kosynierów. Operacya ta miała znaczenie czysto alarmowe i w zupełności odpowiedziała zamierzeniu. Placówki rosyjskie na widok wydłużonej linii oddziału polskiego,

po zwykłych strzałach alarmowych, cofnęły się do miasta. Tu popłoch, wywołany zbliżeniem się powstańców, wyraził się dobitnie w pierzchnięciu całej załogi z powrotem do Radomia, przyczem w odwrocie użyte zostały dla pospiechu podwody.

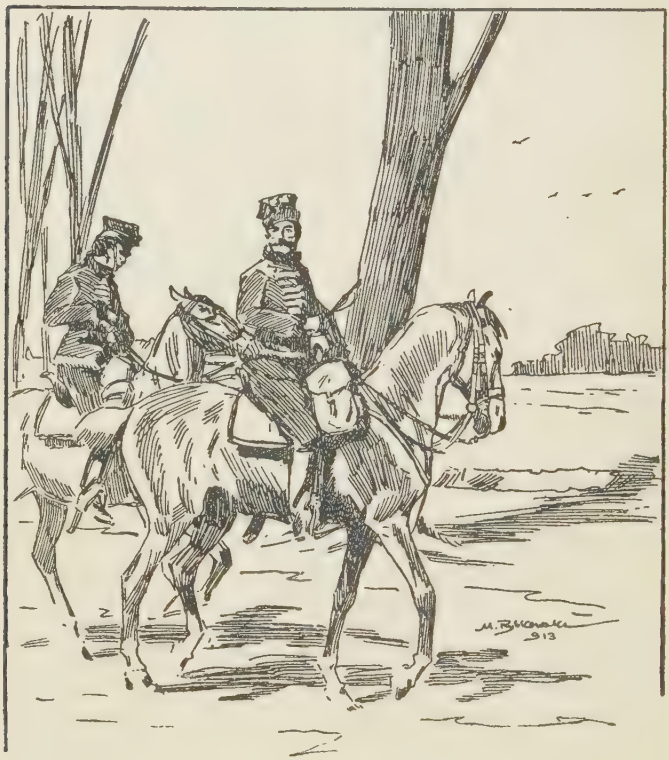

Udany pościg kawaleryi polskiej podniósł w oczach Rosyan to drobne zresztą wydarzenie do godności wielkiej akcyi, której celem jest zdobycie Radomia przez połączone siły powstańcze. Wersye te pochwycone i gorliwie pomiędzy ludnością miej-

scową szerzone, miały dać podłoże pod wykonanie poważniejszego, zuchwałego do nieprawdopodobieństwa alarmu.

Zjednoczone oddziały posuwały się dalej na północ, przechodząc nawet w okolicach Radomia.[1]) Był to dalszy ciąg manifestacyi, rozpoczętej zaalarmowaniem załogi iłżeckiej.

W powrocie na południe rozmija się Czachowski z oddziałem Jankowskiego i dąży dalej przez Zwoleń, którego załoga na wieść o zbliżającym się oddziale pozostawia miasto i szybko rejteruje na prawy brzeg Wisły, do Puław. W powrotnym marszu w sandomierskie, rozgłasza Czachowski wszędzie rzekomy swój zamiar napadu na załogi Solca, Zawichosta, Sandomierza, Opatowa. Trzeba było jeszcze czas jakiś utrzymać wroga w obawie, a tymczasem dokończyć organizacyi sił. Jakoż przerabia Dobrogoyski praktyczny wykład formowania z dwójek czwórek, sekcyi, plutonów i t. d. w marszu. Zająwszy kwatery w gościnnym Denkowie, na rynku miasteczka, ćwiczy się cały oddział pod okiem trzech dowódzców, a kierunkiem niezmordowanego Grzmota w formowaniu batalionów, w mustrze, w robieniu bronią. Trwa postój w Denkowie i gorączkowe ćwiczenia w czasie postoju dni kilka. Był ten krótki okres nie tylko krokiem naprzód w wyszkoleniu żołnierza, oderwanego od zajęć nic ze sztuką wojskową nie mających wspólnego. Były to chwile, „w których nam serca rosły, a pewności oraz wiary w samych siebie przybywało“, jak mówi pamiętnikarz.

Przyjąwszy pod swoje rozkazy świeżo przybyły oddział galicyjski Łopackiego ,ruszył Czachowski z dotąd zajmowanych siedlisk na północ od Denkowa, wyznaczywszy każdemu z podległych sobie oddziałów inną drogę. Wieczorem 15 kwietnia

---

[1]) Drążkiewicz podaje fakt przemarszu w odległości 1 wiorsty od Radomia. Wiadomość ta nie powtarzana przez inne źródła, jest prawdopodobnie przesadzona.

zajęły zjednoczone partye miasteczko Grabowiec; oddział Czachowskiego objął służbę obozową, podczas, kiedy reszta oddziałów została rozkwaterowana w mieście. Ogółem oddziały polskie, zajmujące Grabowiec i okolicę liczyły: Czachowski — 560, Gryliński — 500, Łopacki — 250, Kononowicz — 650, razem 1960 ludzi.

Wiadomość o koncentrycznym marszu Rosyan z Radomia, Opatowa i Staszowa sprawiła zakaz rozniecania tej nocy ogni, pomimo dotkliwego chłodu. Ze względu na spodziewany atak od strony Sienna, postanowiono wysunąć jako grangardę oddziału kompanię strzelców Czachowskiego pod kapit. Dobrogoyskim na wschód od miasta i obsadzić nią cmentarz. Zgodnie z panującymi przepisami, nie wolno było na grangardzie spać, ani palić. Po wystawieniu placówek i wedet, ułożyła się reszta kompanii na zmarzniętej ziemi, aby „nie pozostawić żadnego śladu istnienia w tem miejscu, a bacznie wszelki nawet szmer w ciemnościach nocy obserwując".

Rankiem dnia następnego dostrzeżono kolumnę rosyjską, ale nie ze strony, z której spodziewano się ją ujrzeć nocy ubiegłej. Od północnego wschodu z lasów wychylał się oddział rosyjski pod majorem Rüdigerem — tym samym, który kilka miesięcy temu tak nieludzko postąpił z bezbronną ludnością Szydłowca. Rozkazem dowódzcy zawezwana nocna grangarda przebiegła szybko miasteczko, formując front o paręset kroków już nazewnątrz miasta, wzmocniona drugą kompanią piechoty z oddziału Czachowskiego pod Dolnickim i kosynierami. Odległość rozwijającej się kolumny rosyjskiej od polskiej linii bojowej wynosiła już tylko przeszło dwie wiorsty. W tej chwili, kiedy oczekiwano z niecierpliwością ostatnich dyspozycyi przed bitwą, wyszedł rozkaz od Czachowskiego, nakazujący odwrót oddziałom Łopackiego i Grylińskiego, stojącym w Grabowcu, na południe, ku lasom iłżeckim; linię bojową zwinięto, Dolnicki z piechotą

i kosynierzy pomaszerowali w ślad za Łopackim i Grylińskim, Grzmot z kompanią strzelców szedł w straży tylnej. Wyszedłszy z miasta na drogę, wiodącą wprost ku lasom iłżeckim, straż tylna, wzmocniona kompaniami sztucernemi innych oddziałów, rozsypała się na obie strony drogi w linię tyralierską (5 × odstępu), mając na flankach kawaleryę. Taki szyk marszu odwrotowego ubezpieczał skutecznie ustępującą kolumnę. Rosyanie tymczasem, nie znalazłszy w opustoszałym Grabowcu nikogo, prócz wylękłej ludności, przywitali ją gęstym ogniem karabinowym, a następnie zwrócili się za miasto na południe, z zamiarem atakowania ustępujących oddziałów polskich. Nie odpowiadając, stosownie do rozkazu, na mocny ogień rosyjski, doszły polskie szeregi do skraju puszczy iłżeckiej, i zanurzyły się w nią, nieścigane już dalej przez wroga. Siła oddziału rosyjskiego wynosiła niespełna 1000 — piechoty i kozaków.

Pierwsze pytanie, jakie się przy przeglądzie tych wydarzeń nasuwa, jest: czemu w warunkach ze wszechmiar sprzyjających nie przyjęto bitwy? Wytłómaczenia tego faktu należałoby szukać w zwyczaju, przestrzeganym przez Czachowskiego, aby nie wydawać bitew w miastach, narażonych później na zemstę przeciwnika; w tym jednak wypadku podaje jedno ze źródeł pamiętnikarskich jako przyczynę odstąpienia od Grabowca — rozkaz ówczesnego Rz. N., który, wiedziony złudną nadzieją uzyskania pewnych postulatów na drodze dyplomatyzowania, zapragnął położyć tamę większym starciom w tym czasie.

W kilka dni potem burmistrz m. Grabowca, J. Ogiński wysłał list do gubernatora cywilnego w Radomiu, zawierający skargę na bezprawia, dokonane przez Rüdigera. Zamordowano ogółem 7 osób — w tym jedną brzemienną kobietę — raniono ciężko 3. Opuszczenie miasta przez zjednoczone oddziały zamiast ocalić mieszkańców od

gwałtów ze strony Rosyan — właśnie się do ich spełnienia przyczyniło.

Ustąpienie z pod Grabowca stało się przyczyną, że Gryliński tegoż samego dnia opuścił wyznaczone mu stanowisko w puszczy iłżeckiej, opodal obozu Czachowskiego, i samowolnie uszedł na południe. Osłoną tego niesubordynacyjnego kroku miało być niewydawanie bitwy w Grabowcu. Zemściła się wszakże ta niekarność dowódzcy na całym jego oddziale. Nazajutrz po opuszczeniu Czachowskiego, 17. IV uderzył w lasach ostrowieckich pod Brodami oddział majora Klewcowa na pozostawioną bez dowódzcy partyę Grylińskiego, który przed bitwą wydalił się z obozu. W potyczce tej szczególnem męstwem i wytrwałością odznaczył się kapitan żuawów Bogdan, który w zastępstwie Grylińskiego, pomimo otrzymanej ciężkiej rany, bił się na czele piechoty dotąd, dopóki nie opuściły go już zupełnie siły. Nie ocaliło to jednak oddziału, który poszedł cały w rozsypkę. Szczątki tylko, zebrane przez kawaleryę Czachowskiego, zostały włączone do jego oddziału.

Niemal w tym samym czasie szczęśliwiej powiodło się oddziałowi Kononowicza. Dla załatwienia interesów tego oddziału zmuszony był dowódzca jego udać się w ubraniu cywilnem wraz z dwoma adjutantami na północ. Przy oddziale pozostał tylko kapitan Ludwik Michalski, przydzielony jako instruktor. Czyniąc zadość poleceniu Czachowskiego, maszerował oddział w kierunku obozu pod Lipiem, gdzie przebywał Czachowski z Łopackim. W drodze tej natknięto się 18. IV. w okolicach Wąchocka pod Grzybową Górą nocą na oddział rosyjski. Spotkanie niespodziewane — jak się zdaje dla obu stron — nastąpiło w samym środku wsi. Kolumna rosyjska, ściśnięta na wiejskiej drodze pomiędzy płotami, pierwsza dała ognia. Ta salwa odrazu dała poznać powstańcom siłę Rosyan, kierunek ich marszu i stanowisko.

Za sprawnie wykonanym rozkazem Michal-

skiego, strzelcy polscy rozsypali się na obie strony drogi, ostrzeliwując oddział rosyjski z boków, a jednocześnie umożliwiając kosynierom atak frontowy. Szybkie i gwałtowne wykonanie rozkazu przez oddział powstańczy zmusiło Rosyan do bezładnego odwrotu. Porzucona broń stała się zdobyczą polskiego oddziału. Starcie to jest typowem ze względu na przewagę sił rosyjskich nad polskiemi i na wynik potyczki, wskutek którego plac bitwy otrzymali powstańcy.

W czasie, kiedy oddziały zjednoczone potykały się z mniejszem, lub większem powodzeniem, Czachowski wspólnie z Łopackim, zapadłszy w puszczę iłżecką, manewrował w niej nieuchwytnie. Kilka dni po odwrocie z pod Grabowca schodzi na utrudzających marszach (niektóre trwały 24 godzin bez spoczynku dłuższego) i na ćwiczeniach, znów pod kierunkiem Grzmota przerabianych o głodzie, bo od pobytu w gościnnych dworach w okolicy Grabowca upłynęło już dni kilka, a oddział w czasie pobytu w puszczy nędznie był aprowidowany. Nie bardzo było zresztą i kiedy jeść, bo alarmy bywały coraz częstsze. Pisały dzienniki zakordonowe, że „Moskwa wysyła jedne bataliony za drugimi w województwa krakowskie i sandomierskie: w Radomiu stoi obecnie 7000, w Kielcach 4000, w Sandomierzu, Stopnicy, Opatowie, Staszowie, Szydłowie i kilku mniejszych miasteczkach do 6000". A są to cyfry bardzo blizkie rzeczywistości. Przychodzą np. wieści, że do Radomia przybył w początkach kwietnia jekatierynosławski pułk dragonów z majorem Klewcowem z Kaukazu, który, obznajmiony z zasadami walki partyzanckiej, prowadzonej nieustannie w tym kraju, obiecywał pono zgnieść powstanie polskie w ciągu kilku tygodni. Zaglądał często z lewego brzegu Pilicy na prawy, w lasy kozienickie generał-major baron Meller-Zakomelskij, tropiąc wytrwale chroniące się tam oddziały mazowieckie. On to w tym samym nieomal czasie, kiedy bił się zwycięzko pod Grzy-

bową Górą oddział Kononowicza pod Michalskim, osacza wielekroć liczniejszemi siłami pod Brzózą, niedaleko od Kozienic, oddział Jankowskiego, który wychodzi z tej potrzeby cało tylko dzięki ogromnej przytomności umysłu dowódzcy.

W okresie marszów i ćwiczeń przybywa do obozu Czachowskiego, wezwany przez niego rozkazem, oddziałek 45 kawalerzystów pod Stamirowskim. Zajeżdża buńczucznie i hałaśliwie — z muzyką, na dobrych koniach, dobrze, nawet za strojnie odziany i wyekwipowany. Nie wiedział może Stamirowski, co go czeka, nie wiedział może, że rozkazem Rządu Narod. ma mu być odebrana władza nad oddziałem, bo jej nadużywał wiele razy, a sam uiegnie karze śmierci za popełniane rabunki i gwałty. Ale oskrzydlające ruchy wojsk rosyjskich sprawiły, że każda uzbrojona ręka mogła być przydatną. To sprawiło, że kiedy nazajutrz, dnia 22 kwietnia wyruszał Czachowski z obozu w nadziei nieuchronnego spotkania się z wrogiem — na szpicy kolumny marszowej jechał z dodanym mu kawalerzystą Stamirowski, wystawiony na kule nadciągającego wroga.

Wczesnym rankiem tego dnia Czachowski z Łopackim opuszczał obóz na czele dwu kompanii strzelców (swojej i galicyjskiej), dwu kompanii kosynierów i kawaleryi Stamirowskiego. Nad resztą, pozostałą w obozie, objął komendę Kononowicz. Doszedłszy do traktu bitego, ruszyła kolumna na północ, drogą, wśród gęstych lasów niekłańskich. Ledwie jednak polska szpica kawaleryjska doszła do lasów wsi Skłoby, opodal fabryk żelaznych Stefankowa, kiedy z lewej strony drogi, a więc od strony Skłobów, sypnął się na nią z za drzew gęsty ogień karabinowy. Wzdłuż drogi z zachodniej strony stał rozsypany łańcuch piechoty rosyjskiej. Był to jeden z oddziałów „tropiących", złożony z jednej kompanii smoleńskiego pułku piechoty i małego oddziału jazdy. Przewodził mu major Doniec-Chmielnickij. Plan zasadzki był obmyślony

szczegółowo, ale wykonaniu go przeszkodziła zbytnia skwapliwość w chęci schwytania Czachowskiego żywym, czy umarłym. Tej skwapliwości też zawdzięczać należy wynik potyczki. Dostrzegłszy Stamirowskiego, ubranego kosztownie, przepasanego pułkownikowską (nieprawnie zresztą noszoną) szarfą, linia rosyjska dała w kierunku szpicy salwę. Te strzały i widok rannego Stamirowskiego, zaalarmowały kolumnę polską — był czas poczynić odpowiednie przygotowania. Galicyjska kompania strzelców rozpoczęła ogień plutonami, a reszta kolumny zaczęła ustępować z gościńca na lewo w lasy. To strzelecką kompanię Czachowskiego prowadził pospołu z kosynierami Grzmot, zachodząc tyły zajętemu ogniem nieprzyjacielowi. Obejście wykonano bez zarzutu, zwłaszcza, że Rosyanie nie pozostawili za swą linią niezbędnych rezerw i ubezpieczeń. Rozsypana w linię kompania polska, mając za sobą kosynierów, doszła na niesłychanie blizką odległość — nieomal kilku kroków od tyralierki rosyjskiej, zajętej bojem ogniowym z kompanią Łopackiego. Tu dopiero salwą rozpoczęła się straszna robota bagnetów i kos. W środku walczącej linii szedł w szeregu kapitan Grzmot-Dobrogoyski, niebawem padł ugodzony kulą karabinową. Na widok jego śmierci „strzelcy porzucili nabijanie, i z kolbami do góry, jak Boża pomsta, rzucili się w szeregi moskiewskie.“ Próżne były błagania o pardon. Prawe skrzydło linii rosyjskiej zostało wybite, lub pojmane w niewolę. Lewe, gdzie już nie sięgał rozciągnięty łańcuch polski, rzuciło się do gwałtownej ucieczki traktem na północ. Pognała za nimi strudzona polska piechota, ale pościg dla braku kawaleryi małe dał wyniki. Resztki oddziału rosyjskiego zniknęły w lasach Rzucowa.

Nie zdołali jeszcze zwycięzcy ochłonąć ze zmęczenia i pozbierać porozrzucanej broni po zabitych i zbiegach, gdy przyszła wiadomość o marszu silnej kolumny Czengierego z Kielc, który za-

wiadomiony o założonym w „Piekle“ obozie Czachowskiego i oddziałów skonfederowanych, szedł ze znaczną siłą. Trzeba było co rychlej wracać do obozu i myśleć o obronie.

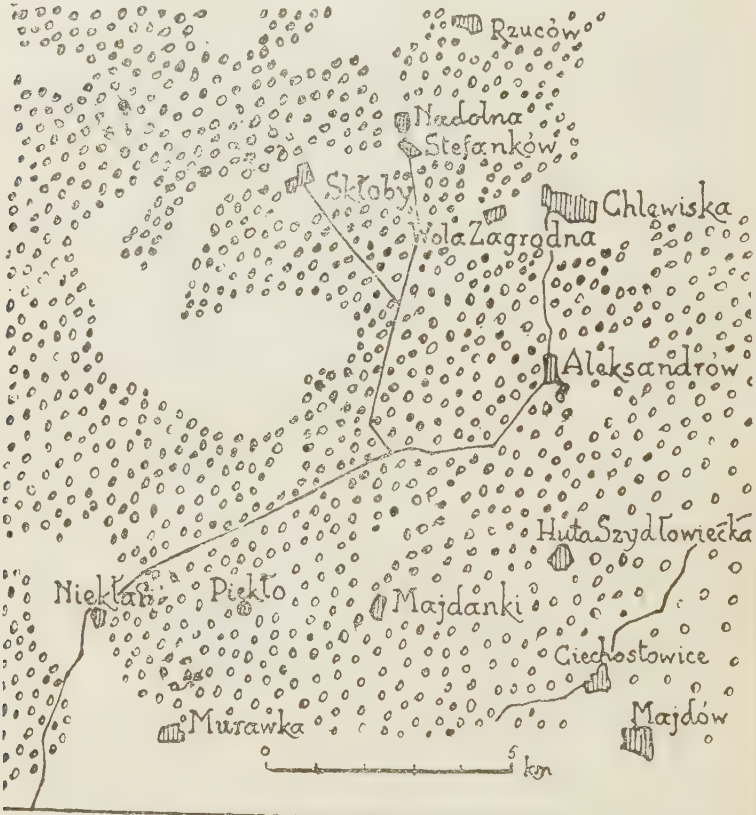

STEFANKÓW 22 KWIETNIA

Wyniki bitwy pod Stefankowem były — jeśli idzie o straty w ludziach — małoznaczne, z wyjątkiem śmierci Grzmota, stanowiącej stratę nie do

powetowania. Poległo 4, rannych było 14, w tej liczbie oficerowie: Łopacki, Tabaczyński, Olszewski i Stamirowski. Zdobycz natomiast była bardzo poważna: karabinów z pobojowiska zebrano 54, nie licząc tych, które dostawiła później ludność włościańska, zbierająca skrzętnie porzuconą w ucieczce przez Rosyan broń; prócz tego znaleziono kilka rewolwerów, trochę szabel oficerskich i kilkanaście tasaków podoficerskich. Zabrane karabiny wystarczyły na uzbrojenie nimi nowej kompanii strzelców. Na zdobytych 3 furgonach znaleziono kotły do gotowania, kilka tysięcy ładunków karabinowych, wreszcie nieco żywności i odzieży.

Straty Rosyan określić trudno, zwłaszcza, gdy idzie o zabitych. Atak strzelców i kosynierów był bezwzględny i gwałtowny. Historyk rosyjski (uznający przedewszystkiem źródła urzędowe), mówi o tej bitwie, że „major Doniec-Chmielnickij był rozbity na głowę“ i nadmienia, iż poległo na placu boju 30, ciężko rannych 20, powieszono 6. Te podane cyfry nie są zupełnie ścisłe. Należy raczej przypuszczać, że pozostało na placu bitwy około 60 trupów. Rannych nie było wcale. Rozbitków dopadł pod Gielniowem Bończa w 54 konie jazdy. Tu na czworobok rosyjski, uszykowany pod murem cmentarnym, trzykrotnie szarżował; rozbił przeciwnika, zabijając 8 ludzi i 1 biorąc w niewolę.

Pojmanych jeńców poddano ścisłej rewizyi, która wykryła przy nich znaczną sumę 11 000 zł. p., pochodzących niewątpliwie z rabunku. Nic dziwnego — byli to wszak ci sami ludzie, którzy tak niedawno jeszcze gasili bunt polski w krwi niewinnych mieszkańców Szydłowca i Wąchocka, którzy wsławili się okrucieństwem i grabieżą. Nad jeńcami złożono sąd, który skazał ich na śmierć przez powieszenie. Karę wykonano niezwłocznie.

Do rozstawionych na noc dokoła obozu wedet, zgłosili się o północy 3 chłopi z Mniowa, wsi położonej na południe od „Piekła“ i donieśli, że Czengiery, wyszedłszy z Kielc z siłą 2 batalionów pię-

choty, 2 szwadronów jazdy i pół bateryi (4 działa), zajął już Mniów, odległy od Piekła o jakieś trzy mile. Siła nieprzyjacielska nie pozwalała na przyjęcie bitwy. W ciszy nocnej zbudzono obóz i postawiono pod broń, ściągnięto wedety i podjazdy, zgaszono ognie. Na radzie wojennej, w której wzięli udział dowódzcy oddziałów Kononowicz i Markowski (w zast. rannego Łopackiego), szef sztabu Eminowicz i Czachowski, postanowiono wyjść natychmiast z obozu i trzema różnemi drogami dążyć pod osłoną nocy na nowy punkt zborny, wyznaczony w lasach radoszyckich.

Wieść o starciach pod Stefankowem i Gielniowem i zwycięzkich dla powstańców rezultatach rychło doszła do Czengierego i niewątpliwie musiała go poważnie zaniepokoić: rozproszona po grochowiskiej bitwie siła polska zmartwychwstawała z wiosną i znów napełniała lasy sandomierskie, znów z tych lasów groziła, jak z twierdzy niezdobytej. Z drugiej strony przychodziły do komendanta kieleckiego garnizonu wieści przesadne o potędze liczebnej zjednoczonych oddziałów powstańczych, zajmujących obozem wzgórze „Piekło“ pod Niekłaniem. Starał się więc Czengiery ostrożnymi marszami oskrzydlić niebezpieczne obozowiska: z Mniowa zamiast wprost drogą na północ w stronę Niekłania, poszedł ze swą kolumną na półn.-zachód, na Sielpię i Końskie, zawracając potem na wschód. Ostrożnie podchodził pod „Piekło“; Czengiery nie wiedział w tej chwili, że oddziały polskie są już daleko, że w pozostawionym przez nich obozie zastanie tylko wygasłe ogniska i mogiłę straconych „Smoleńców“. Od zachodniej strony obsypał tajemnicze obozowisko gradem kartaczy, a potem przypuścił szturm. W obozie nie było żywego ducha. Ciała powieszonych żołnierzy rosyjskich odkopano i odesłano do Radomia, a Czengiery przedsięwziął w lasach okolicznych energiczne poszukiwania. Dały one wynik nadspodziewany; oto odkryły straszne pobojowisko stefankowskie; plac tej

bitwy, w której nie dawano pardonu, w której kosa walczyła o lepsze z bagnetem. Tymczasem podjazdy Czengierego przyniosły wiadomości o znacznych siłach powstańczych, które gromadzą się na tyłach kolumny rosyjskiej, o zamierzonym marszu tych sił na Kielce, których załoga tak bardzo została osłabiona przez obecną wyprawę. Te wiadomości, spotęgowane jeszcze dowodami poniesionej wczoraj przez Rosyan klęski, spowodowały Czengierego do co rychlejszego odwrotu. Wracał szybkimi marszami do Kielc, wzywając załogi drobnych miasteczek wojew. krakowskiego do natychmiastowej pomocy względem zagrożonej stolicy. W szeregach żołnierskich szeptano o wielkiej sile i okrutnych wyrokach leśnych powstańców.

Podczas, kiedy Czengiery dążył na pomoc rzekomo zagrożonym Kielcom — oddziały polskie już znalazły oparcie w puszczy radoszyckiej. Pobyt ich jednak tutaj był dość krótki. Dwukrotnie złożono sąd wojenny nad wskazanymi przez Rząd Narodowy zdrajcami. Ujęto mianowicie w okolicach Sielpi (kilkanaście kilometrów na południe od Końkich) dróżnika drogi bitej kieleckiej, który był właśnie wysłany przez Czengierego w jego przemarszu z Mniowa do Końskich, dla zbadania sił powstańczych. Wina szpiegostwa, poparta licznymi dowodami, stała się podstawą wyroku śmierci przez powieszenie, który niebawem na drodze wykonano. Drugi wyrok objął 11 włościan ze wsi Wólka Kłucka (na południe od Końskich), oskarżonych o stanowisko nieprzyjazne względem powstania i szpiegostwo na rzecz Rosyan. I tu wina była oczywistą — i tu wyrok zapadł szybko. Wykonano go niezwłocznie w modrzewiowych lasach Samsonowa.

Lisimi zwroty maszerowały partye powstańcze przez puszczę radoszycką. Blizkość przemożnego wroga i gęstość jego posterunków zmuszała do ustawicznych zmian miejsca i do dzielenia zjednoczonej siły na mniejsze oddziały. Nocami nie rozniecano wcale ognisk. Dni kilka schodzi bez star-

cia, wyłączając drobną utarczkę Markowskiego z dragonami, stoczoną w przemarszu z lasów radoszyckich do puszczy iłżeckiej, na dawne leże pod Lipiem. Stąd ruszył Kononowicz, porozumiawszy się uprzednio z Czachowskim, na północ do dawniejszych swoich obozowisk: w lasy kozienickie. W obozie pod Lipiem pozostał Czachowski i oddział Łopackiego pod Markowskim. W marszu na północo-wschód, w kierunku Zwolenia, z którego znów spędzono załogę rosyjską do Puław, schodzi dni kilka. W tym czasie w lasach zwoleńskich napotykają oddziały partyę Jankowskiego i z nią w pochodzie powrotnym na południe biorą udział w zaimprowizowanej uroczystości 3 maja w miasteczku Tarłowie, nad Wisłą. Z dniem tym kończy się okres marszów i kontrmarszów, przeplatany od czasu do czasu wesołymi tańcami, dniami głodu, ćwiczeniami z zakresu tyralierki, okres nocy bez ognisk w oczekiwaniu starcia. Przychodził czas uporczywych starć, od których nie było nawet spoczynku nocami.

Pogodnym rankiem 4 maja wyruszyła kolumna powstańcza z Tarłowa, idąc na Ożarów. Mieszkańcy tego miasteczka, w przeważnej części żydzi, witali uroczyście przybywających; do obozu, założonego w pobliżu, znoszono w wielkich ilościach żywność, a niebawem przy dźwiękach kapeli ożarowskiej puszczono się w ochocze tańce. Weseli tanecznicy nie przeczuwali może nawet tego, jak krótkie chwile spoczynku i wytchnienia zostały im jeszcze w udziale. Jakoż w południe padł rozkaz: stanąć pod bronią w ciągu pięciu minut. Kierunek marszu szedł na północny zachód, przez Gliniany, w kierunku wsi Bałtów, położonej na lewym brzegu rzeki Kamiennej o 3 mile od jej ujścia. W odległości mniejwięcej ½ mili od Bałtowa, kiedy właśnie straż przednia kolumny maszerującej wychodziła już z lasu, ciągnącego się po dwu stronach drogi — padł strzał. Było to hasło do walki. Natychmiast prostopadle do drogi na prawo od niej

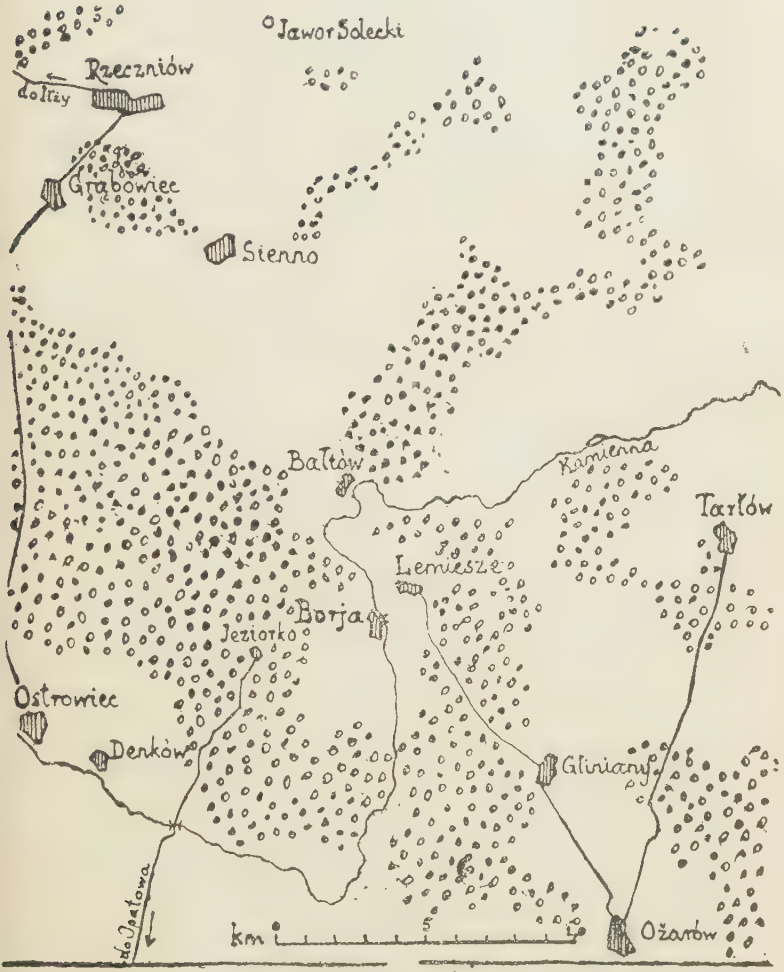

POLE STARĆ 4, 5, i 6 MAJA 1863.

rozwinięto łańcuch tyralierski, którego prawe skrzydło stanowiła kompania strzelców Czachowskiego pod Dolnickim, a lewe kompania pod Manowskim. Rozpoczęła się wymiana strzałów z piechotą rosyjską, ukrytą wśród zabudowań folwarku Lemiesze. Była to ruchoma kolumna, dowodzona przez majora Klewcowa, złożona z 3 kompanii piechoty i szwadronu dragonów. Zajmowała ona wieś Borję, leżącą na lewym brzegu Kamiennej, około 5 kilometrów niżej od Bałtowa; obecnie przeszła na prawy brzeg rzeki i zajęła folwark Lemiesze.

Ogień rozpoczęto około godziny 3 po południu, a zakończono dopiero o zmroku. Ogniem tym silnie przerzedzono siły rosyjskie. Nie doszło jednak do ataku bagnetowego: przeszkodził temu zapadający wieczór i bardzo niedogodna pozycya polskiej tyralierki, rozsypanej w części na przestrzeni prawie zupełnie ogołoconej z pokrycia, pozbawionej naturalnych zasłon w terenie. Pomimo jednak tych braków, ogień polski wykazał znaczną przewagę nad rosyjskim. Dniem jednak ostatecznej rozprawy z kolumną Klewcowa miał być dopiero dzień następny. Postanowiono zgodnie z tem, co pisały podręczniki taktyki powstańczej „po zwycięstwie odniesionem, po sprawionym popłochu, nie zasypiać — lecz natychmiast korzystać i wroga cisnąć."

Podczas, gdy oddziały polskie po kilku godzinach krętego marszu zajmowały na noc okolicę leśniczówki Jeziorko, położonej już na lewym brzegu Kamiennej, na południowy zachód od Borji, oddział rosyjski również przeszedł z powrotem rzekę i dążył w kierunku Opatowa, wysławszy uprzednio pod eskortą konnicy rannych na podwodach. Przed południem 5 maja, maszerująca na południe, w stronę Opatowa, kolumna polska została powitana salwą karabinów rosyjskich, daną z za sągów drzewa, gdzie ukryci byli żołnierze z bitwy wczorajszej. W odpowiedzi na strzały, sypnęła kompania Rudowskiego, idąca w przedniej straży, celnym ogniem; tymczasem kompanie kosynierskie rozwi-

jały się szybko na lewo od drogi i atakowały prawe skrzydło kolumny nieprzyjacielskiej. Atak ten wykonany był niezmiernie szybko — tak, że zamknął Rosyanom odwrót na południe zupełnie. Atakowany z dwu stron oddział rosyjski zaczął cofać się w popłochu w tym kierunku, jaki mu jedynie pozostał — t. j. na południowy zachód, w stronę Denkowa. Aż pod Ostrowiec gnano pierzchających, którzy w pościgu tym stracili 90 ludzi, a w tem 2 oficerów zabitych. Między zabitymi znajdował się wódz niefortunnej wyprawy, major Klewcow. Siła polska, biorąca udział w tym pościgu, w powrocie do pozostawionych w miejscu rezerw, dostawiła przeszło 100 karabinów, 3 furgony, na których znaleziono ładunki i przygotowane kajdany, oraz 4 jeńców. Za chwilę jeńcy, przywiązani do drzew, ulegli karze śmierci przez rozstrzelanie.

W obu starciach straty polskie były bardzo małe. Wyniosły w sumie 7 poległych, których pochowano na miejscu i 20 rannych, którzy zostali odwiezieni na potajemną kuracyę. Straty rosyjskie były znaczne; nie określa ich jednak ubytek stu kilkudziesięciu, czy dwustu żołnierzy, śmierć dowódzcy, czy utrata karabinów i amunicyi. Minusy bitew pod Lemieszami i w lasach bałtowskich dla Rosyan polegały na depresyi, jaka opanowała rozbitków i jaka przez nich rozszerzać się musiała szybko, jak zaraza na szeregi wojska rosyjskiego. Klęska ostatnia już nie była porażką pod Stefankowem, jaką poniósł mały oddziałek Doniec-Chmielnickiego w walce z silniejszym przeciwnikiem. To było starcie batalionu piechoty, szwadronu jazdy i oddziału nieodłącznych kozaków z drobną siłą ośmiuset kilkudziesięciu ludzi, z których część tylko była zbrojną w oręż palny — i to nie zawsze odpowiadający zadaniu. A przecież i z tej siły w bitwie pod Jeziorkiem walczyło pięćset kilkudziesięciu ludzi, podczas, gdy reszta pozostawała w rezerwie. Bitwy 4 i 5 maja obróciły w niwecz nadzieje rosyjskiego sztabu w Radomiu na szybkość stłu-

mienia ruchu powstańczego drogą praktykowanej na Kaukazie z powodzeniem wojny podjazdowej. Jeden z tych „Kaukazczyków“ wieziony był teraz do Opatowa, śmiertelnie ugodzony kulą powstańca.

Już w czasie bitwy w lasach bałtowskich otrzymał Czachowski wiadomość, że z dwu stron ciągną nowe oddziały rosyjskie w ogólnej sile 8 kompanii piechoty i 2 szwadronów kawaleryi. Czas było znużonemu dwudniowym bojem żołnierzowi dać krótki wypoczynek — a spokój znaleźć było można tylko w głębi wielkich lasów. Idzie więc Czachowski na północ; mija Bałtów, gdzie ruiny zamku zajął na nocne leże Jankowski i sam na północ od tej wsi zakłada obozowisko bez ogni. Znużenie w szeregach było wielkie, spotęgowane jeszcze głodem dotkliwym; dość powiedzieć, że od sutego posiłku w Ożarowie w dniu 4 maja, wedle relacyi pamiętnikarza „prócz bardzo mikroskopijnych racyi chleba i wódki, któreśmy z rana otrzymali — nic więcej — nawet wody w ustach nie mieliśmy.“

Rankiem 6 maja przybył do obozu Jankowski z Bałtowa i uformowawszy ze swego oddziału straż przednią, ruszył na północ, a za nim pozostała siła główna. Pierwszy spoczynek wypadł nieco na północ od kolonii niemieckiej Jawor Solecki, której ludność za przybyciem powstańców opuściła swoje domostwa, gdyż zajmując względem ruchu stanowisko nieprzyjazne, obawiała się prawdopodobnie nowych represyi; przed miesiącem bowiem dwu kolonistów-Niemców, którym udowodniono szpiegostwo, zostało powieszonych z rozkazu Czachowskiego. Tymczasem jeden z oddziałów rosyjskich był już widocznie na tropie kolumny powstańczej, gdyż od południa dochodziły odgłosy silnego ognia karabinowego. Okazało się, że oddział rosyjski, idąc w ślad za powstańcami, a napotkawszy na drodze zabudowania jakiegoś dworku, w mniemaniu, że tam zamknęły się ścigane partye, dawał w kierunku domu gęste salwy. Niepodobna było wszakże czekać, by nieprzyjaciel, zoryentowawszy się

w swojej omyłce, posunął się bardziej na północ. Miejsce do przyjęcia bitwy z silniejszym, a do te-

SZARŻA JAZDY POLSKIEJ POD GIELNIOWEM.

go z dwu stron przybywającym przeciwnikiem nie nadawało się zupełnie: okolica była wprawdzie lesista, ale kępa lasów, na której rozegrałyby się wal-

ka, nie łączyła się z żadną z okolicznych puszcz; w razie porażki nie byłoby mowy o odwrocie i ocaleniu chociażby części sił; pozostawałaby bitwa na śmierć — a na tę było jeszcze zawcześnie.

Z miejsca spoczynku za Jaworem Soleckim ruszono na południowy zachód przez Rzeczniów, ku puszczy iłżeckiej; ruszono z miejsca marszem stopniowo przyspieszanym tak, że w końcu straż tylna zaledwo biegiem mogła nadążyć za kolumną. W tym czasie flankierzy oddziału rosyjskiego, wciąż bezcelowo ostrzeliwującego budynki folwarku na południe od Jawora, dostrzegli zmierzającą ku Rzeczniowu kolumnę polską. Nie zważając na znaczną odległość, sypnęli flankowi dragoni ogniem zupełnie nieszkodliwym. Tuż za Rzeczniowem ogień dragoński stał się bardziej dokuczliwym; przybywało dragonów coraz więcej, a w tyle za nimi rozwijała się piechota nieprzyjacielska.

W tym przemarszu przez Rzeczniów, pod gradem kul, dokonał Czachowski reorganizacyi zjednoczonych oddziałów. Z oddziału swojego, galicyjskiego i świeżo znów przyprowadzonych Grylińszczyków, stworzył trzy bataliony pod dowództwem Dolnickiego, Rogójskiego i Markowskiego. Otóż obecnie, dla zasłonięcia odwrotu maszerującej w kierunku lasu kolumny, rozsypano w tyraliery trzy kompanie strzeleckie, aby ułatwić kolumnie wejście na wzgórze, leżące na południo-zachód od Rzeczniowa. Na płaszczyźnie tego wzgórza rozciągała się linia lasu, w którym znikła straż przednia pod Jankowskim i Czachowski z resztą kolumny marszowej. Doszedłszy do skraju lasu, łańcuch tyralierów polskich zatrzymał się i ukryty za pierwszemi drzewami rozpoczął już systematyczny i celny ogień do następującej wciąż linii batalionu majora Gołubjewa. Musiała być jednak bardzo słabą łączność pomiędzy polską kolumną marszową a łańcuchem zasłaniającym odwrót, skoro po wejściu w las Jankowskiego i Czachowskiego, tracą strzelcy z nimi kontakt. Zająwszy skraj lasu, łań-

cuch strzelców polskich, w oczekiwaniu na dalsze dyspozycye, odstrzeliwał się gęsto następującemu wrogowi, a raz nawet odparł bagnetem atak pędzonych przez oficerów szablami tyralierów rosyjskich. Trwała ta walka nierówna czas jakiś i byłaby może zakończyła się odwrotem silniejszych Rosyan, gdyby nie to, że poza walczącą linią polską nie było żadnych rezerw.

Podczas bowiem, kiedy strzelcy osłaniający Jankowskiego i Czachowskiego, weszli w las — szwadron dragonów, idący na prawem skrzydle linii rosyjskiej, śpiesznie posunął się naprzód i silnym ogniem zaatakował kolumnę polską. Jankowskiego już wówczas nie było przy Czachowskim, bo na krótko przedtem, odłączywszy się od kolumny, poszedł na północny zachód i rozłożył się w lasach obozem. Był ten jego krok karygodną niesubordynacyą, zwłaszcza, że blizką była chwila wydania bitwy. Kiedy więc dragoni natarli na maszerującą kolumnę polską, powstał nieopisany popłoch. „Kosynierzy, furgony, piechota, kawalerya, słowem wszyscy powstańcy teraz zmięszali się w jeden uciekający i wrzeszczący tłum — a tak pośpiesznie, że jadący konno znajdowali się narówni z piechurami". Nie pomogło i to, że Czachowski krzyczał, rąbał, że zastrzelił nawet kilku uciekinierów — ogarnięty paniką tłum nie oparł się aż dopiero w puszczy iłżeckiej.

Zawdzięczając więc z jednej strony niekarnemu postępkowi Jankowskiego, z drugiej zaś niewytłumaczonemu popłochowi kolumny, maszerującej pod Czachowskim — strzelcy w sile trzech kompanii, broniący uparcie lasu, w który weszła cała siła polska, pozostali bez żadnych ubezpieczeń w tyle. To sprawiło, że piechota rosyjska, nie mogąc atakiem frontowym przełamać tyralierki, zaszła kompaniom polskim tyły. Obejście to, wykonane od strony, w której stać powinna była cała kolumna polska, jako rezerwa walczącej tyralierki — rozproszyło łańcuch strzelców — choć nie na długo.

Wyniki tej bitwy, jeśli chodzi o straty w ludziach przedstawiały się następująco: ze strony polskiej poległo 16-u, a około 40-u rannych przewieziono na kuracyę; Rosyanie stracili 82-ch poległych i wielu rannych, których liczby dokładnej określić niepodobna — dzienniki zakordonowe donosiły, że rannych żołnierzy rosyjskich wieziono do szpitali na 37-u podwodach. Ale gorszym od strat w ludziach był postrach, jaki opanował część oddziału polskiego, która nie dbając o pozostawione za sobą 3 kompanie strzelców, umknęła w lasy iłżeckie. Ze względu na to i na przerwanie związku między częściami oddziału, bitwę pod Rzecznio-wem uważać należy ze stanowiska polskiego za porażkę dotkliwą.

Trzy kompanie strzeleckie, znalazłszy się w komplecie (po odliczeniu poległych i rannych) w sumie ogólnej dwustu kilku ludzi — wzięły sobie za cel najbliższy: odnaleźć ślady marszu Czachowskiego i połączyć się z nim corychlej. Zadanie było trudne do wykonania: w pobliżu kręciło się mnóstwo podjazdów rosyjskich, wyczerpała się już prawie doszczętnie amunicya. Błądząc kilka dni bezskutecznie po lasach i zasięgając coraz to innych, często sprzecznych wiadomości o kierunku marszu wodza i rozmiarach poniesionych przez niego strat, napotkali strzelcy w lasach na północny wschód od Iłży oddział Jankowskiego. Przyjęci gościnnie i zaopatrzeni w amunicyę, suto odżywiani i honorowani po dworach, nie przestawali ani na chwilę myśleć o powrocie do swojego dowódzcy, pod którym nie zaznali przecież nic innego, prócz chłodu, głodu w nieustannej gotowości do boju. Tymczasem Jankowski, znając wartość żołnierzy Czachowskiego, jednał ich dla swojego nowego planu wojennego, który zrodził się w jego zdolnej, ruchliwej głowie. Chciał Jankowski zuchwałość polskiego żołnierza wystawić na ostateczną próbę: oto powziął plan zaalarmowania w tysiąc kilkuset ludzi stolicy Polski — Warszawy, która

ogołocona z wojsk, wysłanych na liczne po kraju ekspedycye, gościła w swoich murach tylko załogę 6000 ludzi. Miałby na celu ten alarm obudzenie ducha w stolicy i kraju, zmuszenie wroga do koncentracyi sił w mieście, a przez to umożliwiłby skuteczniejsze organizowanie powstania w kraju. Miał ten projekt wielkie plusy ze stanowiska strategii powstańczej, a jakże musiał odpowiadać Czachowczykom, przywykłym do tylokrotnych alarmów Radomia, Iłży, Zwolenia i innych miast. Przeważyła jednak w karnych żołnierzach wierność dla wodza, który oczekiwał ich, wyrwawszy się z matni z resztkami, który rozkazem krótkim wzywał ich na punkt zborny, na dalszą, ciężką służbę. Ratując resztki ogarniętego popłochem oddziału, szedł Czachowski z pod Rzeczniowa na wschód, ku Wiśle. Ciężki to był pochód. Między licznemi kolumnami Rosyan, którzy za wszelką cenę doprowadzić chcieli do zniszczenia niebezpiecznej partyi, trzeba było przeprowadzić strwożone, ucieczką bezładną zdemoralizowane szczątki. Kiedy więc znalazł się Czachowski w Solcu nad Wisłą — tejże samej nocy „Galicyanie z dawnego oddziału Łopackiego ,widząc się tylko o mil trzy od granicy swej prowincyi, umknęli w części, a co gorsza posprzedawali swoje uzbrojenie żydom, biorąc po rublu srebrem za karabin“. Reszta zdekompletowanego odziału zdradzała podobne skłonności. Chcąc przeto zapobiec dalszej dezercyi i frymarce bronią, rozbroił Czachowski resztę, zakopał w lesie broń, zatrzymawszy przy sobie tylko 45-u kawalerzystów — przeważnie oficerów i podoficerów. Z tą garścią stanął w Słupi Nadbrzeżnej, z zamiarem przejścia Wisły w lubelskie, kiedy go dopadł w nocy Dolnicki z raportem kompanii strzeleckich, oczekujących w komplecie rozkazów. Zaraz też następnej nocy witał Czachowski swoich celnych strzelców po 6-cio-dniowej rozłące. Zaczynał się nowy okres kampanii.

Trzeba było przedewszystkiem zorganizować

się od nowa i wzmóc, dla tem skuteczniejszych działań. Kilka dni trwa w lasach ciepielowskich musztra. Zgłaszają się też pojedynczo rozpuszczeni przed kilku dniami żołnierze.

15 maja ogłasza Czachowski uroczyście w Ciepielowie Rząd Narodowy i zarządza pobór do wojska w ilości 16-u młodzieży, służącej już poprzednio u Langiewicza i w innych oddziałach. Przy wykonywaniu przysięgi na wierność Rządowi „obywatelstwo — jak pisze pamiętnikarz — choć pot spływał kroplami z czoła ze zbytniego gorąca, bo upał był niesłychany, a mały kościół przepełniony, całkiem jednak jakoś ozięble przysięgało i to półgłosem. Za to włościanie, a wyraźniej jeszcze od nich mieszczanie każde słowo powtórzyli głośno".

Z Ciepielowa idzie Czachowski na północ, wypłasza znów ze Zwolenia jego załogę, czyni w mieście nowe zaciągi i rusza w lasy radomskie. Zbliża się kilkakrotnie do Radomia, bojaźliwie, a bezskutecznie zaczepiany przez podjazdy dragońskie i kozackie. Po bitwach bowiem stefankowskiej i boryjskiej, często oddział polski przechodził w odległości kilkudziesięciu ledwie kroków od pikiet rosyjskich, które, przejęte grozą świeżych egzekucyi i bitew bezpardonowych, nie śmiały uderzać na alarm .

Rzadko paląc ogniska, krąży Czachowski mimo licy swoich dawnych obozowisk; odwiedza Lipie, „Piekło", lasy starachowickie. Dzień za dniem schodzą bez starcia — znów głucho milczą lasy. Zaniepokojone tem milczeniem dzienniki zakordonowe piszą: „słuszna jest obawa, aby Czachowski mimo męstwa swego nie musiał ulec przemagającym siłom; zwracamy na to uwagę, choć zawsze nie tracimy nadziei, że dzielny ten partyzant zręcznie usunie niebezpieczeństwo grożące". Płonne to jednak były obawy, spowodowane pozorną bezczynnością: przecież to nieuchwytne krążenie, to ukazywanie się nieustanne w pobliżu posterunków rosyjskich, a potem zapadanie w lasy głębokie — przecież to wszystko utrzymywać musiało wroga w ciągłym

napięciu i gotowości bojowej, podsycać w nim ciągle świadomość, że oto w borach ciemnych zaszyli się rycerze polskiej sprawy, że czuwają pilnie, że lada chwila zjawią się tuż — pod bokiem. Była ta bezczynność milcząca czynem nieustannym.

W tym to czasie w północnym kącie województwa sandomierskiego bili się zwycięsko Kononowicz i Jankowski w 8-godzinnym boju z 7-u kompaniami piechoty rosyjskiej, która w dwu kolumnach — z Białobrzegów i Radomia przybywała w zamiarze zgniecenia oddziałów.

Z lasów iłżeckich i radomskich idzie Czachowski w lasy okr. koneckiego i tu przebywa aż do końca prawie maja. Tu przychodzi 29 maja, po raz pierwszy od bitwy rzeczniowskiej, do starcia. Może chęć ponownego nawiązania kontaktu z Jankowskim i Kononowiczem skłoniła Czachowskiego do przeniesienia teatru działań ze wschodu na północny zachód Sandomierszczyzny — z pod Ciepielowa aż pod Białobrzegi nad Pilicą. Wiadomość o tej zmianie miejsca rychło doszła do załogi miasta Opoczna. Wyprawiono też stamtąd niezwłocznie 7 kompanii piechoty i dwie seciny kozackie; przewodził im podpułkownik Dobrowolskij, ten sam, który przed trzema miesiącami zasiał pola Małogoszcz trupami powstańców, którego ogień morderczy bohatersko wytrzymał Czachowski, broniąc ze swym batalionem przeprawy przez Łośnę .

W tej chwili 4 kompanie ekspedycyi opoczyńskiej za pomocą podwód dopędzały kolumnę polską w okolicach wsi Kadłubka, niedaleko Białobrzegów, uderzając od południa na jej tyły. „Teren, na którym bitwa stoczoną została — opowiada naoczny świadek — ciągnął się od Radzanowa aż pod wieś Kadłubek — z zachodu na wschód — przeszło mil dwie. Był on przeważnie płaski, mocno podmokły, choć małymi wzgórkami okryty, na którym rosły niewielkie kępy lasków, miejscami od południowej strony, na którejśmy się właśnie bili, smugami rudawicznych łąk i klinami pól poprzerzynany“.

Te dogodne warunki topograficzne sprawiły, że utarczka białobrzeska, trwająca do zmroku, nie tylko nie zniszczyła Czachowskiego, ale przeciwnie uszczupliła siły nieprzyjacielskie. W miarę bowiem zbliżania się kolumny rosyjskiej do miejsc, zajętych przez oddział polski, z każdej z trzech kęp leśnych witano ją gęstym i celnym ogniem: w każdym bowiem lasku ukryta była kompania strzelców. Te powtarzające się z różnych stron strzały, doprowadziły Rosyan do przeświadczenia, że mają sprawę z kilkoma silnymi oddziałami. To zapewne spowodowało ich do cofnięcia się z zapadającym wieczorem na południe do poblizkiej wsi Chruściechowa.

Pole bitwy od północy przytykało do traktu Białobrzegi-Radom, którym maszerowała kolumna rosyjska z Białobrzegów w sile 1-go batalionu, zbliżając się do miejsca starcia właśnie wtenczas, kiedy wyprawa opończyńska była już w Chruściechowie. Wówczas z rozkazu Czachowskiego półkompania strzelców zajęła pozycyę z obu stron gościńca w lesie i kiedy marszowa kolumna rosyjska w szyku zwartym zbliżyła się na kilkaset już tylko kroków od zasadzki — sypnięto w nią silną salwę. Skutek był doraźny, Rosyanie cofnęli się śpiesznie z powrotem do Białobrzegów, unosząc zabitych i rannych.

Siły polskie, użyte w tych starciach, wynosiły: 3 kompanie piechoty i strzelców — 370 l., kosynierów 50, kawaleryi 19 (reszta wysłana była na zwiady), ogółem 439. Straty poniesione doszły do liczby 22 ludzi, z czego 7-u poległych i 15-u rannych. O stratach rosyjskich pisały dzienniki, że „Moskali zostało do 20-u na polu bitwy"; zważywszy jednak na to, że uniesiono z miejsca starcia pewną ilość zabitych i rannych — przyjąć możemy tę liczbę za mniejszą od rzeczywistej — zwłaszcza, że źródła pamiętnikarskie podają cyfry o wiele większe.

Po starciach 29 maja idzie Czachowski na pół-

nocny wschód i oparłszy się w puszczy kozienickiej, chce za wszelką cenę połączyć się z Kononowiczem, którego już począł był osaczać generał Meller-Zakomelskij. Ale nie dało się to uskutecznić ani prośbą, ani rozkazem, ani groźbą wreszcie. Głuchy na wszystko Kononowicz posunął się dalej na północ — w lasy Magnuszewa, nie wiedząc, że w widłach Pilicy i Wisły — w moczarach leśnych, czeka na niego śmierć. Może chciał wrócić znów do powiatu czerskiego, nad którym sprawował z polecenia władz narodowych godność naczelnika wojennego; może zapragnął wrócić w te strony, gdzie pod Chojnowem, niespełna dwa tygodnie temu walczył z powodzeniem?

Wracał Czachowski po tych nieudanych zabiegach krętymi marszami na południe. Doszedł aż do Wisły w tem miejscu, gdzie uchodzi do niej Wieprz, gdzie się piętrzą ściany twierdzy dęblińskiej; umyślnie rozwleczoną kolumną defilował pod twierdzą. Stąd zawrócił znów na zachód i przez Czarnolas podążył już wprost na południe, zajmując Lipsk. Wreszcie 4 czerwca staje Czachowski na uroczystość Bożego Ciała w Siennie; nie wiedział jeszcze, że w tym samym może momencie, w dalekiej Warce nad Pilicą, stawał odważnie pod słupem śmierci Władysław Kononowicz i odbierał „12 kul poniżej serca", że oddział czerski rozproszony ginął w bagnach leśnych od rosyjskich bagnetów, że pojmany kapelan oddziału, ks. Agrypin Konarski, miał za kilka tygodni umrzeć na stokach cytadeli warszawskiej od pętli szubienicznej.

Został teraz Czachowski na obszarach sandomierskich sam; chodził jeszcze w pow. opoczyńskim Wiśniewski z 12 żandarmami. Bończa był w wojew. krakowskiem.

„Tylko manewrami i umiejętnem wyzyskaniem osłon terenu musieliśmy się oddziałom rosyjskim wymykać — pisze pamiętnikarz — a w ostateczności skrzydłową bitwę przyjmować z jedną kolumną; starłszy się z nią, maszerować znów dalej, co

tchu starczyło.“ „Trudy, nędzna i nieregularna żywność bardzo dziesiątkowały nasz oddział — mówi inny świadek — jedni mieli febrę, drudzy dostawali tyfusu, inni z wycieńczenia sił, lub pokaleczenia nóg od ciągłego marszu, iść dalej nie mogli...“ Forsownymi marszami, dochodzącymi do 12 mil na dzień, mierzy Czachowski puszczę iłżecką; idzie na północny wschód do Jedlni. Z Jedlni pro-

ZGON DOBROGOYSKIEGO.

wadził Czachowski swój znużony oddział na pole niedawnej bitwy — pod Chruściechów, a stąd przeprawił się przez poblizką Pilicę na lewy jej brzeg i zajął Nowe Miasto. Krótko jednak przebywa w wojew. mazowieckiem — zaledwie kilkadziesiąt godzin; odbiera tylko ukrywającemu się tu Stamirowskiemu jego 46 koni i wraca z powrotem w sandomierskie. Oddział ścigany jest tak natarczywie, że użycie podwód staje się koniecznością. I to przecież nie chroni od starcia, które w chwili ogólnego znużenia nie mogłoby być pomyślnem. Takie starcie z oddziałem dragonów zaszło w opoczyńskiem pod Rusinowem, a następnego dnia, t. j. 9 czerwca pod Blizinem, w którem wedle sprawozdań dziennikarskich, padło ze strony powstańców 60 ludzi. A przecież nawet wówczas — „jedno stanowcze zwycięstwo, które oddałoby w moc naszą znowu pewną ilość amunicyi wroga, mogłoby stanowczo na czas jakiś zapewnić nam istnienie“ — pisze jeden z żołnierzy. Ale to „stanowcze zwycięstwo“ mogło wówczas, kiedy walcząca garść nie miała należytego moralnego i materyalnego poparcia — być tylko marzeniem.

Maszerował Czachowski na południe, po przez puszczę radoszycką w kierunku dobrze znanej Wólki Kłuckiej. Przeszedłszy lasy tej wsi, 10 czerwca stanął obozem o 6 wiorst tylko od Kielc — pod bokiem groźnego Czengierego, po 20-godzinnym marszu z pod Niekłania. „Byliśmy tak znużeni, spragnieni — szczególnie snu, głodni, paleni pragnieniem, a tu na biedę większa część zupełnie już boso maszerowała po szpilkach, kolcach, gałęziach i cierniach, znacząc drogę pochodu krwią ze stóp broczącą. Noc do tego była chłodna i wilgotna, w górach dotkliwa wielce po upale, dochodzącym we dnie do 30°. Szliśmy jakby cienie jakie, śpiąc w szeregach w marszu, machinalnie dokonywanym.“

Z tego jednak — tak ciężkiego znużenia — zdołała wyrwać oddział wieść, fałszywa, jak się

okazało później, o blizkiem przebywaniu silnej partyi Oksińskiego. Z zajmowanego obozem Oblęgórka, rusza oddział na północ w nadziei rychłego połączenia się z nadciągającą rzekomo pomocą. Ale w poblizkiej Bobrzy stali już Rosyanie. Były we wsi tej niedokończone budynki wielkich zakładów górniczych, projektowanych ongiś, przed 30 z górą laty. Na odgłos pierwszych strzałów dosłyszanych od strony szpicy kawaleryjskiej, zajęła kompania galicyjska strzelców pod Brückmanem północną ścianę kwadratu zabudowań i stamtąd jęła odpowiadać na strzały piechoty rosyjskiej. Tymczasem pod ogniem Rosyan, rozpoczętym i z zachodu, zdołała reszta kolumny dopaść murów, gdzie broniła się kompania Brückmana i wspomóc ją ogniem. Zajęte długą obroną północnej ściany budynków, nie spostrzegły w pierwszej chwili kompanie strzeleckie oskrzydlających ruchów piechoty rosyjskiej, która rozpoczęła już ostrzeliwanie wschodniej strony zakładów i przygotowywała się do ataku południowej. Trzeba było za wszelką cenę oczyścić sobie choć jedną drogę odwrotu; po pewnem też czasie Czachowski z furgonami, kosynierami i kawaleryą wyszedł z zakładów na północny wschód w kierunku Ćmińska, a następnie zawrócił na wschód — na Tumlin. W murach pozostali jeszcze strzelcy, ale i oni wkrótce podążyli za dowódzcą, osłaniając jego odwrót długim na pół prawie mili łańcuchem, rozciągniętym z północy na południe. Wówczas Rosyanie przypuścili atak do pustych już budynków, a następnie poszli za cofającym się łańcuchem strzelców, który rzadko a celnie odpowiadał na ogień rosyjski. Dopiero późnym wieczorem, kiedy kolumna polska weszła w lasy samsonowskie, na progu puszczy zatrzymała się pogoń rosyjska.

Na wązkiej leśnej ścieżynie zatrzymano się, aby zliczyć straty. Przed bitwą wynosił oddział 402 ludzi: 260 strzelców (3 kompanie), 80 kosynierów, 62 kawalerzystów wraz z oficerami. Rachunek je-

dnak po bitwie wypadł przerażająco, po odliczeniu 6 poległych i 13 rannych strzelców, okazało się piechoty 162 ludzi — brakło zatem 79. Dopiero teraz spostrzeżono, że brak całej kompanii Rudowskiego, który po wyjściu z zakładów, ukryty w wysoko już wyrosłych zbożach, przerżnął się przez północny łańcuch tyralierki rosyjskiej, mocno przerzedzony i poszedł nieścigany wprost na północ, w gęste lasy Mniowa.

Przegląd pozostałej amunicyi wykazał 150 ładunków na 162 strzelców.

Złożono radę, której wynik ogłoszono publicznie, nie tając położenia; nie było czego taić przed żołnierzem, który przeszedł tygodnie ciężkiej służby, który uniósł honor z paniki po rozprawie rzeczniowskiej. Więc „wydano zarządzenie, aby w dalszym marszu, skoro usłyszą jednocześnie padające nasze strzały od awangardy i od aryergardy naszej, zrozumieli, że nieprzyjaciel nas otacza. Na wydaną wtedy komendę: „rozsypać się!“ — ma każdy przedzierać się między wrogami ratując honor, broń i życie.“ W ukryciu trwać w gotowości i czekać rozkazu, który niechybnie powoła znów szeregi pod broń.

Jakoż jeszcze tej nocy, kiedy zarządzono w lasach godzinny spoczynek w miejscu, przybył do oddziału konny posłaniec od organizacyi cywilnej, przebywszy niezatrzymany linię czat i wedet, pogrążone w gorączkowym śnie ludzi, którzy wyzbyli się wszystkich sił. Pierwszy to raz się zdarzyło — i ostatni. Przyniósł goniec złe wieści: w ślad za cofającym się oddziałem szły dwa szwadrony dragońskie z Kielc — wyruszał Czengiery ze Smoleńcami, aby przeciąć linię odwrotu do Suchedniowa.

11 czerwca w skwarze letniego południa na kamienistych stokach gór Wzdolskich, dostrzeżono wychylającą się z lasu na trakt bity, z Kielc idący, kolumnę Czengierego. Rozpoczął się szalony pościg, ale trwał krótko; — ostatkiem sił dopadł oddział polski zwartych lasów wąchockich pod Ratajami.

Już w ich głębi ożywczej padły prawie jednocześnie strzały od straży przedniej i tylnej. Było to hasło rozsypki; padło w niej 4 kosynierów porąbanych przez szarżę dragońską, a 6 rannych wzięto w niewolę. Pierwszy to znów raz zdarzyło się, żeby żołnierze Czachowskiego pojmani byli żywcem. Ale reszta — wedle instrukcyi — znikła bez szwanku w lasach. „Ocalał sztandar i furgony z bronią.“ Kampania wiosenna była skończona.

W sześć dni później przechodził Czachowski z kilku towarzyszami kordon, dążąc po siły do Galicyi. Po sześciomiesięcznych nadludzkich trudach musiał nawet ten „starzec zagorzały do szaleństwa“ zaznać spoczynku.

W trzy tygodnie już po rozsypce wąchockiej zebrali się dawni Czachowszczycy pod Eminowiczem, Rudowskim, Gromejką i Markowskim. Wypoczęci, zaopatrzeni w amunicyę, dalej jęli się dzieła swego starego wojewody.

Bili się w Sandomierskiem pod Wirem, pod Kowalą, walczyli w Lubelskiem pod Hejdenreichem na polach Chruśliny; zaszczytnie się zapisali w pamiętnej sprawie pod Żyżynem. Oni to wypędzają Rosyan z Chełma i osadzają w nim polską załogę, oni walczą pod Panasówką.

Tymczasem Czachowski już „po miesięcznym wypoczynku przyjechał do Mielca, aby organizować nowy oddział.“ Notatkę „Kroniki“ krakowskiej z dnia 28 sierpnia, donoszącej, że „wielką klęską dla powstania jest przeciągająca się tak długo choroba Czachowskiego; niebezpieczeństwo już wprawdzie minęło, ale lekarze nie robią nadziei, aby generał przed październikiem mógł objąć komendę“ — notatkę tę uważać należy za wybieg, który miał wprowadzić w błąd władze austryackie co do miejsca przebywania i zajęć sandomierskiego wojewody. Nie ustawał Czachowski w trudzie organizatorskim. Z młodzieńczym zapałem gotował nowy zastęp, aby go wkrótce wyprowadzić do walki. Szeregi rosły.

W nocy z 17 na 18 października, w lasach powiatu mieleckiego, posuwał się ku Wiśle oddział powstańczy, złożony z około 700 ludzi pod komendą Czachowskiego i majora Liwocza. Szli w oddziale karabinierzy, strzelcy, kosynierzy, jechała kawalerya, złożona w części z Węgrów. Zaszedł im drogę patrol austryacki, złożony z 5 ludzi, natychmiast rozbrojonych i aresztowanych. Kiedy następnej nocy oddział posuwał się dalej we wskazanym kierunku, zaszedł mu drogę inny, silniejszy patrol, złożony z 30 piechurów i około 10 huzarów. Rozkaz nieużywania broni, wydany przez władze polskie, nie odniósł skutku; skoro Austryacy przywitali kolumnę ogniem karabinowym, odpowiedziano im salwą, na której odgłos patrol otrąbił odwrót. W starciu tem padło ze strony polskiej 5 kawalerzystów, Austryaków wzięto do niewoli 2. Następnego dnia rano znów oddziałek huzarów austryackich, wspomożony przez uzbrojonych chłopów, pod wodzą żandarma Joanna natarł na obóz polski. I tym razem napad orężnie odparto, ale kiedy „przyprowadzono mi — opowiada świadek naoczny — chłopa z pałaszem żandarmeryi austryackiej, schwytanego na gorącym uczynku, polska wspaniałomyślność moich kolegów zmusiła mnie do darowania mu życia; tegoż samego rana pozostałemu austryackiemu feldfeblowi i szeregowemu major rozkazał broń oddać i dawszy jednemu 10 złr., a drugiemu 5 złr., odstawieni zostali wozem osobnym do swego stanowiska.“ Tak wypłacała się „wspaniałomyślność polska“ za zarządzenia hr. Mensdorf Pouilly i Merkla.

Nareszcie 20 października kolumna cała w największym porządku zbliżyła się o godzinie 9 wieczorem do Małego Dymitrowa o ćwierć mili od Baranowa. Tu przekroczyło 630 ludzi z bronią i amunicyą Wisłę w bród. Po 4 miesiącach tułaczki za kordonem stawał Czachowski znów na ziemi sandomierskiej; żołnierskim krokiem szedł na spotkanie swego losu. Miał ze sobą 6 kompanii strzel-

ców i karabinierów, 1 kompanię kosynierów i kilkudziesięciu kawalerzystów.

Nazajutrz (21, X,) rano, oddział, posuwając się na północ minął wieś Rybnicę. Za wsią rozpoczynał się wąwóz, porośnięty od zachodniej strony leszczyną; minęła go szpica, kiedy jednak zbliżyła się awangarda kawaleryjska, sypnął się nań z krzaków ogień karabinowy. Była to zasadzka kompanii halickiego pułku i garstki kozaków. W okamgnieniu zaszedł jej tyły sam Czachowski z kawaleryą i zmusił do bezładnego odwrotu. Zebrawszy rannych, oddział ruszył na północny zachód, ku Jurkowicom. Z nastaniem jednak zmroku, odłączył się od partyi Czachowski, zabierając ze sobą całą kawaleryę. Niewytłómaczony to dotąd krok; opuszczając podległy sobie oddział, nie zostawił wódz żadnych dyspozycyi, jak gdyby miał wrócić niebawem. Można przypuszczać, że celem tego nocnego odłączenia się był wywiad jakiś w nieokreślonym bliżej kierunku, jakiś nowy, trzymany w tajemnicy do czasu manewr. Przypuszczają także, że oddalając się, chciał za sobą Czachowski pociągnąć większość sił wyprawy rosyjskiej, o której powziął był wiadomości, aby w ten sposób ocalić oddział. Gdziekolwiek jednak tkwiła przyczyna — krok był to z gruntu fałszywy: zostawiał siłę bez wodza, a nawet gorzej, bo bez kawaleryi, a więc bez możności rekonesansów, w kraju mało, albo wcale większości oficerów nieznanym. Na domiar złego, odłączył się tejże nocy od oddziału major Liwocz (Karol Zajkowski z Galicyi, były oficer austr.), szef sztabu z 30 ludźmi. Partya została bez wodza i bez kawaleryi.

Tej samej nocy odbyto naradę, na której powrót za kordon uznano za krok hańbiący — oficerowie przedtem jeszcze, bo w Galicyi złożyli słowo, że nie wrócą. Komendę objęli: kapitan Józef Popowski (obyw. z Wołynia) i kapitan Zygmunt Rosner, były oficer austryacki.

Tymczasem w Jurkowicach, na skutek śpiesz-

nych denuncyacyi z Galicyi, czekali major Czuti i podpułk. Gołubow, a z nimi 7 kompanii piechoty, szwadron jazdy, kozacy i skonsygnowana straż pograniczna. Oddział polski, nie posiadając kawaleryi, nie uprzedzony o grożącem niebezpieczeństwie, wszedł w gardziel ukrytych sił nieprzyjacielskich. Idący w awangardzie z kompanią piechoty kapit. Popowski, odcięty od reszty oddziału, zajął stojącą na krańcu wsi, pod lasem karczmę. Resztę oddziału rozwinął już pod ogniem przeciwnika na drodze kapit. Rosner. Ogólnej komendy nie było — każdy kapitan bił się osobno ze swoją kompanią.

Rosyanie uderzyli z impetem — jednocześnie na oba polskie skrzydła. — Pozwalały im na ten atak jednoczesny siły przeważne. Na koniec wsi, gdzie zamknięty w karczmie bronił się kapitan Popowski, poszły 3 kompanie piechoty rosyjskiej. W piekielnym ogniu karabinowym bronił się zaciekle Popowski, póki belki pułapu z podpalonej karczmy nie zaczęły się walić z trzaskiem na głowy walczących. Wtedy z karczmy przeniesiono się do innego domu, z którego stał tylko zrąb bez dachu. Tam, „porobiwszy strzelnice, bronili się powstańcy dalej aż do wystrzelania ostatniego naboju.“ Zbliżała się ostatnia chwila — trzeba było bagnetem szukać wyjścia. Znalazła je po boju uporczywym tylko mała część kompanii — reszta zasiała trupem pobojowisko, albo jak kapitan Popowski, ciężko ranna dostała się do niewoli.

W tym czasie, kiedy kompania Popowskiego walczyła na końcu wsi, na skraju jurkowickiego ostatków sił dobywał kapitan Rosner, aby się z resztą oddziału przedrzeć przez chmary wojska rosyjskiego. I tu także nie proszono pardonu. Po wyczerpaniu zapasu ładunków walczono pierś w pierś. W morderczej rozprawie poległ kapitan Rosner. Walkę przerwała wiadomość, że oddziały Eminowicza i Rudowskiego idą z odsieczą — Rosyanie odciągnęli do Staszowa, zabierając ze sobą rannych i jeńców. Wyniki bitwy pod Jurkowicami dla strony

polskiej były nad wyraz niepomyślne. Ze świetnego oddziału, który kilka dni przedtem przechodził Wisłę w bród, dążąc na pole walki, została dziś garść ludzi, niezdolna do stanowienia samodzielnej jednostki bojowej. Straty w poległych, rannych, wziętych do niewoli rosyjskiej, czy austryackiej — doszły do cyfry 300. Straty przeciwnika również były ogromne. Dzienniki donosząc o tej bitwie pisały, że „jeszcze jedno takie starcie — a nie będzie się komu bić."

Resztki piechoty polskiej po odstąpieniu Rosyan, którzy zabrawszy jeńców i swoich rannych wrócili na dawne posterunki, poszły na północ i tam natknęły się na odciętego jeszcze przed bitwą jurkowicką od siły głównej majora Liwocza. Pod jego komendą zdziesiątkowana piechota weszła w lasy iłżeckie i przystąpiła do oddziałów Rudowskiego i Gromejki.

Była chwila w czasie bitwy jurkowickiej, kiedy — jak donosiły dzienniki — uderzył powracający Czachowski w pierścień bagnetów rosyjskich, który otaczał broniącą się do wystrzelania ostatniego naboju piechotę polską. Ale odsiecz była zbyt późna i zbyt słaba. Trzeba było zawrócić na dawny szlak.

Szedł Czachowski w kilkadziesiąt koni na północ. Mówiły wieści, po dziennikach zakordonowych skwapliwie kolportowane, że „oczekuje go w lasach iłżeckich zastęp z tysiąca włościan dobrze uzbrojonych złożony." Ale były te wieści zwykłą wiadomością dziennikarską, puszczoną w świat dla zasiania w wątpiących sercach otuchy. Nie czekał Czachowskiego w lasach sandomierskich nikt, okrom oddziałów Eminowicza, Rudowskiego i Gromejki, wyczerpanych długą walką. Nie przyszło przecież pomiędzy nimi a starym wodzem do porozumienia stałego. Wkrótce opuszcza Czachowski swoje dawne „koszary" — puszczę iłżecką i przechodzi ze swoim konnym oddziałem do województwa lubelskiego. I tu wszakże nie pozostał dłużej.

Już w początkach listopada przechodzi pod Solcem Wisłę, dążąc w sandomierskie z powrotem. Tu go czekała od dawna nań czyhająca obława.

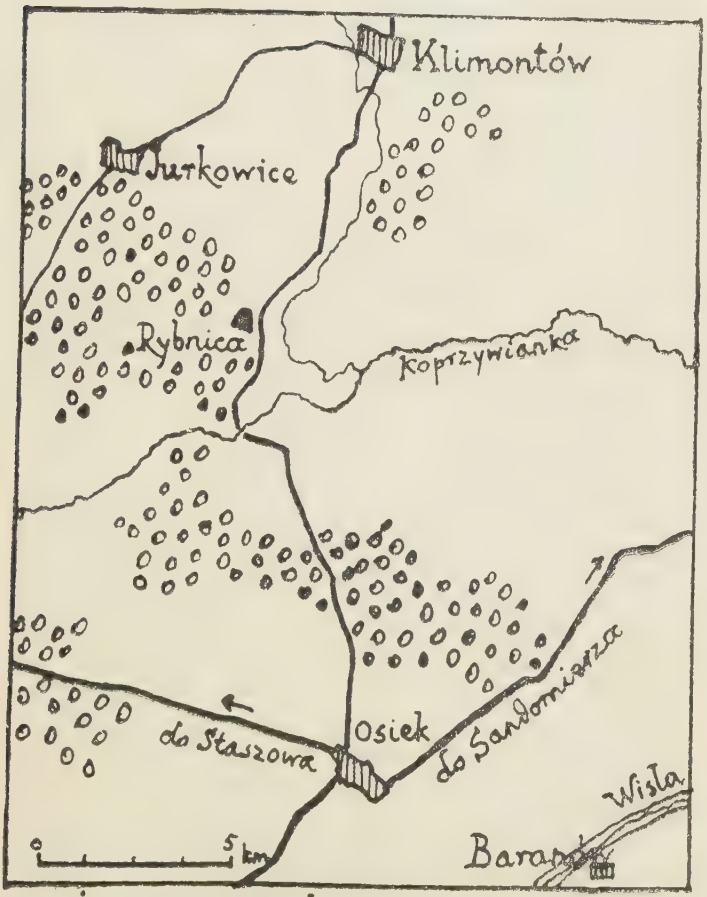

Już w pięć dni po bitwie jurkowickiej wyszedł był z Radomia oddział podpułkownika Protopopowa, złożony z 3 kompanii piechoty i szwadronu ja-

zdy, z zadaniem przeszukać okolice Lipska, gdzie wedle wersyi miał zbierać Czachowski „ubranie i zapasy na zimową kampanię i gdzie organizował nowe oddziały.“ Poszukiwania jednak Protopopowa nie dały pomyślnych wyników — stwierdziły tylko, że Czachowski przeszedł Wisłę w Solcu i udał się w lubelskie. Nie dowierzał przecież Protopopow temu, aby Czachowski nie wrócił w te strony, gdzie jego imię żyło w czci ogromnej w chłopskich chatach i w postrachu nieustannym wśród tłumów żołnierza rosyjskiego. I nie mylił się. Wysłał tedy z Radomia 4 listopada w celu obserwacyi okolic Lipska oddział, złożony — jak donosił raport urzędowy — z 54 dragonów jekatierinosławskich, 10 kozaków dońskich i 75 strzelców mohylowskich. Przewodzili oddziałowi temu: podporucznik Woroniec i porucznicy Miedjanow i Assjew — ci sami, którzy doścignęli w czerwcu wodza konnych żandarmów polskich — Wiśniewskiego i „wsławili się w wielu innych potyczkach.“

Tymczasem 5 listopada przechodził Czachowski znów Wisłę pod Solcem, wracając w sandomierskie, dla dokończenia rozpoczętej pracy zgromadzenia sił i zaopatrzenia ich na zimę w odzież. Nie wiedział pewno, że już następnego dnia spadnie na niego oddział Assjewa — że jego zwłoki na trzęsącej podwodzie powiozą co szybciej w tryumfie do Radomia, że w stołecznem mieście gubernii wystawią zrąbane ciało na widok publiczny, aby wszystkim mieszkańcom grodu i okolicy było wiadomo, że „król polski“ już nie będzie niepokoił wojsk cesarsko-rosyjskich.

Szedł Czachowski w kilkadziesiąt koni z Solca na Lipsko, pobrzeżem Krępianki, a w trop za nim posuwał się ostrożnie Assjew. Oddziałek polski stanął na nocleg w Krępie, wsi odległej od Wierzchowisk, majętności córki Czachowskiego o kilometr tylko. Tu chciał przepędzić stary wódz wieczór — nie wiedząc pewnie, że to będzie wieczór ostatni.

Szarym rankiem 6 listopada padł strzał na dro-

dze od strony Lipska, a za chwilę wpadły na podwórzec wedety. We wsi byli już dragoni i kozacy, a piechota nadążała za nimi na podwodach, pędząc, co koń wyskoczy. Stępa opuszczał wieś oddział polski, odstrzeliwując się zrzadka nacierającym dragonom; odwrót zamykał Czachowski. Tuż za wsią jednak ruszyło z miejsca czoło oddziału kłusem; za chwilę jeźdźcy roztopili się w mgle jesiennego ranka, za czerniejącą ścianą lasu. — Ale Czachowski samoczwart już tylko teraz — jechał dalej stępa. Było w tem osłanianiu resztek polskiej mocy orężnej, w tym powolnym odwrocie coś, jakby wielkość Cecory i Lipska, jak kamienne piękno sprawy termopilskiej; była godność człowieka, który spełnił swoje — a teraz odchodzi dumnie. Nie przystało mu przecież pierzchać sromotnie, skoro swoją ucieczką nie uratowałby już nikogo — trzeba było przeto dotrwać do końca. Jest w tej uroczystej chwili odejścia wielka radość spełnionego godnie obowiązku.

Dragoni napierali coraz silniej. Ciął się z nimi Czachowski zajadle, kiedy go chcieli pojmać żywcem. Już za Wierzchowiskami, na polach Jaworu Soleckiego zabito pod nim konia — uskoczył tedy pod gruszę przydrożną i rąbał się dalej błyskawicznymi młyńcami aż do śmiertelnego znużenia w dłoni. Jeszcze wypalił dwukrotnie w tłum z pistoletów, zaczem zwaliła się na niego ciżba dragonów rosyjskich.

* * *

Wiosenna kampania Czachowskiego trwała od 18 marca do 11 czerwca 1863 r. W rozwoju wypadków odróżnić w niej należy szereg punktów zwrotnych, rozpoczynających i kończących odrębne okresy walki. Każdy z nich posiada sobie właściwe cechy, stanowiące jego wartość.

I. Okres pierwszy trwa od bitwy grochowiskiej do starcia pod Stefankowem. Czas ten poświęcono wyłącznie czynnościom przygotowawczym. Nawiązanie kontaktu z działającemi grupkami i pewne

scałkowanie rozproszonych dotąd wysiłków — to pierwsza zasługa Czachowskiego jako samodzielnego dowódzcy. Jednocześnie władze rosyjskie czynią pilne, a bezowocne poszukiwania resztek korpusu Langiewicza; z dwu utarczek tego czasu wychodzi zwycięzko Kononowicz pod Grzybową Górą, rozproszeniu ulega Gryliński pod Brodami. Drugą ważną czynnością tego okresu są alarmy i manifestacye, rozszerzanie pogłosek o rzekomych napastniczych zamiarach względem załóg rosyjskich (Iłża, Radom, Zwoleń). Błędem niewątpliwym jest odwrót z pod Grabowca bez wydania bitwy.

II. Okres drugi — to szereg starć. Cechą jego zasadniczą — inicyatywa, przejawiająca się w poszukiwaniu nieprzyjaciela (Stefanków), wybitna dążność do umiejętnego wyzyskania otrzymanej przewagi (Borja-Lemiesze — Jeziorki). Popłoch w odwrocie z pod Rzeczniowa przekonywa o niewielkiej wartości kosynierów. Okres to najbogatszy w doświadczenia, wykazuje tę przewagę moralną, jaką miał żołnierz powstańczy nad armią regularną.

III. Okres trzeci — to ponowna reorganizacya po rozsypce rzeczniowskiej. Uszczuplony liczebnie oddział zyskuje na uzbrojeniu (kosynierów zaledwie kilkudziesięciu). Czas wypełnia pobór rekruta, ogłaszanie Rządu Narod. Drugą cechą tego okresu — jego znaczenie agitacyjne.

IV. Okres czwarty i ostatni kampanii wiosennej ma znów bezpośrednie znaczenie militarne. Jednak inicyatywa dostaje się w ręce Rosyan w formie konsekwentnego pościgu (Białobrzegi, Bobrza, Rataje). Doprowadza on do ostatecznego osłabienia, a wreszcie i rozwiązania oddziału z nieznacznemi stratami.

W kampanii wiosennej wykazał Czachowski nietylko ogromną energię i hart, ale znaczne zdolności w akcyi partyzanckiej. Minimalnemi siłami osiągnął poważny cel: utrzymał w podległym sobie województwie nastrój powstańczy, nieustannymi alarmami nużył i wyczerpywał siły przeciwnika, —

w kilku zwycięskich starciach zadał mu klęskę. To też schodzącemu z pola walki towarzyszyły zasłużone słowa pochwały, że się „dobrze zasłużył ojczyźnie“. Powiedział kiedyś słynny Blücher, że cechą wodza oddziału samoistnego, przeznaczonego do wykonania zadań trudnych i niebezpiecznych, musi być — determinacya, oględność i przytomność. Był cnót tych Czachowski wcieleniem, dumna pogarda śmierci czyniła z niego „człowieka zagorzałego do szaleństwa“, który jedynie w błysku szabli dobywanej czytał dzieje swego do Polski stosunku.

Wyprawa jesienna jest epizodem — i to końcowym. Stworzony na wodza drobnej, ruchliwej partyi, okazał w niej Czachowski brak danych do kierowania umiejętnego siłą większą; ogołocił oddział z kawaleryi, przez co w pewnym stopniu przygotował klęskę jurkowicką. Nie umniejsza to wszakże w niczem zasług jego w powstaniu położonych. Trudem wojennym długich miesięcy i śmiercią zaszczytną dowiódł Czachowski praw swoich do przechowania pamięci w narodzie o nim, rycerzu nie rozpaczy, ale wytrwania.

Ks. Jan Wiśniewski w dziele: „Dekanat Iłżecki“ (str. 124), Radom 1909, podaje następujące szczegóły, odnoszące się do formy pogrzebu Czachowskiego i miejsca złożenia zwłok: „pp. Jan Czarnecki, Kormarzewski, Kalisz i Domaszewski prosili gubernatora, żeby pozwolił pochować ciało Czachowskiego. Życzeniu stało się zadość, gdy przyrzekł, że manifestacyi żadnych nie będzie, czego dopilnować miała setka kozaków. Czachowskiego złożono w murowanym grobie w Bukownie za przytykiem; na grobie ma kilkudziesięciofuntowy kamień szary, polny, na którym odczytać ledwie można nazwisko wodza. Dwie blachy z trumny

wiszą w przysionku kościelnym". Napis na blachach tych mówi: „Djonizy Czachowski, żył lat 54. Zakończył swą pielgrzymkę 6-go listopada 1863 r." Cyfra 54 wydaje się wątpliwą — źródła i naoczni świadkowie zgodnie stwierdzają, że Czachowski poległ mając lat sześćdziesiąt kilka (65—67—68).

BOJE POLSKIE

TOM IV

JAZDA POLSKA NAD MOSKWĄ

(7 września 1812 r.)

przez

DR. MARYANA KUKIELA

z obrazem na okładce i ilustracyami

PROF. ZYGMUNTA ROZWADOWSKIEGO

z planami bitwy

pojawi się

w początku września b. r.

i będzie do nabycia

we wszystkich księgarniach.

DWERNICKI.

C. 11

Boje Polskie.

Jlustrowane epizody, obrazy, portrety historyczne
z dziejów naszych wojen narodowych.

POD REDAKCYĄ DR. MARYANA KUKIELA.
WYDAWCA KAROL RZEPECKI.

TOM III.

ILUSTROWAŁ MARYAN RYBKOWSKI.
Z 4 MAPKAMI I PLANAMI.

BRONISŁAW PAWŁOWSKI.

DWERNICKI.

WARSZAWA — E. WENDE I SPÓŁKA.
NEW YORK — POLISH BOOK IMPORTING CO. INC.
POZNAŃ 1914.
Wielkopolska Księgarnia Nakładowa Karola Rzepeckiego.
Czcionkami Drukarni Dziennika Poznańskiego w Poznaniu.

PRZEDMOWA.

Cała historya wojny 1831 roku zda się być historyą obowiązków niechętnie na się branych, opieszale pełnionych; historyą kampanii, zbywanych marszami; historyą bitew, staczanych pod bezpośrednim przymusem, bez szukania stanowczych rozstrzygnięć, bez woli do zwycięstwa. Tem świetniej na ponurem tle wydarzeń tego fatalnego roku jaśnieją imiona niewielu wodzów polskich, którzy się okazali żołnierzami z krwi i kości, powinności brali na się ochotnie i pełnili szczerze, szukali okazyi, aby ważyć się na bój, aby czynić. Niewielu ich było. Z tych, którzy byli, najświetniej bodaj staropolskim szablicy swej zamachem zajaśniał Józef Dwernicki. Na lance jego ułanów padł w lutym pierwszy promień słoneczny zwycięstwa. Jego sławą grzmiały pod Stoczkiem harmaty. On był pierwszym dostawcą dział zdobycznych do Warszawy. Jemu warczały bębny i huczały rogi — Za Bug! za Bug!

Wielki kawalerzysta z powołania i wykształcenia, rycerskiej swojej służby uczył się w podjazdowych gonitwach za Bückingiem po galicyjskiem Podolu w r. 1809, w desperackiem przebijaniu się pod Mirem przez chmary kozaków, w pościgu zapamiętałym poprzez bezdroża litewskie, w białoruskiej i saskiej „małej wojnie“. Nauczył się orlem wejrzeniem ogarniać plac boju, wybierając moment i punkt na piorunującą szarżę swych szwadronów. Nauczył się przedziwnie kombinować działania lotnej i zwinnej jazdy z ogniem jej najwierniejszej towarzy-

szki, artyleryi konnej: to mieszając przeciwnika pociskami armatniemi, by na chwiejącego się rzucić od skrzydła dywizyony ułanów i szaserów, to manewrami konnicy zmuszając go do wystawienia boków na ogień morderczy bateryi, zawsze zaś z miejsca dążąc do oskrzydlenia, najczęściej, z zuchwalstwem starych zagończyków, próbując opadnąć naraz oba skrzydła nieprzyjacielskie. W działaniu swojej jazdy przeciw innym broniom nieprzyjaciół wybornie wybierał momenty słabości tamtych broni; ułanów swych, krakusów Kościuszki, szaserów uczynił postrachem dla artyleryi przeciwnej, a u piechoty wyrobił im szacunek należny.

Wielki kawalerzysta przedewszystkiem, czy był wielkim generałem, dorosłym do samoistnego dowództwa we wojnie?

Na czem polegają główne obowiązki wodza? Podług arcyksięcia Karola, którego dzieło o strategii w przekładzie Rybińskiego musiało być Dwernickiemu znanem, winien wódz stanowić szybko i ostatecznie na podstawie błyskawicznej oceny istotnego stanu rzeczy, a postanowienie swe wykokonywać z taką szybkością, że trzy te czynności, ocena, decyzya, wykonanie, złączyć się muszą w jeden wszystko obejmujący rzut oka. Wyrobić go sobie, zdaniem arcyksięcia, może ten tylko, kto przez długą naukę naturę wojny pojął i w siebie niejako wcielił. Moc doraźnej decyzyi musi być na gruntownych wiadomościach oparta. Czy miał je Dwernicki poza zakresem służby własnej swojej broni? Cokolwiek w tej mierze z praktyki wojskowej miał, to uniósł z pobojowisk napoleońskich. Okres Królestwa Kongresowego, był jak wiadomo, stracony dla wykształcenia wyższych oficerów polskich. Ćwiczenia czysto formalne nie wdrażały do łączenia w działaniu trzech broni w warunkach odpowiadających wojennym.

„...To, co się widziało — twierdzi arcyksiążę — nie jest dostatecznem, bo niema życia tak obfitego w wypadki, aby dawało pole nabyć doświadczenie

we wszystkiem i nikt też nie ma sposobności ćwiczenia się praktycznie w sztuce generała, nim dojdzie do jego stopnia“ W tem położeniu właśnie był Dwernicki, który w r. 1831 pierwszy raz stanął na czele brygady. Czy brak doświadczenia wypełniał, jak tego żąda arcyksiążę, studyowaniem historyi wojennej, chociażby z traktatu Jominiego, albo z dzieł Arcyksięcia? Tego nie wiemy, a podejrzywać wolno, że krewki temperament Dwernickiego nie sprzyjał systematycznym studyom.

Historyę wojny znał z tego, co widział i słyszał: widział i słyszał wiele, ale widział i słyszał zawsze jako kawalerzysta. Więc gdy na placu boju przyjdzie mu dysponować oddziałem z trzech broni, pierwszy jego rzut oka padnie na szwadrony jazdy i baterye ku poparciu szarży; drugim dopiero nawrotem myśl pobiegnie po bataliony piechoty, a tem samem przeznaczy im rolę wtórną, drugorzędne działanie, osłonę skrzydeł i tyłów, obsadzenie kluczów taktycznych. Czasem dozna przez to stosunek normalny broni zupełnego odwrócenia: tak pod Kurowem atak główny, frontowy przypadnie jeździe w udziele, oskrzydlenie dłuższemi drogami piechocie. Zato jazdy swej tak umie użyć, że Rydygier po Boremlu lękać się będzie o swą piechotę, nie mogąc dać jej „osłony“ w konnicy — sytuacya w wojnach nowoczesnych wręcz niezwyczajna!

Niedostatki taktyczne swego dowództwa wynagradzał Dwernicki świetnym duchem ofenzywy; raz pochwyconą w ręce inicyatywę strategiczną czy taktyczną niełatwo dawał sobie odbierać, trawiony wielką ambicyą i gorączką czynu. *Ein tüchtiger Draufgänger,* powiedzieliby Niemcy. Popełniał, zdarzało się błędy duże, cięcia szablą wymierzał w powietrze, ale bić się chciał i szukał okazyi do bicia, a dwuznaczne dyrektywy warszawskie umiał tłumaczyć najprościej, a więc najlepiej — jako rozkaz napadnięcia przeciwnika. Tak przed Nową Wsią w akcyi przeciw Kreutzowi. Doprawdy, wiele miał on wspólnego w charakterze i talencie z Blücherem.

Polskiego też Blüchera zgadywał w nim Prądzyński, który byłby rad przy nim być polskim Gneisenauem.

Inaczej chciały wypadki. Nietylko, że w te krzepkie ręce nie dostała się buława naczelnego wodza, ale jeszcze zabrakło tej szabli generalskiej we wszystkich wielkich, rozstrzygających dniach kampanii. Dziarski generał, który nie byłby szarży odmówił pod Grochowem, nie byłby pościgu opóźnił nazajutrz po Dembem Wielkiem, który byłby jak wicher gnał w pomoc Prądzyńskiemu pod Iganie, marnował się w nieudanych, ale w zasadzie mniej ważnych gonitwach za Kreutzem, aby rychło oddalić się z widowni wielkich działań, z osobnym swym korpusem odkomenderowany na Wołyń. Sławę Stoczka i Nowej Wsi ścmił wynik opłakany wyprawy; imię wojskowe Dwernickiego wystawione zostało na sztych gorżkiej krytyki emigracyjnej; a nowoczesny historyk, który w opowieści o Dwernickim i jego korpusie wypełniającej tomu niniejszego karty, na podstawie dużych badań źródłowych rekonstruuje sumiennie istotny przebieg wydarzeń, nieraz jest zniewolony naruszyć aureolę sławy, która w marzeniach naszej młodości opromieniała to rycerskie imię.

„Dawnato wojskowa prawda — pouczał Fryderyk Wielki swoich generałów — że dzieląc swe siły, bywa się częściami pobitym. Zamierzając stoczyć bitwę, potrzeba zebrać wojska co tylko można, gdyż wtedy nie może ono nigdzie być z większym pożytkiem użyte. Wszakże, czasem musimy wysyłać oddziały; ale jestto zawsze delikatny manewr, który należy przedsiębrać tylko z ważnych powodów i w przyzwoitym czasie, a tem jest niebezpieczniejszy, im większa część wojska jest do tego użyta". Tak osądza „odrywki" w rodzaju oddzielnych operacyi Dwernickiego i Sierawskiego stara, wypróbowana mądrość wojskowa. A w „Traktacie o wielkich operacyach wojennych", (1811) w wywodzie końcowym, rekapitulującym zwięźle najdonioślejsze pra-

widła strategii napoleońskiej, pisał mądry nowoczesny teoretyk owej sztuki: „...Rozległe fronty są taksamo sprzeczne ze zdrowemi zasadami, jak linie poprzerywane, jak wielkie oddziały samoistne (détachements) i dywizye odosobnione, niezdolne wspierać się wzajemnie...“ Wszystko, co tu wymienia Jomini, jako sprzeczne z doświadczeniami wojen napoleońskich, wszystko działo się w wojnie roku 1831: i rozwlekanie armii na długich nieskończenie liniach, dla rzekomej ich obrony, i rozkawałkowanie armii korpusami, dywizyami, oddziałami, niezdolnemi wzajemnie się wspierać i przedewszystkiem ekscentryczne, rozbiegające się w różnych kierunkach ruchy samoistnych oddziałów. „Można uznać za ogólną zasadę — pisał w tymże roku 1831 tenże mądry kondotyer — że mania wysyłania oddziałów samoistnych zgubę przynosi armii i że trzeba na przyszłość wydzielać ich jak najmniej“. Zgubna ta mania słała w r. 1831 na przepadłe korpusy jedne po drugich, wbrew naczelnej zasadzie stretegii, zasadzie koncentracyi sił w czasie i miejscu decydującem, redukując siłę głównej armii na dni bitew grochowskiej, ostrołęckiej, warszawskiej. Ofiarą tej strategii padł świetny, chwałą okryty korpus Dwernickiego, własną wprawdzie wolą generała, ale bez należytego sprzeciwu naczelnego dowództwa, pociągnięty w toku operacyi wojennych na Wołyń.

Wyprawa wołyńska Dwernickiego była wielkiem nieporozumieniem. Pomyślano ją w Warszawie, jako wyprawę partyzancką na komunikacye przeciwnika, wchodzącą w dziedzinę małej wojny. A Dwernicki, palony żądzą czynów rozstrzygających, wojny wielkiej, uparł się i zaciął w pojmowaniu tego przedsięwzięcia jako ofenzywy strategicznej na teatrze wojennym południowo-polskim, elektryzującej województwa ruskie i stwarzającej w nich drugą, południową armię Rzpltej. Po faktach, w teoretycznem rozważaniu, w błyskawicach myśli Mierosławskiego rozwinął się plan takiego właśnie wielkiego, zaczepnego działania za Bug, po Dniepr.

Do takiej służby rwało się serce Dwernickiego, nie do gonitw kresowego harcerza. Wbrew subordynacyi wojskowej, został przy swojem: zamiast oddziału partyzanckiego, porwał korpus cały za Bug; a wina ta tragiczna, samowola depcząca rozkazy, mieściła w sobie zatratę korpusu i wodza. Zbyt słaby na zwycięstwo w otwartej ofenzywie, zbyt liczny i składem swym nieprzydatny do działań partyzanckich, poszedł korpus na marne. Zwali Dwernicki winę na dowództwo naczelne, na odmówiony mu pułk regularnej piechoty, którego mu pod Boremlem zabrakło; i praktycznie biorąc, racya po jego stronie, skoro sił Sierawskiego i Paca, pozostałych nad górną Wisłą, do ważniejszych działań nie użyto; ale cała jego kampania wołyńska była naruszeniem instrukcyi i rozkazów. Nie potępiajmy dzielnego generała: rwał się do celów wielkich, był osiągnięcia ich blizkim. Zwycięstwo mogło winę w zasługę przemienić... Ciężej zawinił Wódz Naczelny, pozwalając mu korpus wyprowadzić a nie wzmacniając sił tego korpusu w proporcyi do zmienionych jego zadań.

W zasadzie trzeźwa myśl wojskowa była jednak w instrukcyach warszawskich, dyktowanych przez świetny talent Prądzyńskiego. Do ofenzywy strategicznej dużą siłą nie nadawał się w teoryi teatr wojenny południowy, oddzielony bagnami pińskiemi od głównych linii połączeń przeciwnika, oddalony od głównej jego podstawy. Zasady strategii nakazywały koncentracyę sił na teatrze wojny nadwiślańskim. Powstania litewskie i ruskie były dywersyą strategiczną. Pomoc dla nich leżała nie w posiłkach, lecz w rozstrzygającem działaniu masą na głównym teatrze wojny. Odrywki dla działań na linie połączeń, czy dla samej dywersyi mogły być przedsiębrane tylko przy użyciu tak małej części sił, aby się bez niej na froncie obejść było można. Wedle mądrych rozumowań Clausewitza właśnie taka sytuacya wojenna, jaka miała miejsce po Grochowie, sprzyja bocznym działaniom stra-

tegicznym licznych i zręcznych partyzantów, ożywiających ducha mieszkańców i łączących się z nimi do pojedynczych przedsięwzięć. Podobnież uważa Clausewitz sytuacye, tej odpowiadające, za najsposobniejsze do rozwoju powstań na bokach i na tyłach przeciwnika, przyczem dla nadania im popędu i ufności, radzi je wspierać małemi oddziałami wojska regularnego. „To jednak — podkreśla on silnie — ma swe granice; gdyż zgubnemby było rozpraszać całe wojsko do tego podrzędnego celu.“ Wreszcie przy wszelkich dywersyach, zdaniem tegoż klasyka sztuki wojennej, korzyść z dywersyi, zaprzątnięcie stosunkowo większych sił wroga, znika w miarę zwiększania się mas; im więcej wojsk dla wersyi oddzielonych, tem większa obawa, by dywersya nie przyniosła więcej szkody jak korzyści. Podobnemi zasadami przeniknięte są instrukcye, dane Dwernickiemu. Odpowiadają one najściślej teoryi i doświadczeniom wojennym owych czasów. Wskazanie ogólnego przedmiotu w liniach połączeń wroga najtrafniej określało cel odległej wyprawy partyzanckiej. Tysiąc pięćset koni doborowej jazdy z dużą ilością szarż i z sześciodziałową bateryą nizkiego wagomiaru — to był wymiar sił bodaj najstosowniejszy. O łączeniu w takiej wyprawie trzech broni, zwłaszcza zaś łączeniu jazdy z piechotą, mowy być nie mogło, mimo wszelkie niedostatki odosobnionej konnicy; piechota byłaby kulą u nogi, tamującą szybkość poruszeń (oczywiście nie wyklucza to świetnych działań partyzanckich broni tej na bliższą metę, znowu jednak bez dołączenia większych jednostek konnicy). Problem wyposażenia oddziałów partyzanckich w odpowiednią siłę ogniową, wówczas był nierozwiązany. Myślano o dodawaniu jeździe dobranych paru kompanii strzelców pieszych na konikach chłopskich lub powózkach. Niektóre armie dotąd mają kompanie piechoty konnej, lub częściowo wyposażonej w wierzchowce. Dziś zagadnienie rozwiązano przez przysposobienie kawaleryi do boju ogniowego

w szyku spieszonym, nadto zaś wzmożono niezmiernie intenzywność jej ognia przez dodanie kawaleryi oddziałów karabinów maszynowych.

Że do takiej straceńczej wyprawy nie rwał się Dwernicki, temu trudno się dziwić: chciał świeży generał dywizyi większej dla siebie roboty. Ale fakt, że nie rwali się do takich akcyi młodzi generałowie brygad i pułkownicy, świadczy jak bardzo zanikła w Polsce tradycya zagończyków XVII wieku, jak gęsty zmierzch zaćmił starą świetność konnicy polskiej. Dosyć bowiem wspomnieć parę faktów, najpowszechniej chyba znanych wojsku polskiemu: olbrzymie wyprawy partyzanckie sprzymierzonych w roku 1813, działanie Tettenborna w koni 1500, dział 2, Czernyszewa w koni 1200, dział 2, Lützowa w koni około 500, o paręset kilometrów od własnych wojsk przeciw skrzydłom i połączeniom Wielkiej Armii; mniejsze, świetniejsze jeszcze przedsięwzięcia Colomba z setką huzarów; później, w jesieni wyprawę Thielmanna na połączenia Napoleona w 2000 koni, dział 2; nową wyprawę Colomba z szczupłym szwadronem wybranych ochotników; najśmielszy wreszcie najazd Czernyszewa na Westfalię z 2500 jazdy, 4 działami. I Czernyszew i Thielmann byli generałami, wsławionymi przez poprzednią kampanię; przecież w zuchwałych swych wyprawach partyzanckich szukali nowej sławy. Szczegół charakterystyczny: Lützow piechotę swą, jako kulę u nogi, odesłał w toku działań do swojej armii.

Tyle dla pełniejszego zrozumienia planu wyprawy i dla zrozumienia katastrofy pod Lulińcami. Nie wdamy się w szczegółowy rozbiór nieszczęść, którym uległ korpus Dwernickiego. Uczynił to autor następujących kart, odtwarzając krytycznie z wyczerpującą dokładnością przebieg działań generała. Surowo brzmi sąd, wyrzeczony w końcu książki. Godzimy się, że ciężka droga w bagnistą kotlinę Prypeci, przerażająca wielkiego kawalerzystę, w danem położeniu była zbawczą i nakaza-

ną przez ogólną sytuacyę obu walczących armii. Godzimy się, że nawet przez wąwozy lulinieckie, tak dla ruchów jazdy fatalne, trzeba było pchać się przebojem, raczej jak składać broń na granicy. Lecz czytelnikowi przypominamy grozę rzeczywistości wojennej, w której nigdy nieomal nie jest dana pełna świadomość położenia, w której największy geniusz i wola najbardziej bohaterska stają czasem z winy własnych błędów wobec tegoż nieprzebitego muru przemocy, przed którym stanął 27 kwietnia Dwernicki.

Maryan Kukiel.

DWERNICKI.

□□□□□□

Oddziałowi konnemu „Sokoła Macierzy"
we Lwowie

Autor.

Podczas kampanii polsko-rosyjskiej roku 1831 — prócz głównych sił polskich toczących rozstrzygające zapasy z wojskami nieprzyjacielskiemi, przeważnie opodal Warszawy, istniał jeszcze szereg oddziałów mniejszych, odrębnie bodaj do pewnego stopnia, na skrzydłach sił głównych działających, i kilka korpusów oddzielnych, prowadzących wojnę na terenach dalszych, a tem samem już luźnie tylko z głównym sztabem związanych.

Taką samoistną grupą był korpus generała Dwernickiego — zrazu przeznaczonego do osłaniania stolicy od napadów nieprzyjacielskich z południa, — a następnie mający do wykonania trudne, lecz pierwszorzędnej wagi zadanie: prowadzenia t. zw. małej wojny w prowincyach zabranych na Wołyniu i Podolu.

Działalność generała Dwernickiego jako komendanta korpusu w roku 1831 — różnie sądzono: jedni, pamiętni na jego pierwsze świetne pod Stoczkiem zwycięstwo, jednostronnie głosili jego sławę, inni zaś mając przed oczyma fatalny epilog jego wyprawy wołyńskiej wręcz go potępiali.

W pracy niniejszej chodziło przedewszystkiem o wyświetlenie szeregu niejasności i bezstronne przedstawienie na podstawie autentycznego źródło-

wego materyału, działalność generała w ciągu całej tej kampanii z szczególnem uwzględnieniem jednakże wyprawy na Wołyń. Ponadto zaś zamiarem autora było podnieść i podkreślić ważniejsze fakta i zarządzenia, które w dodatni lub ujemny sposób zaważyły na losach tego korpusu, a pośrednio też odbiły się na przebiegu całej kampanii.

* * *

I.

Józef Dwernicki był jeszcze w sile wieku, ledwo bowiem przekroczył pięćdziesiąt lat życia, gdy nastąpiły wypadki listopadowe. Urodził się dnia 19 marca 1779 roku jak jedni twierdzą w Zawalu, rodzinnym majątku matki, jak znowu inni podają w Warszawie. Ojciec jego Faustyn właściciel dóbr Balin na Podolu, już w młodym wieku sposobił go do zawodu wojskowego, wysyłając 14-letniego chłopaka do kadeckiej szkoły w Warszawie. Nauka jednakże z powodu rychłego zamknięcia tej instytucyi nie trwała długo i nie wywarła też, jak się zdaje, żadnego wybitniejszego wpływu na umyśle jej wychowanka.

Później przyszła praca na roli w rodzinnem Zawalu, którą przerwały dopiero wypadki 1809 roku. Wówczas to wojska polskie, walcząc z Austryą, wkroczyły do Galicyi, a jeden jego oddział pod dowództwem śmiałego partyzanta pułkownika Strzyżewskiego podsunął się aż pod granice rosyjskiego Podola — i nieomal, że nie ocierał się o posiadłości Dwernickiego.

Skorzystał z tej blizkości wojska polskiego młody Dwernicki w ten sposób, że w dobrach swych zebrał około stu ludzi — uzbroił ich własnym kosztem, i na ich czele przeprawił się przez graniczną rzekę Zbrucz, aby się złączyć z Strzyżewskim. W jego też zaraz oddziale, otrzymawszy rangę oficerską, brał udział w bitwach pod Wieniawką i Zaleszczykami, za które potem otrzymał krzyż *„Virtuti militari“*.

W ten sposób zaczął Dwernicki swą służbę wojskową, której odtąd stale się poświęcił, biorąc udział we wszystkich wojnach napoleońskich i posuwając się w miarę swych zasług ze stopnia na stopień.

I tak 20 kwietnia 1810 zamianowany został szefem szwadronu w 15 pułku ułanów, utworzonym

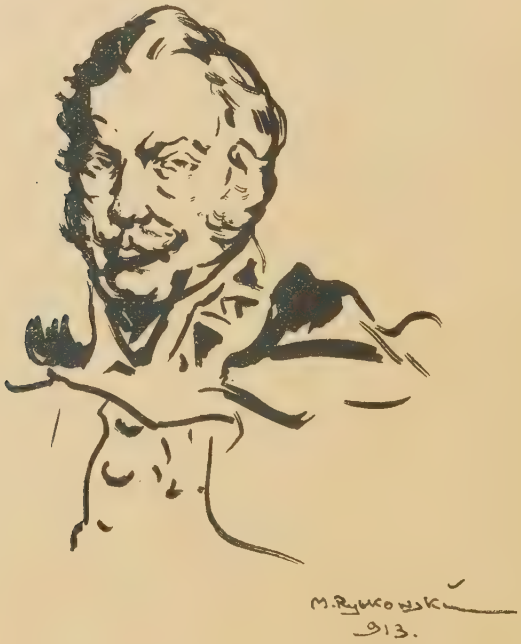

JÓZEF DWERNICKI.

poprzedniego właśnie roku na Podolu galicyjskiem. Przebywszy szczęśliwie srogą kampanię rosyjską, został po powrocie 18 stycznia 1813 posunięty na stopień majora 8 pułków ułanów. W czasie ostatnich zmagań się Napoleona z armiami sprzymierzonych,

został pułkownikiem utworzonego w tym właśnie czasie pułku Krakusów. — W tej też randze przeszedł on i do reorganizowanej przez W. Ks. Konstantego armii Królestwa Polskiego. Zamianowany dnia 20 stycznia 1815 r. pułkownikiem drugiego pułku ułanów, — na którem to stanowisku przetrwał nieomal aż do samej rewolucyi, gdyż dopiero w roku 1830 został posunięty na stopień generała brygady i zarazem przeniesiony do dywizyi strzelców konnych, zostającej pod dowództwem generała dywizyi Klickiego a rozłożonej w miejscowościach po lewym brzegu Wisły się znajdujących.

Dwernicki parokrotnie na polu bitwy się odznaczył, za co prócz awansu otrzymał kilka dekoracyi, zwłaszcza przy końcu kampanii napoleońskich, kiedy to dostał aż trzy krzyże, tj.: kawalerski polski, kawalerski francuski Legii honorowej — i oficerski złoty, ten ostatni pod Wittenbergą z rąk samego Napoleona.

Choć zewnętrznym wyglądem niezbyt nadawał się z powodu swego nizkiego wzrostu i okazałej tuszy na jeźdzca, to jednak należał do najlepszych oficerów kawaleryi. Dobry administrator i gospodarz pułku, troskliwie dbający o potrzeby swych podkomendnych, z którymi pospołu dzielił wszystkie trudy i niewygody życia obozowego. Cieszył się też w zamian za to szczerem ich przywiązaniem i ufnością. Ponadto posiadał on niezaprzeczone cnoty wojenne, jak zapał i odwagę posuwającą się niekiedy do zuchwalstwa. Ale zarazem przy tych stronach celnych i dodatnich, nie był on pozbawiony pewnych i to dość znacznych przywar i braków. Gdyż był on człowiekiem niesłychanie wrażliwym na punkcie swej godności osobistej, dbałym o poklask tłumów, zabiegającym o popularność.

Przytem jako generał, a więc dowódzca większej taktycznej grupy, miał on tę wadę, że był jednostronny. — Ciągle pełniąc służbę oficera jazdy, znał on doskonale tylko zadania tego rodzaju broni,

odbywszy w dobie napoleońskiej tyle kampanii; opracowywał podstawowe regulamina tej broni, układając „Zbiór ogólnych komend wyjętych z przepisów musztry dla jazdy“ wydany w Warszawie 1814 r. — tudzież nieco później tłumacząc z rosyjskiego: „Przepisy dla jazdy“, wyszłe drukiem w r. 1815 z rozkazu w. ks. Konstantego. Na jeździe też we wszystkich swych bez wyjątku operacyach militarnych polegał, bez względu na to, czy to trzeba było atakować jazdę, piechotę, lub artyleryę, zwłaszcza do perfekcyi doprowadził szarżę na nieprzyjacielskie armaty — czy też dla odmiany odpierać napady na własną pozycyę obcej jazdy, artyleryi — a nawet piechoty. I z tego właśnie powodu są nadzwyczaj niejednokrotnie ciekawe sposoby zachowania się generała — nieraz sprzeciwiające się wymogom taktyki, bo tam np., gdzie powinien uderzyć z frontu piechotą, on szarżuje jazdą, a gdzie trzeba oskrzydlać jazdą, on używa do tego ulubionego swego zresztą manewru piechoty. Powierzając wszystkie główniejsze zadania ataku i kontrataku jeździe, artyleryi swojej dość rzadko, piechoty jak najmniej używa, pozostawiając jej przeważnie obronę ważniejszych punktów, lub asekuracyę swych bateryi.

To też Prądzyński trafnie oceniał Dwernickiego, gdy proponował go na dowódzcę całej kawaleryi, gdyż przepysznie prowadził ją do ataku i mógł w rzeczy samej z powodu swej brawury, niejednokrotnie szarżą masy konnicy przeważyć chwiejący się los bitwy na polską stronę. Ale jako dowódzcy oddzielnego korpusu, złożonego z trzech rodzajów broni i mającego działać z dala od głównej kwatery i jej ciągłych wskazówek, zbywało Dwernickiemu wiele na znajomości zasad strategii i użycia innych rodzajów broni, a zwłaszcza piechoty — co wszystko odbiło się na działalności generała w ciągu kampanii 1831 roku.

II.

Wiadomość o wybuchłej w Warszawie rewolucyi zastała Dwernickiego w Sieradzu, gdzie pełnił funkcye dowódzcy trzeciego pułku strzelców konnych, którego pułkownikiem był Maciej Dembiński. Skoro tylko upewnił się co do prawdziwości pierwszych o tych wydarzeniach wieści, przejęty duchem patryotycznym, nie czekając rozkazów swych władz przełożonych — wydał polecenie do wszystkich oddziałów w skład jego pułku wchodzacych, a rozłożonych już pod ten czas na kwaterach zimowych po okolicznych wioskach, by się na 6 grudnia stawiły w Sieradzu.

Dopiero po tych zarządzeniach nadszedł do niego rozkaz generała Klickiego z 3 grudnia, by udał się wraz z całym swym pułkiem do Warszawy. Stosownie też do tego polecenia wyruszył Dwernicki 6 grudnia z Sieradza, a 12 stanął on w stolicy.

Tu zrazu starał się o utrzymanie pod swą komendą brygady jazdy, ale zabiegi jego spełzły na niczem, ponieważ wszystkie już były rozdane. — Natomiast rozkazem szefa sztabu gen. Mrozińskiego z 15 grudnia 1830 No. 532 otrzymał dowództwo nad wszystkimi piątymi i szóstymi szwadronami jazdy, które miały się tworzyć na mocy uchwały Rządu Narodowego z 4 grudnia z dymisyonowanych a więc wysłużonych i wyrobionych już żołnierzy.

Generał gorliwie zajął się zorganizowaniem powierzonego sobie oddziału, co nie było jednakże rzeczą łatwą ze względu na rozmaite niedostatki, a zwłaszcza wielki brak koni, które było trzeba dopiero na gwałt skupywać. W każdym razie generał dokazał tyle, że w przeciągu miesiąca, bo w drugiej połowie stycznia stanęło gotowych do boju 18 szwadronów: z czego 8 ułańskich, 10 strzelców konnych. W ciągu zaś tej pracy, nie zaniedbywał on i innej kwestyi bardzo ważnej. Mianowicie jako

pochodzący z prowincyi zabranych, ustawicznie domagał się na naradach sztabowych wysłania w tamte strony jakiegoś oddziału, któryby swem pojawieniem się na tyłach nieprzyjacielskiej armii nie tylko czynił odpowiednią dywersyę, niszcząc komunikacyę, napadając na poszczególne transporty żywności i amunicyi, i wogóle szkodząc w rozmaity sposób przeciwnikowi, ale by ten oddział poruszył rodaków z tamtych prowincyi, odległych od właściwego teatru boju, by pochwycili za broń i wsparli w ten sposób główne działania nadwiślańskie.

Jak długo jednak był u steru spraw wojennych Chłopicki, tak długo propozycye te i tym podobne, przedstawiane dyktatorowi nie tylko przez Dwernickiego ale i innych, jak Chrzanowskiego, Prądzyńskiego, Chłapowskiego, spotykały się z odmową. Gdy zaś kraje zabrane wysłały do Warszawy z podobnem oświadczeniem swego przedstawiciela, Deniskę, ten otrzymał od Chłopickiego tę znaną powszechnie odpowiedź, „że dla tych prowincyi niema ani jednej skałki“ — w czem dyktator streszczał cały swój na tę sprawę pogląd.

Opinia publiczna wszelako inaczej zupełnie zapatrywała się na kwestyę Litwy i Rusi. Wyraziła się ona w pierwszym rzędzie w uroczystej enuncyacyi sejmowej z 20 grudnia. Gdy zaś te prowincye w miesiąc później przypomniały się, wnosząc do sejmu adres na sesyi 24 stycznia 1831. odbytej, izby sejmowe w odpowiedzi na to wołanie, całkiem urzędownie wezwały te ziemie do powstania i do dzielenia konstytucyi jako też wspólnego władcy.

Wezwanie to jednak, aby odniosło pożądany skutek, musiało być odpowiednio poparte ze strony Rządu warszawskiego czynem. To też w obec takiego prądu przenikającego odnośnie do tej kwestyi cały niemal ogół, skoro tylko Chłopicki złożył swą władzę, a na jego miejsce Naczelnym Wodzem został wybrany ks. Radziwiłł, sprawa gruntownej uległa zmianie i na naradach wojennych odbytych z końcem stycznia postanowiono wysłać osobny

korpus w tamte strony. W tym celu też Wódz Naczelny, w myśl, jak się zdaje, wskazówek Prądzyńskiego, wydał 2 lutego 1831 odpowiednie rozkazy wyznaczając skład tego oddzielnego korpusu i mianując jego dowódzcą generała Dwernickiego. Powodów tej nominacyi trzeba szukać i w tem, że generał ten najwięcej stosunkowo za taką wyprawą na naradach wojennych przemawiał, i w tem też,że on jako pochodzący z tamtych stron, lepiej znał tamtejsze stosunki i łatwiej się mógł oryentować i pociągnąć za sobą ziemian i mieszkańców tamtejszych.

Dekret nominacyjny sztabu głównego brzmiał następująco:

Nr. 22. W Warszawie, dnia 2 Lutego 1831.
SZTAB GŁÓWNY.

Do W-go Generała Brygady Dwernickiego.

Wódz naczelny przeznaczył JW. Generała na dowódzcę wyprawy, która ma działać za Bugiem. Pod Jego rozkazy przeznaczonym jest podpułkownik Błędowski. Oddzielna instrukcya tajna przepisuje sposób postępowania, którego trzymać się należy.

Szef sztabu głównego
Gł Bdy Mroziński.

Instrukcya zaś ta, o której powyżej jest mowa taki przepisywała generałowi sposób postępowania z siłami równocześnie mu przydzielonemi:

Nr. 22.
SZTAB GŁÓWNY.

INSTRUKCYA.

Użyć należy dla sprawy kraju i na szkodzenie nieprzyjacielowi, wszystkich sił, na które Wołyń, Podole i Ukraina będą się mogły zdobyć. Przeznacza się pod rozkazy W-go Generała do rozpoczęcia tej wyprawy i na zaród przyszłych sił w polskich guberniach, za powodem JW. Generała powstać mających, jeden batalion piechoty z załogi Zamościa i 4 działa 3 funtowe, o czem komendant twierdzy rozkaz odbiera, również 5-ty i 6-ty szwadrony pułku Krakusów, dowództwa pułkownika Jaraczewskiego o czem tenże zawiadomiony został. Przeznacza się także pod rozkazy JW. Generała legia Wołyńska, której formacya przez sejm zadekretowana została.

Kapitan Szymanowski z sztabu kwatermistrzostwa gł. zostający na teraz w Zamościu odbiera rozkaz udania się pod jego komendę.

JW. Generał zbierzesz Swój korpus bez zwłoki w Zamościu. Zaraz za rozpoczęciem kroków nieprzyjacielskich, przejdziesz Bug i wzmacniając się tamecznemi powstańcami, prowadzić będziesz jak najczynniejszą małą wojnę Szkodzić nieprzyjacielowi wszelkiemi sposobami, jakie tylko przemysł poda. Należy mu przeszkadzać zakładaniu magazynów, zaprowadzaniu administracyi na rzecz jego, przecinać komunikacyę. Należy udzielać wszelkich wiadomości do sztabu głównego i innym dowódzcom sił narodowych, w którym to celu przyłącza się klucz do tajnej korespondencyi.

Niekoniecznie uważać należy na zachowanie swoich komunikacyi, nie koniecznie obawiać się należy odcięcia siebie. *I owszem uważać należy siebie i swój korpus jako samoistny, rachować najwięcej na szybkość swoich poruszeń i na wykonywanie niespodziewanych rzeczy.* Nie należy się wdawać w rozprawy walne z przemagającym nieprzyjacielem, ale ustąpić mu, skryć się do lasu, albo też zniknąć przed nim kilku wzmocnionymi marszami, a napaść na niego niespodzianie, wtenczas i tam, gdzie się tego najmniej spodziewać będzie. Niezmordowana czynność powinna być przyjętem godłem, szczególniej bojować należy z oddziałami, które nieprzyjaciel ze żywnością i furażem wysyłać będzie.

Marsze odbywać należy najwięcej nocą i bocznemi drożynami, a tymczasem na wielkie trakty, zwłaszcza na drogi militarne całą baczność zwracać, podobnież nocą napady na nieprzyjaciela najczęściej uskuteczniać, alarmować go nieustannie, nużyć i trapić.

Za Bugiem otwiera się obszerne pole zyskania sławy i pomożenia sprawie ojczystej. Wkroczy się taką liczbą oddziałów i na tych punktach, jak tego wskazywać będą dogodności, położenie miejscowe i tameczne okoliczności. Oddziały te z przezornością śmiale zapuszczać się będą w głąb Wołynia i dalej jeszcze postępując wedle przepisów powyżej wyłuszczonych. Ale oprócz tego uważać się będą za początek wielkich sił, wielkiego powstania, które się w tamtym kraju uformować powinno, a do przyspieszenia czego JW. Generał wszelkie swoje usiłowania obrócisz.

Niechaj się Wołyń cały jak najprędzej porusza, niechaj naśladuje przykład Królestwa Polskiego, niechaj łączy swoje wysilenia na oswobodzenie Ziemi Ojczystej na zapewnienie całemu krajowi niepodległości i swobód dla naszego potomstwa.

Naczelny wódz znając Jego zdolność i gorliwość polega, że powierzoną mu misyę w tak świętej sprawie JW. Gł. z całem poświęceniem się wypełnisz.

Szef sztabu głównego
Gł. Bdy. Mroziński.

Myślą przewodnią tej instrukcyi, zasadą, która będzie się przewijać i powtarzać i w późniejszych tego rodzaju ekspedycyach był rozkaz prowadzenia w tamtejszych prowincyach „małej wojny".

Nasuwa się teraz samo przez się pytanie, na czem to polegała „mała wojna". — Odpowiedź na nie mieściła już sama instrukcya, która w swych poszczególnych punktach kładła specyalny nacisk na zagrożenie komunikacyi rosyjskich, na szybkość poruszeń, nakazywała unikanie walnej z nieprzyjacielem rozprawy a w zamian za to polecała urządzanie napadów, zwłaszcza nocnych na drobne jego oddziały.

Z ówczesnych teoretyków wojskowych generał Valentini tak określa istotę tego rodzaju wojny: „Pod nazwisko małej wojny, podciągam wielkie czynności wojenne, które sprzyjają zamiarom głównej armii lub korpusu, nie mają jednak same przez się wyraźnego wpływu na podbicie kraju, lub utrzymanie się w nim".

O wiele ściślej sprecyzował jej zadanie Karol Decker, autor dzieła p. t. „Mała wojna" tłumaczonego na język polski przez M. Lewińskiego, które też w dobie naszej kampanii było aktualne (wyszło w r. 1828 w Warszawie). Decker wymaga od małej wojny: 1) Zabezpieczenia armii i wszystkich jej części, 2) utrzymania związku czyli komunikacyi pomiędzy niemi, 3) przysposobienia żywności i wszystkiego, co do tego należy, 4) wiadomości o położeniu miejscowem, (terenie) w mocy nieprzyjaciela pozostającego lub szyku i pozycyi przez niego zajętej, 5) wszelki uszczerbek zrządzony nieprzyjacielowi bez stanowczych utarczek. Dopełnienie zleceń, w których przebiegłość wsparta ręką zbrojną, pewniej do celu prowadzi, niż siła, jakiej w wielkiej używają wojnie.

W naszym wypadku ten ostatni punkt piąty, odpowiadający pojęciu działań partyzanckich, najobszerniejsze znajdował zastosowanie, gdyż generał miał zadawać klęski nieprzyjacielowi bez stano-

wczych utarczek, i miał ponadto ważne zlecenia innego rodzaju, miał być ośrodkiem, źródłem ożywczem nowych sił, wielkiego powstania w tamtych ziemiach.

Zadanie więc, jakie na Dwernickiego nakładała instrukcya z 2 lutego było rzeczywiście zakrojone na rozmiary poważne. Generał jednakowoż nie wniknął w zadania tej ekspedycyi, uważając ją tylko za wyprawę „awanturniczą". To też w przystępie gniewu, jak się zdaje, złożył jej dowództwo, czuł się bowiem urażony, że potraktowano go takim małym oddziałkiem, gdy jego podkomendni, pułkownicy, już dywizye pod swe rozkazy otrzymali; że inni pozostawali tu w Warszawie, jego zaś, aby się pozbyć, wysyłano gdzieś z garstką nowozaciężnych aż w tak dalekie strony. Główną więc tu rolę odgrywała obrażona ambicya generała. Obraza nie na miejscu. Instrukcya była pomyślana trafnie. Stosując się do jej postanowień, mógł generał przyczynić się do podniesienia sprawy powstania w prowincyach zabranych i decydująco wpłynąć na bieg wypadków, i na głównym terenie wojny.

Błąd był w wyborze sił na tę wyprawę przeznaczonych. Dwernicki niesłusznie w swym pamiętniku podnosi słabość ich liczebną. Niedostatki były jakościowe, bo choć mu dawano batalion piechoty z załogi Zamościa, dawniejszej formacyi i już wyrobiony, choć mu przydzielano też 4 małe działa z wyćwiczoną usługą artyleryjską, to z jazdy, broni w małej wojnie najważniejszej, przeznaczano mu oddziały zupełnie jeszcze z bronią nieobyte, nowoformujące się dwa szwadrony krakusów i w zawiązku dopiero będącą legię wołyńską. Tymczasem zaś działo się to wbrew zasadom małej wojny. Artykuł 182 dzieła Deckera — takie stawia wymogi oficerom i żołnierzom przeznaczonym na tego rodzaju ekspedycye: „Od oficerów, takie oddziały prowadzących wymaga się największej zręczności, niezmordowanych usiłowań, doskonałego oka i męstwa nieledwie w zuchwalstwo prze-

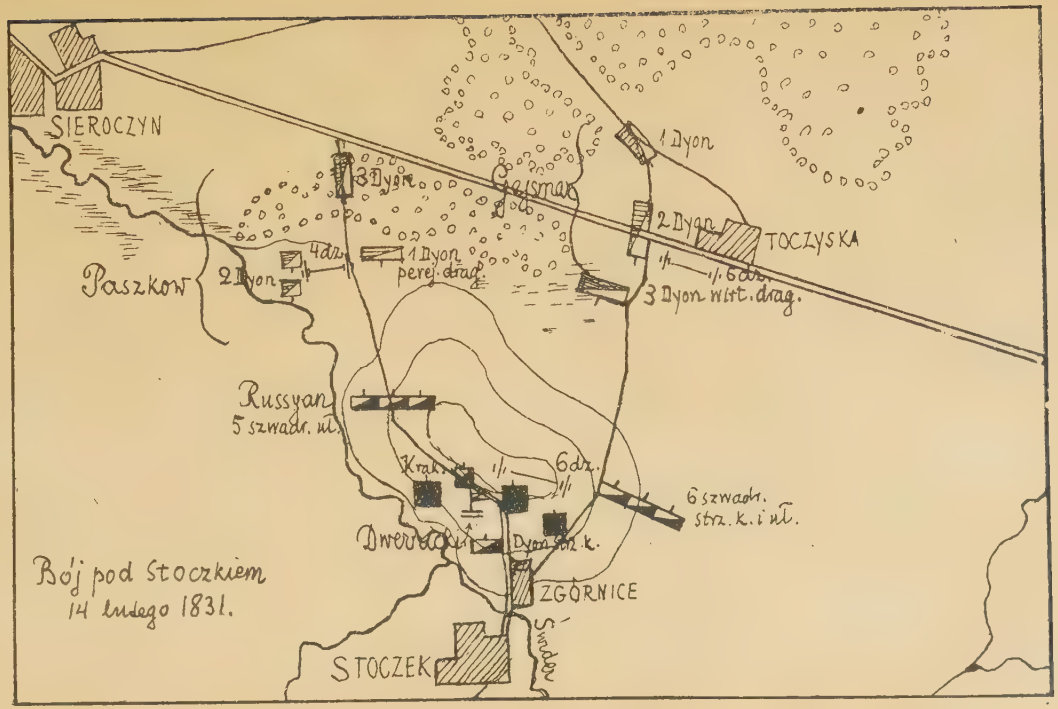

PLAN BITWY POD STOCZKIEM.

chodzącego. Wszystko zależy na dobrym stanie koni i całego materyału. Ludzie powinni być wyrobieni, dobrzy, i o konie swoje staranni jeźdźcy a przeto przy takich oddziałach nigdy odpsute konie znajdować się nie powinne". Owóż o ile generał sam odpowiadał doskonale określonym powyżej postulatom, o tyle podkomendna mu jazda, daleka była od tych słusznych zresztą żądań. Generał starał się coprawda o przydzielenie mu kilku starych szwadronów, lecz mu odmówiono, — co jednak nie powinno było być powodem do gniewu generała i do zrzekania się przez niego dowództwa nad tą wyprawą która, nawiasem dodać należy, nie była w swoim rodzaju odosobnioną, gdyż podobną zupełnie instrukcyę otrzymał w tym samym mniej więcej czasie pułkownik kwatermistrzostwa Valentin d'Hauterive z poleceniem działania na północnym znowu terenie Królestwa. Po rezygnacyi więc Dwernickiego komendę nad tą wyprawą powierzono generałowi Sierawskiemu, o czem zawiadomiono go rozkazem z dnia 6 lutego Nr. 63, w niczem nie zmieniając ani jego treści ani instrukcyi przedtem Dwernickiemu wydanej.

III.

Dwernickiego postanowiono użyć w inny sposób. Właśnie nadchodziły wieści o wkroczeniu sił rosyjskich do Królestwa i o szybkiem posuwaniu się w głąb kraju kolumn lewoskrzydłowych armii nieprzyjacielskich, które szły na Lublin. Dwernicki więc otrzymał 7 lutego rozkaz No. 2399 mianujący go „dowódzcą korpusu oddzielnego, mającego działać szczególnie przeciwko korpusowi Geismara, który wkroczył już w województwo Lubelskie".

Siła tego korpusu była już wcale znaczna, bo prócz zorganizowanych przez generała piątych i szóstych szwadronów jazdy — za wyjątkiem pułku strzelców konnych gwardyi dostawał obecnie Dwernicki czwarte bataliony 1, 2, 5 i 6 pułku piechoty, ponadto zaś luźne nowe formacye, jak pułk

krakusów Kościuszki, pułk krakusów Poniatowskiego, batalion strzelców celnych Kuszla i sześć dział 3 funtowych czyli przeszło 6000 ludzi. Generał co prawda i tem nie był zadowolony, chciał jeszcze otrzymać regularny pułk jazdy i piechoty, ale odmowną odpowiedzią komisyi wojny już się obecnie nie zraził — szybko też zajął się zorganizowaniem swego korpusu i sprowadzeniem wszystkich oddziałów w skład jego wchodzących do Mniszewa, gdzie sam stanął 9 lutego.

Ledwo poczęły się ściągać bataliony i szwadrony do jego korpusu, gdy już następnego dnia po swem do Mniszewa przybyciu t. j. 10 lutego otrzymał generał rozkaz od komendanta lewego brzegu Wisły, generała Klickiego — by nie czekając na zebranie się całego korpusu ruszył bezwłocznie z tem co ma pod ręką przeciwko Geismarowi idącemu od Kocka do Łukowa. Stosownie więc do tego polecenia Dwernicki przeprawił się z zebranymi oddziałami w nocy z 10 na 11 lutego pod Mniszewem przez rozmarzającą już Wisłę na prawy brzeg. Tu stanął w Rembkowie — dokąd ściągnęły trzy dywizyony jazdy, dwa bataliony piechoty i artylerya zaprzężona w konie zabrane warszawskim dorożkarzom. Na wiadomość zaś, że Geismar znajduje się już w Łukowie generał bez odwłoki posunął się następnego dnia do Żelechowa. Stąd miał zamiar rzucić się niespostrzeżenie na Geismara rozłożonego między Rużą a Łukowem. Manewr ten jednak spełzł na niczem, ponieważ dwaj krakusi wzięci do niewoli w czasie utarczek patrolowych, uprzedzili o tem Geismara, w następstwie czego ten opuścił dotychczasowe swe stanowisko i udał się w kierunku Seroczyna, ażeby przejść na lewy brzeg Wisły i połączyć się z korpusem generała Kreutza.

Ażeby do tego połączenia nie dopuścić, Dwernicki postanowił zaatakować nieprzyjaciela w Seroczynie. Dnia 14 lutego więc o godzinie drugiej w nocy wyruszył z Filipówki drogą na Stoczek do Seroczyna. O świcie straż przednią dowodzoną

przez podpułkownika Chmielowskiego we wsi Prawdzie zagarnęła całą z 80 ludzi złożoną placówkę nieprzyjacielską, z której ledwo jeden oficer zdołał uratować się ucieczką. Następnie korpus generała przeszedł przez wieś Stoczek i zatrzymał się za tą miejscowością opodal drogi idącej do Seroczyna.

Tymczasem Geismar dowiedział się o marszu Dwernickiego i postanowił sam pierwszy uderzyć. Miał on pod swymi rozkazami siły znacznie większe od polskich: dywizyę strzelców konnych, dwa pułki kozaków i 24 dział. Ufny w przewagę swych sił, zaślepiony swojemi zdolnościami wojskowemi, któremi wsławił się w ostatniej kampanii tureckiej, lekceważył zupełnie przeciwnika. Nie zbadawszy więc ani położenia ani ilości sił polskich, nakazał atak, do którego użył ledwo połowy owego korpusu, resztę t. j. drugą brygadę pozostawiając w dość odległym od miejsca boju Seroczynie jako rezerwę. Postanowił on napaść na korpus polski z dwu stron od razu, by go zgnieść jednym zamachem. W tym celu więc wysłał generała Paszkowa na czele pułku strzelców konnych Perejasławskich liczącego 984 koni i czterech dział lekkich wprost drogą od Seroczyna na Stoczek prowadzącą, sam zaś z pułkiem wirtemberskim strzelców konnych liczącym 960 ludzi, tudzież sześciu konnymi działami wyruszył drogą dalszą okolną na Toczyska, z tym zamiarem, żeby w chwili ataku Paszkowa od frontu, napaść z boku na prawe skrzydło polskie.

O ruchu obu tych kolumn dowiedział się Dwernicki około godziny 9 rano od nadbiegłych chłopów. Zaraz też odpowiednio uszykował swój korpus. I tak na wzgórzu lekko wznoszącem się obok drogi ustawił swoją artyleryę, która stamtąd mogła strychować swymi pociskami obie nadciągające kolumny nieprzyjacielskie. W jej asekuracyi pozostawił wszystką piechotę, której było 3 bataliony i jeden dywizyon 3 p. strzelców konnych. Resztę swoich sił rozdzielił tak, aby dać skuteczny odpór

obu nadchodzącym kolumnom rosyjskim. I tak naprzeciw Paszkowowi nadchodzącemu od Seroczyna wystawił dywizyony pułków 1 i 3 i jeden szwadron 2 ułanów, razem około 850 ludzi pod ogólną komendą dzielnego podpułkownika Russyana. Trzy zaś dywizyony: 1 i 2-go pułku strzelców konnych i 4 ułanów czyli około 1000 szabel obrócił ku drugiej kolumnie nadchodzącej od Toczysk. Jako osobistą eskortę pozostawił generał przy sobie dywizyon krakusów.

Naprzód ukazała się na drodze seroczyńskiej kolumna Paszkowa. Zobaczywszy uszykowane już siły polskie — przeszła w ich oczach wązką groblę i tuż za nią na drodze poczęła się rozwijać w ten sposób, że naprzód na pozycyi nieco wzniesionej stanęła artylerya, obok niej na lewej stronie pierwszy dywizyon, na prawej drugi. Tymczasem trzeci dywizyon był jeszcze za groblą. Nim on się jednak sformułował, już rozpoczął Paszkow rzęsisty ogień armatni, pragnąc w ten sposób zatrwożyć nieprzyjaciela. Polacy wprawdzie również przywitali nadchodzących ze swych trzyfuntówek, lecz nie czekając na rezultat tej kanonady, który dla nich nie mógł przynieść nazbyt dodatnich rezultatów, gdyż działka ich nie donosiły na taką odległość, ze śmiałą inicyatywą podpułkownika Russyana zaraz przeszli do ataku, z impetem uderzając we dwa dywizyony 1 i 3 pułku ułanów na drugi dywizyon Perejasławców, rozłożonych po drugiej stronie drogi.

Paszkow ruchem zwykłym w takich wypadkach, gdy jazda atakuje jazdę, chcąc złamać siłę uderzenia, nakazał temu dywizyonowi szarżę na galopujące na niego szwadrony ułanów, pierwszemu dywizyonowi nakazał równocześnie zajść Polakom z boku i z flanki na nich uderzyć. Zderzyły się szwadrony, zawrzała walka krótka, zajadła. Tędzy dragoni siedzący na rosłych koniach zrazu silny stawiali opór. Lekka jednak i zwinna jazda polska wkrótce wzięła górę. Wpadali już dragoni pierwszego dywizyonu ze skrzydła, gdy na nich samych z

boku uderzył pozostały szwadron 2 p. ułanów. Zdjęty „panicznym strachem“ tył podał dywizyon pierwszy flankujący, który w ucieczce przewrócił i za sobą porwał szykujący się dopiero do boju trzeci dywizyon. Za nimi zaś poszedł i drugi dywizyon; pozostały na placu boju dwa działa, tudzież bez mała 300 rannych, zabitych i wziętych do niewoli.

Nielepiej powiodło się i samemu Geismarowi. On, mając przed sobą dłuższą, bo okolną na Toczyska drogę, wysunął się z tamtejszych lasów, dopiero pod koniec tamtej bitwy. Widząc smutny koniec tamtego oddziału, a nie mogąc mu z powodu zbyt wielkiej odległości i moczarzystego gruntu przyjść bezpośrednio z pomocą, rozpoczął dla odwrócenia uwagi, gęsty ogień armatni. Do ataku jednak się nie kwapił. Na to Dwernicki, widząc, że mu kule armatnie w szeregach piechoty poczynają czynić szczerby, nakazał dywizyonom pierwszego pułku strzelców konnych i czwartego ułanów zaatakować pozycyę nieprzyjaciela. Im w sukurs posłał jeszcze dywizyon trzeciego pułku strzelców konnych, który miał z boku zaatakować dragonów. Zapęd ich powstrzymał na krótko czas silny ogień armatni i karabinowy dragonów. W tejże chwili jednak sam Dwernicki poskoczył ze swymi krakusami na nieprzyjaciela, czem tyle atakowi dodał impetu, że wywrócono w jednej chwili trzeci dywizyon wirtemberski, stanowiący kolumnę czołową oddziału Geismara, a choć jenerał ten, podobnie jak przedtem Dwernicki, sam stanął na czele drugiego dywizyonu, nie powstrzymał jego ucieczki. Wkrótce stała się ona ogólną — gdyż szyki nieprzyjacielskie wzięte w klamrę przez atakujące szwadrony, bo atakowane i z frontu i z obu skrzydeł równocześnie, nie wytrzymały tego naporu i pozostawiając zabitych i rannych, tudzież całą bateryę, sześć dział, w rękach polskich — pierzchnęły z placu boju.

Sukces więc obu tych szarż był świetny: zwycięstwo pod Stoczkiem odniesione wskrzesiło chlubne karty przeszłości polskiej jazdy, cała ta bowiem

bitwa toczona była wyłącznie przez konnicę stron obu. Siły walczące ze sobą były mniej więcej równe, za wyjątkiem artyleryi znacznie silniejszej w korpusie Geismara. Dwernicki jednak zawdzięczał ten świetny wynik nie tyle wyższym kombinacyom taktycznym, bo użyto tu zwykłych manewrów ataku wprost i oskrzydlenia flanki, ile raczej śmiałemu natarciu swej jazdy i jej zwinności z jaką potrafiła pokonać ciężką kawaleryę nieprzyjacielską. Bądź co bądź Dwernicki również okazał się dobrym jako wódz — pełny śmiałej inicyatywy, z jaką podejmował ofenzywę przeciw Geismarowi, w rzeczywistości przynajmniej dwa razy od niego silniejszemu, jeżeli się weźmie pod uwagę cały jego korpus, pełny tej bystrej oryentacyi, z jaką dojrzał przełomowy moment i punkt chwiania się walki, niemniej też pełny osobistego męstwa, we własnej osobie stając do ataku.

Skutkiem zbytniego zaufania w siebie i swoje siły, tudzież z powodu lekkomyślności w traktowaniu nieznanego sobie nieprzyjaciela, okazanych w tej potrzebie przez Geismara, stoczono dwie odrębne bitwy: dwu kolumn polskich uderzających ekscentrycznie ze swej dość silnej pozycyi górującej nad okolicą i bronionej przez artyleryę i piechotę z jednej strony, a dwu luźnych oddziałów rosyjskich z drugiej strony, które nie miały w tej bitwie, ani żadnego oparcia, gdyż rezerwy stały zdala od pola bitwy w Seroczynie, ani też czucia i łączności ze sobą, tak, że oddzielone od siebie znacznym moczarzystym grzązkim terenem, nawet się wzajem wspomagać nie były w stanie.

Mimo tak dodatni rezultat walki Dwernicki nie ścigał pobitego nieprzyjaciela, nie chciał bowiem natknąć się na świeżą rezerwową brygadę Geismara, która stała w Seroczynie, zresztą na stoczenie ponownej bitwy nie pozwalał mu zły stan koni, odpsutych przeważnie atakami na ostrym i zamarzłym gruncie. Pozostał więc do wieczora na placu boju, pod noc zaś ruszył ku Wiśle do Pary-

SZWADRON 2. P. UŁANÓW POD STOCZKIEM.

sowa, gdzie stanął 15 lutego. Podczas tego marszu i na miejscu w Parysowie organizował on swoją zdobyczną artyleryę, uzupełniał straty powstałe przez bitwę i kompletował swój korpus świeżo nadciągającymi oddziałami (przybył wtedy czwarty batalion drugiego pułku piechoty i szósty szwadron drugiego pułku ułanów) i ochotnikami, miedzy którymi było 25 członków warszawskiego Towarzystwa patryotycznego i to co najwybitniejsi, jak Ksawery Bronikowski, ks. Kazimierz Pułaski, ks. Ignacy Szyndlarski, Seweryn Goszczyński, Tadeusz Krępowiecki, obaj Bielowscy i w. i.

IV.

W Parysowie przyprowadziwszy swój korpus do porządku i wzmocniony świeżo przybyłymi oddziałami, Dwernicki miał zamiar znowu podjąć ofenzywę przeciw Geismarowi, lecz w międzyczasie zaszły wypadki, które zmusiły sztab główny do odwołania go z okolic dotąd zajmowanych, a przeniesienia swej działalności na lewy brzeg Wisły. Oto bowiem w czasie gdy Dwernicki potykał się z Geismarem, inny oddział rosyjski jenerała Kreutza (pod którego komendę należał i Geismar) stanowiąc lewe skrajne skrzydło armii rosyjskiej, przeszedł Lublin i przeprawił się na lewy brzeg Wisły, skąd łatwo mógł zagrażać nie tylko wszystkim w tych południowych prowincyach tworzącym się formacyom powstańczym, ale co gorsza, mógł wobec bardzo słabej załogi rozłożonej od południa, zaskoczyć z tej strony Warszawę.

Skoro więc sztab główny dowiedział się, że dowódzca przedniej straży Kreutza, ks. Wirtemberski przeszedł już na lewy brzeg Wisły i zagraża Puławom, w obawie nie tylko o los tej miejscowości, gdzie wszak przebywała rodzina Prezesa Rządu Narodowego ks. Adama Czartoryskiego, ale co ważniejsza o samą stolicę, wysłał zaraz 13 lutego rozkaz do komendanta lewego brzegu Wisły, generała Klickiego, by ten natychmiast dla ratowania tej czę-

ści kraju wraz z Warszawą, ściągnął na lewy brzeg Wisły korpus Dwernickiego.

Klicki jednakowoż sceptycznie zapatrywał się na alarmy wynikłe z powodu zajęcia Radomskiego przez Kreutza, ponieważ liczył się z tem, że pozostała na lewym brzegu Wisły dywizya Sierawskiego, złożona z pułku krakusów, z dwu pułków kosynierów, trzeciego dywizyonu strzelców konnych gwardyi i czterech dział, zdoła powstrzymać dalszy manewr przeciwnika złożonego z samej jazdy (dwu dywizyi dragonów, pułku kozaków i 24 dział.[1]) Zawiadomił więc wprawdzie Dwernickiego pismem z 14 lutego, że nieprzyjaciel przeprawił się pod Puławami na lewy brzeg Wisły. „Sztab, pisze w dalszym ciągu Klicki — poleca mnie ściągnąć Pana Generała z prawego brzegu na lewy, celem działania zaczepnie i przepędzenia nieprzyjaciela na powrót“ od siebie jednak zaraz dodawał, że „dopełnienie tego rozkazu o tyle tylko mogę zalecić Panu Generałowi, o ile Mu okoliczności i światło Jego wskażą za potrzebne“.

Ponieważ jednak w trakcie pisania tego listu świeże nadeszły do Klickiego wiadomości o przejściu znaczniejszej już siły, bo około 4000 wojska rosyjskiego na lewy brzeg Wisły, więc generał ten w dalszym ciągu tego pisma zalecał Dwernickiemu, że „należy Mu działać, iżby ile można wstrzymać nieprzyjaciela od niepokojenia lewego brzegu, a nawet, jeżeli można porazić go pod Puławami“. Przy końcu udzielał mu i nadal swobody ruchów, pisząc: „Powtarzam, iż nie mogę Panu Generałowi przepisywać ostatecznie, jak masz działać. Utrzymywany związek z lewym brzegiem i niemylna

---

[1]) Kreutz dowodził piątym rezerwowym korpusem jazdy. Prawą jego kolumnę tworzył Geismar i miał pod swem dowództwem 34 szwadronów i 24 dział czyli dwie dywizye strzelców konnych i dwa pułki kozaków, lewą on sam dowodził, lecz z podanej powyżej cyfry w skład jego korpusu podającej, musiał po drodze znaczne pozostawić oddziały dla obserwacyi Zamościa, trzymania Lublina i t. p.

wiadomość co się na nim dzieje, wykażą jak Mu postąpić wypada, zwłaszcza, że Wódz Naczelny upoważnia Go do powrócenia na lewy brzeg, czy to z całą siłą, czy z częścią tylko w miarę potrzeby".

Rozkaz ten, jak widzimy nie kategoryczny, wydany przez Klickiego nim jeszcze go doszła wiadomość o zwycięstwie pod Stoczkiem, przywiózł do obozu Dwernickiego w Parysowie, adjutant Naczelnego Wodza, Ignacy Kruszewski.

W chwili tej zamierzał Dwernicki zatrzymać się nieco dłużej w Parysowie dla odpoczynku znużonych ostatniemi przejściami ludzi i podbitych koni. Poniechał już bowiem swego dawnego zamiaru uderzenia na rozbitków ostatniego starcia, gdy mu patrole doniosły o ustąpieniu nieprzyjaciela z Seroczyna i połączeniu się jego obu brygad. Lecz z projektowanych wywczasów wyrwał generała naglący już rozkaz Klickiego, wysłany jeszcze tego samego 14 lutego o godzinie dwunastej w nocy, który brzmiał następująco: „Z woli Naczelnego Wodza rozkazuję Panu Generałowi, abyś, jeżeli nie masz nieprzyjaciela przed sobą, któregobyś zaraz pobić mógł, przeszedł natychmiast w miejscu dogodnem Wisłę między Puławami a Mniszewem, tak, abyś nieprzyjacielowi, który przeszedł Wisłę pod Puławami, z artyleryą nawet, zaszedł w tył lub w bok. Nieprzyjaciel podług odebranych wiadomości postępuje ku Radomiowi, celem niszczenia formacyi i magazynów". W dalszym ciągu donosił mu Klicki, że ma działać przeciwko Kreutzowi wspólnie z dywizyą generała Sierawskiego a na zakończenie dodał własnoręczny dopisek: „Nie trzeba tracić czasu na uskutecznienie tego rozkazu, taka jest wola Naczelnego Wodza i potrzeba zasłonienia stolicy".

Dwernicki rozkaz wypełnił zaraz, tem snadniej, że ustąpił mu się Geismar. Dnia 16 lutego przybył więc do Osiecka, a następnego dnia przeprawił się już pod Górą na lewy brzeg Wisły. Tymczasem

w Osiecku otrzymał nowy rozkaz Klickiego modyfikujący już znacznie poprzedni. Pismo to z 16 lutego No. 194, nawiasem powiedziawszy, zupełnie mylnie w Pamiętnikach Dwernickiego cytowane, znowu pozostawiało Dwernickiemu znaczną swobodę działania, gdyż Klicki donosił co następuje: „Nie chcąc generałowi tamować dalszych działań na prawym brzegu Wisły, polecam generałowi Sierawskiemu, wskazując mu gdzie jenerała ma szukać. Geismara nie radzę Mu spuszczać z oka, aby nie zechciał się mścić z poniesionej klęski". W podobnym też sensie pisał równocześnie i sztab główny, polecając Dwernickiemu rozkazem z 16 lutego No. 152, zabezpieczać Warszawę przeciwko temu wszystkiemu, coby od Puław przybliżać się chciało, zabezpieczać kałuszyńską szosę, trzymać na wodzy Geismara i zakrywać wogóle prawe skrzydło armii, szykującej się właśnie do stanowczej z nieprzyjacielem rozprawy, w której i Dwernicki miał wziąć ze swym korpusem udział. Następnego zaś dnia rozkazem No. 153, polecono mu postąpić bliżej ku Warszawie i do kałuszyńskiej szosy.

Jakby w przewidywaniu tych właśnie rozkazów Dwernicki nie przeprawił się jak mu polecono koło Puław, lecz znacznie wyżej a uczynił to jak się w swym raporcie z 16 lutego tłumaczył „naprzód z przyczyny, że za parę dni lody już zbyt będą słabe, a pozatem, stamtąd (od Puław) na przypadek niemożności przeprawienia się byłoby bardzo daleko wracać się na Warszawę a stąd parę dni czasu kosztować będzie".

V.

Przeprawiwszy się 17 lutego pod Górą na lewy brzeg Wisły, zatrzymał się generał przez cały następny dzień w tej miejscowości. Tu też doszły go nowe rozkazy z Warszawy, zmieniające znowu kierunek działalności Dwernickiego, mianowicie nie miał on już bronić Warszawy, lecz udać się ku południowi dla kontynuowania rozpoczętego ruchu

przeciw Kreutzowi, którego korpus miał rozbić, tudzież przepędzić na prawy brzeg, ponieważ, jak doniesiono do Warszawy, Kreutz przeszedł z całym swym korpusem na tę stronę Wisły i zajął znaczną połać kraju po Zwoleń i Radom, skąd był zmuszony przed nim ustąpić generał Dziekoński z dwoma świeżo formującymi się pułkami piechoty.

Dla tem skuteczniejszego wykonania tego ruchu sztab nie tylko wysyłał przeciw Kreutzowi Dwernickiego, ale też poddawał pod komendę tego generała i całą dywizyę Sierawskiego, co było nawet powodem, że dla zachowania hierarchii służbowej zamianowano Dwernickiego generałem dywizyi „w chlubny dowód, jak mówił odnośny dekret z 18 lutego — szczególnego względu za okazane męstwo w świetnej bitwie pod Seroczynem". Przez oderwanie tak znacznych sił, wyrobionych już w boju i pełnych animuszu wojennego tuż przed stanowczą bitwą, sztab główny popełnił błąd nie do darowania, zwłaszcza, że nieprzyjaciel ten, jak się to później okazało, wcale nie był groźny i dla powstrzymania go zupełnie wystarczał Sierawski ze swoją dywizyą. Powodów tego błędu należy szukać głównie w niedostatecznej organizacyi i wyćwiczeniu naszej jazdy w służbie wywiadowczej, skutkiem czego sztab główny częstokroć mylnie informowany o poszczególnych ruchach nieprzyjacielskich, nieodpowiednie wydawał polecenia. Podczas tej kampanii niestety wciąż na tym punkcie niezmiernie dla działań wojennych ważnym, szwankowano. Podkreślić zaś ten szczegół należy tem więcej, że jazda nasza, do której służba wywiadowcza w pierwszym rzędzie należała, pod każdym innym względem, sprawnością bojową o całe niebo przewyższała ciężką i nieporadną kawaleryę rosyjską, ale przyuczana poprzednio przez 15 lat pod krótkowzrocznym rygoryzmem w. ks. Konstantego tylko do zwykłej służby frontowej, w której też w rzeczy samej niepospolitej nabrała wprawy, zaniedbywała nieomal w zupełności służbę polową. Odbiło się to dot-

kliwie, mimo dogodnych warunków, wśród jakich rozpoczynano walkę i mimo, że sprawa powstania spotykała się z przyjaznym nastrojem ludności wieśniaczej, która mogła być użytą i za dobrych przewodników i dawała dobre wiadomości, jak było np. pod Stoczkiem.

Sztab główny odczuwał doskonale te braki w służbie wywiadowczej — z tego też powodu dowódzca całej jazdy, generał Weysenhoff, wydał w Jabłonnie 13 lutego „okólnik do Panów dowódzców pułków jazdy", w którym słusznie zwracał ich uwagę na wystawianie placówek i sposób wysyłania podjazdów, tudzież na ich główne zadania.

Otóż i w tym wypadku sztab główny nie byłby się wyzbywał dobrowolnie korpusu Dwernickiego, gdyby nie mocno przesadzone wiadomości o znacznej sile Kreutza. Tymczasem Kreutz rosyjskim zwyczajem słabe swe, ledwo około 4000 ludzi liczące siły, rozdzielił na mniejsze oddziały, te rozrzucił jak najszerzej po okolicy i w ten sposób bardzo łatwo przyprawiał o niepotrzebny zgoła przestrach najbliższe komendy polskie, które znowu swymi raportami wywołały konsternacyę w głównej kwaterze. Zatem otrzymał Dwernicki następujący rozkaz sztabu głównego z 18 lutego № 172: „JWGenerał oczyściwszy w krótkim czasie województwo sandomierskie i zabezpieczywszy stolicę z tej strony, uczynisz wszystkie siły przechodzące pod Jego rozkazy zdolne do użycia przeciw głównej armii nieprzyjacielskiej, albo do stanowczej wyprawy za Bug". — Szczegółowsze instrukcye co do operacyi przeciw Kreutzowi przysłał Dwernickiemu generał Klicki, polecając mu pismem z 18 lutego № 309, albo stoczyć walkę z Kreutzem koło Mniszewa, albo też wpaść przez Głowaczew na jego tyły lub flanki, a uporawszy się jednym zamachem z tym nieprzyjacielem, dla dalszej obserwacyi jego ruchów pozostawić dywizye Sierawskiego, samemu zaś wrócić na swe dawne pod Warszawą stanowisko.

Dwernicki wykonał zaraz otrzymane rozkazy.

Dnia 19 lutego rano opuścił on Górę Kalwaryę i udał się do Mniszewa, dla połączenia się ze stojącym tam oddziałem Sierawskiego. Tegoż dnia objął Dwernicki komendę nad połączonymi tam oddziałami, które razem dochodziły do pokaźnej cyfry 10 000 głów — i natychmiast rozpoczął na czele całego korpusu kroki zaczepne przeciwko Kreutzowi, którego korpus z Kozienic wysunął straż przednią koło Nowej Wsi, a wysyłał swe patrole aż w pobliże Mniszewa do Ryczywołu.

VI.

Zaraz więc popołudniu 19 lutego wyruszył Dwernicki przez Ryczywół do Kozienic, mając w swej awangardzie wypoczęty korpus Sierawskiego. Tuż za Ryczywołem natknął się pułk krakusów, idący na samym czele kolumny, na kozaków Kreutza. Śmiałem uderzeniem rozbili ich zaraz krakusi i zmusili do ucieczki w kierunku Kozienic. Droga, którą uciekali kozacy z Ryczywołu szła przez gęsty las. Krakusi zagrzani łatwem zwycięstwem, niepomni na wezwanie Dwernickiego, który, obawiając się zasadzki, nakazał się powstrzymać, popędzili za uciekającymi. Smutne przewidywania Dwernickiego spełniły się rychło; w pościgu przez las wpadli wkrótce na otwartą polankę, gdzie przywitani nagle zostali silnym ogniem kartaczowym.

Na tej bowiem polance między Nową Wsią a Majdanem stała straż przednia Kreutza, licząca przeszło 1000 ludzi, a złożona z 6 szwadronów dragonów, pułku kozaków i sześciu dział. Dowodził nią pułkownik Butowicz, który przed wieś Majdan na drodze wiodącej od Nowej Wsi ustawił z prawej jej strony sześć dział, po obu ich stronach umieścił po dwa szwadrony dragonów, przyczem na prawem skrzydle dodał im jeszcze kozaków, z tyłu zaś za zabudowaniami Majdanu i za błotnistą rzeczką przecinającą prawą stronę tej polany, pozostawił w rezerwie dwa inne szwadrony dragonów.

Na taką to pozycyę naprowadzili kozacy kraku-

sów, którzy nie mogli wytrzymać ognia kartaczowego sześciu dział i pierzchnęli, aż sam generał z ułanami nadbiegł im z pomocą. Wśród tego nadszedł cały korpus Dwernickiego.

Pod Nową Wsią generał uszykował swoje siły w ten sposób, że równolegle do frontu rosyjskiego rozwinął dwa dywizyony ułanów; naprzeciw jego

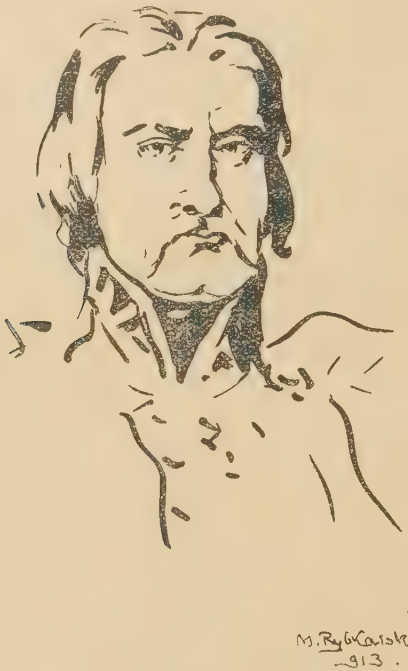

SIERAWSKI.

prawego skrzydła ustawił całą jazdę Sierawskiego, tak że Rosyanie mogli myśleć, iż mają do czynienia tylko z samą kawaleryą. W rzeczy samej Butowicz, pewny, że mu zagrażają Polacy tylko od frontu, rozwinął silny ogień działowy na uszykowane przed jego frontem dywizyony. Tymczasem Dwernicki

korzystając z tego, że lewe skrzydło nieprzyjacielskie opierało się o teren porosły gęstymi krzakami, podsunął w tę stronę swą piechotę i artyleryę Sierawskiego, która korzystając z gęstego dymu wystrzałów dział rosyjskich, podstąpiła pod nie tak blizko, że mogła je doskonale razić z boku ogniem kartaczowym.

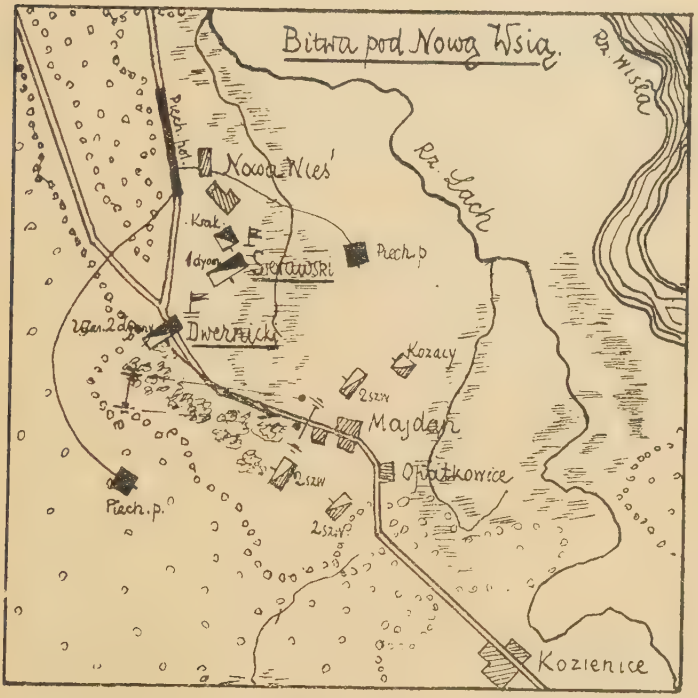

Gdy wszystkie oddziały zajęły w ten sposób swoje miejsca, i gdy Dwernicki widział, że główne siły nieprzyjacielskie nie nadchodzą, nakazał atak. Jak zwykle, i tym razem atakowane miały być armaty przez kawaleryę. Szarżę miał wykonać dywizyon 3 p. ułanów pod majorem Wierzchleyskim.

Dwojaki był sposób podług ówczesnego regu-

laminu atakowania nieprzyjaciela. Albo więc nacierano z miejsca i wówczas krótko rozlegała się komenda, 1) Pierwszy pluton, 2) Skróć cugle, 3) Dyrekcya na prawo, 4) Z miejsca, 5) Marsz-marsz! co zwykle wykonywano wtedy, gdy albo nieprzyjaciel był blizko, albo dla odparcia szarży nieprzyjacielskiej; albo też przechodzono stopniowo z stępa w kłus, następnie w galop, a dopiero gdy konie wzięły rozpęd największy, komenderowano do ataku „Marsz-marsz!“

W tym wypadku atak był wykonywany tym drugim sposobem, raz, że nieprzyjaciel był dość odległy, powtóre teren pełen karczowisk i pniaków niezbyt sprzyjał ewolucyom jazdy, potrzecie wreszcie dywizyon ten mógł wpaść dopiero wtedy na rosyjską bateryę, gdy ona z boku zostanie zaatakowaną przez działa Sierawskiego.

W rzeczy samej, stary ten dywizyon, mimo przeszkód terenowych i mimo silnego ognia kartaczowego wykonał wszelkie obroty spokojnie jak na mustrze. Mimo dość gęstych strat podsunął się pod armaty nieprzyjacielskie, a gdy nagły ogień działowy Sierawskiego od lewej flanki wywołał wśród artylerzystów rosyjskich zamieszanie, rzucił się na nich i rozpędziwszy ich choć nie bez silnego oporu, zdobył armaty. Równocześnie zaś napadł z prawej strony ze swoją kawaleryą generał Sierawski na asekurujących te działa dragonów i po krótkim oporze rozbił ich, część wziął do niewoli a resztę przymusił do ucieczki przez bagna za rzeczkę. Krakusi znowu poczęli ich ścigać, lecz natrafiwszy na rezerwę ustawioną za rzeczką, ostrożniejsi już teraz, cofnęli się do głównych sił, zwłaszcza, że zapadł tymczasem zmrok, który położył kres dalszej walce.

To zwycięstwo nad przednią strażą Kreutza głównie przypisać należy przezornym rozporządzeniom Dwernickiego, który wczas na plac boju przybywszy, zdołał uratować rozpierzchłych krakusów, a przez planowe rozstawienie swych sił i skuteczne ich użycie zabrał wszystkie armaty nieprzyjaciel-

skie i rozpędził pułk dragonów, pozostawiony w ich asekuracyi. Część jednakże zasługi spada i na dzielny dywizyon ułański, który niezrażony dotkliwym ogniem kartaczowym w porę na działa się rzucił. W każdym razie poniósł tu Dwernicki duże stosunkowo straty, zwłaszcza z powodu silnego ognia kartaczowego i początkowej porażki krakusów.

VII.

Po tej bitwie nie wypadało Dwernickiemu nic innego, jak dla kontynuowania swych ruchów celem zupełnego rozbicia korpusu Kreutza, ruszać bezzwłocznie dalej na południe do Kozienic. Ale tymczasem zaszło coś zgoła nieoczekiwanego. Bo Dwernicki zamiast konsekwentnie przeprowadzić swój plan rozgromienia korpusu rosyjskiego, niemal w obliczu nieprzyjaciela zawraca wraz z całym swym korpusem w wprost przeciwną stronę, ku północy. Fatalny ten zwrot, przeciwny wszelkim zasadom sztuki wojennej, nastąpił z przyczyn błahych, był następstwem wadliwej organizacyi służby wywiadowczej. Dwernicki otrzymał świtem 20 lutego, gdy właśnie korpus miał wyruszać w drogę do Kozienic, raport kapitana 2 ułanów, Nowickiego wysłanego z podjazdem do Kawenczyna, że nieprzyjaciel ukazał się na tyłach Dwernickiego u przeprawy przez Wisłę pod Karczewem. Raport ten wysłany z Kawenczyna 19 lutego No. 63, był nieudolnie zredagowany; autor jego, nie odróżniając rzeczy ważnych od podrzędnych naprzód skarżył się w nim i szeroko i długo na brak kowali do kucia koni i na to, że jeden z wachmistrzów przeniósł się do innego szwadronu nie opowiedziawszy się jemu, dopiero zaś przy końcu lakonicznie tylko donosił o rzeczy najważniejszej: „Przytem — pisał Nowicki — mam honor zameldować JWGeneralowi, że wojska nieprzyjacielskie stanęły obozem w Karczewie, oraz z łatwością ułatwiają przeprawę przez Wisłę pod wioską Gassy i już na tę stronę przeprawiło się kozaków 19, jak patrol w tej mierze wy-

słany z pewnością doniósł". Zresztą żadnych bliższych danych, ani o sile tego korpusu, ani o jego składzie i kierunku marszu raport ten nie podawał, mimo, że obowiązkiem Nowickiego było wysłać w jego stronę wzmocnione patrole, ułowić jednego bodaj z tych kozaków i w ten sposób zdobywszy pewniejsze wiadomości, meldować generałowi.

Dwernicki znowu zanadto pochopnie uwierzył słowom tego raportu o zbliżaniu się nieprzyjaciela, zanadto wielką niepotrzebnie nadał wagę. Skutkiem czego popełnił błąd nie do darowania, bo zamiast wysłać w tamtą stronę tylko rekonesans, aby zbadać dokładnie siły i zamiary zachodzącego mu tyły nieprzyjaciela, a w tym samym czasie rzucić się na Kreutza i rozbić go, poczem mógł z kolei posunąć się na północ i podobnie postąpić z drugim przeciwnikiem, wypuścił Kreutza, nie mogącego mu stawić poważniejszego oporu ani przeprawić się zaraz przez Wisłę, a więc na pewno przeznaczonego na zupełną zagładę.

O świcie 20 lutego wyruszył z Ryczywołu do Mniszewa, następnego zaś dnia stanął w Górze. Tu dopiero przekonał się, że padł ofiarą fałszywego alarmu, ponieważ groźnym rzekomo nieprzyjacielem był tylko silniejszy podjazd kozacki, który za okazaniem się w tamtych stronach polskich patroli, cofnął się zaraz na prawy brzeg Wisły. Ten ruch ku północy i wynikła stąd strata czasu, fatalnie odbiły się na dalszych działaniach. W swych pamiętnikach starał się Dwernicki usprawiedliwić swe podówczas działania, rzekomymi względami na bezpieczeństwo stolicy. W gruncie rzeczy zaś jak to widać z jego korespondencyi ze sztabem głównym i Klickim, odczuwał generał swój błąd, który starał się wytłómaczyć mylnemi informacyami i hukiem dział słyszanym przez dwa dni od strony Warszawy.

Władze przełożone przyjęły tłumaczenie do wiadomości, zwłaszcza, że Klicki jeszcze 20 lutego rozkazem No. 356 wzywał generała, by się przysu-

nął bliżej do Warszawy, zostawiwszy na obserwacyę Kreutza korpus Sierawskiego, to też następnego dnia odpisał Dwernickiemu w liście No. 379, co następuje: „Nieszczęście mieć chciało, że dałeś się uwieść fałszywym wieściom, które troskliwość Twoją o stolicę zaalarmowały. Wracaj generale i rób co możesz, aby wynagrodzić tak bolesną stratę". Dwernicki nie dał sobie tego wezwania powtórzyć. Pragnął on popełnioną omyłkę jak najrychlej powetować. W tym więc celu 22 lutego spiesznym marszem udał się do Warki, gdzie stanął późnym wieczorem tego samego dnia. Nazajutrz wyruszył w dalszą drogę, ale nie poszedł głównym traktem, tylko boczną drogą ciągnącą się lasami do Głowaczewa, a to dla tem lepszego ukrycia swego pochodu, gdyż zamierzał zajść znienacka przednią straż Kreutza, t. j. pułk dragonów i dwa działa, stojącą pod komendą ks. Adama Wirtemberskiego we wsi Brzozie. W drodze jednak przewodnicy pobłądzili, skutkiem czego korpus, zamiast do Głowaczewa, przybył pod noc ledwo do Grabowa, gdzie też zanocował. Dowiedział się o tem ks. Wirtemberski i wczas zemknął do Kozienic, gdzie połączył się z Kreutzem. Skutkiem czego nie tylko, że to uderzenie na awangardę rosyjską spełzło na niczem, ale nie powiódł się cały plan Dwernickiego.

Zamierzał on równocześnie z kilku stron napaść Kreutza. W tym więc celu polecił Romanowi Sołtykowi, stojącemu na czele luźnych organizacyi powstańczych, uderzyć na Kozienice od Radomia; generał Sierawski miał zaatakować od frontu, idąc ze swą dywizyą głównym od Ryczywołu traktem; sam Dwernicki chciał bocznem zajściem zaskoczyć lewe skrzydło nieprzyjaciela. Gdy jednak pod wieczór stanął na wysokości Kozienic, zobaczył, że miejscowość ta jest pusta. Kreutz, uprzedzony przez swą awangardę o marszu korpusu polskiego, nie czekając jego przybycia i walnej z nim rozprawy, która jak łatwo było przewidzieć, fatalnie wypaść mogła, przeszedł koło Tyrczyna przez Wisłę

nie bez trudności z powodu słabego lodu, który trzeba było słomą i deskami wzmacniać; stanął na prawym brzegu pod Maciejowicami.

Tak więc na marne poszedł wysiłek ostatnich kilku dni, dając tylko skromny sukces pod Nową Wsią i oczyszczenie lewego brzegu Wisły. Przez tę zaś ekspedycyę popełnił sztab główny błąd zasadniczy, gdyż pozbawił się w chwili stanowczych bojów pod Warszawą dzielnego generała i bitnego korpusu, któryby silnie mógł zaważyć na ich przebiegu.

Dwernicki, gdy zobaczył, że Kreutz wymknął mu się na prawy brzeg, nie ścigał go dalej, gdyż uważał, że zanadto niebezpieczną byłaby przeprawa po coraz słabszym lodzie w obliczu nieprzyjaciela, któryby wzbraniał tej przeprawy silnym ogniem działowym i karabinowym. Umyślił więc czekać w Kozienicach, a przeprawić się na drugi brzeg dopiero wtedy — jakto pisał do sztabu w swym raporcie z 25 lutego — gdy nieprzyjaciel posunie się nieco w głąb kraju, postanawiając w takim razie natychmiast kontynuować swój pościg. W decyzyi tej odgrywał rolę dość znaczną i wzgląd na zmęczenie korpusu ostatnimi gwałtownymi marszami, jakoteż i wzgląd na siły liczebne przeciwnika wciąż przeceniane. Gdy bowiem chciał Dwernicki, w dalszym ciągu zaraz ścigać Kreutza, mógłby był pozostawić w Kozienicach na obserwacyi i dla zmylenia nieprzyjaciela słaby tylko oddział, sam zaś z głównemi siłami przeprawić się przez Wisłę w innem miejscu powyżej lub poniżej Maciejowic i rozbić Kreutza nagłym napadem. Przyczem i to trzeba podnieść, że każdy dzień zwłoki w obec panującej odwilży utrudniał przeprawę.

Wobec takich projektów Dwernickiego, na rękę mu był rozkaz Klickiego z 26 lutego No. 562 powiadamiający go o stoczonej pod Grochowem bitwie i o nominacyi Skrzyneckiego Naczelnym Wodzem, tudzież zalecający mu „wstrzymanie zamierzonej przeprawy, póki Wódz Naczelny co stanowczego

w tej mierze wyrzecze". Ażeby ta stanowcza Skrzyneckiego decyzya co do dalszych działań Dwernickiego, wypadła po myśli generała, wysłał zaraz po otrzymaniu tego pisma t. j. 28 rano, nie tylko zwykły raport, ale poważną osobę generała Sierawskiego, który miał przedstawić Naczelnemu Wodzowi obok niezbędnych potrzeb administracyjnych korpusu, także i dalsze zamiary generała, między którymi obok pobicia Kreutza pierwsze miejsce zajmowała już dawniej projektowana wyprawa w prowincye zabrane. W oczekiwaniu zaś tych decyzyi, pisał on 1 marca do sztabu, że zbliżyć się ma zamiar do Puław. „Tymczasem — meldował — będę mógł wzbronić przeprawy Kreutzowi, jeżeliby zamyślał o takowej, albo go wpuszczę, a potem pobiję, albo też jeżeli przejdzie w Lubelskie, przeprawię się za nim i ścigać będę, aby to województwo oczyścić, jeżeli innego nie odbiorę rozkazu, który co moment spodziewam się odebrać przez generała Sierawskiego.

Ale Kreutz nie miał zamiaru narażać się na nowe niebezpieczeństwa i przeprawiać się na lewy brzeg Wisły, zwłaszcza że wśród tego otwierało mu się szerokie dość pole działania, bo miał zakładać magazyny w kilku miejscowościach i musiał trzymać na wodzy wybuchające tu i owdzie powstania. I tak 26 lutego dowiedział się o napadzie na szwadron rosyjskich dragonów w Puławach, dokonanym przez luźne oddziały z pod komendy pułkownika Łagowskiego i Kozakowskiego. Natychmiast więc Kreutz wysłał do Puław br. Dellingshausena z trzema szwadronami i 500 kozakami dla niesienia pomocy tamtemu szwadronowi, zupełnie rozbitemu i dla stłumienia powstania w Puławach, a w ślad za tym oddziałem puścił się także 28 lutego i Kreutz z całym swym korpusem. Już przybył nawet do Końskowoli, gdy wtem wiadomość o przygotowującem się powstaniu w Lublinie i opuszczeniu tej miejscowości przez zajmujący ją szwadron dragonów Erdmana, powstrzymała go w dalszym mar-

szu na Puławy, i skierowała marsz jego do zagrożonego Lublina.

Dwernicki skoro zobaczył, że nieprzyjaciel opuścił Maciejowice, również przesunął się nieco na południe, idąc 1 marca z Kozienic do Gniewoszowa. Tam dokładnie wywiedział się o marszu Kreutza do Lublina. Tam też doniesiono mu, że w Puławach stoi pułk dragonów Tuchaczewskiego z dwoma działami i pułk dońskich kozaków Choperskiego. Z tak świetnie nadarzającej się sposobności postanowił generał natychmiast skorzystać, zwłaszcza, że prócz łatwego sukcesu chodziło tu o uratowanie siedziby Czartoryskich i zbioru tylu pamiątek narodowych. Postanowił więc zaraz napaść na oba te pułki. W tym celu na noc wysłał jako swoją awangardę porucznika Nyko z kilkuset ochotnikami i pułkownika Kozakowskiego z luźnym oddziałem. Ci w nocy wpadli do Puław, po zaciętej walce wypędzili ztamtąd nieprzyjaciela, który uszedł do Końskowoli. Walka przeciągnęła się do rana, tak, że gdy Dwernicki ze swym korpusem wyruszył z Gniewoszewa 2 marca, słyszał jeszcze strzały tego boju. Obawiając się o oba swe oddziały, pospieszył na czele trzech dywizyonów im z pomocą, ale gdy przybył na miejsce, już było po bitwie.

VIII.

W ciągu tego dnia t. j. 2 marca korpus generała przeprawił się z wielkim trudem przez Wisłę, nie był to jednak korpus kompletny, gdyż cała dywizya Sierawskiego pozostała w Kozienicach pod komendą pułkownika Żuchowskiego, który choć mu Dwernicki posyłał rozkazy połączenia się z resztą korpusu, odmówił posłuchu. W Puławach doczekał się generał wreszcie nowych rozkazów, przywiezionych mu przez generała Sierawskiego z Warszawy. Polecały mu one to czego dopominał się generał niemal od początku kampanii — mianowicie ruszać na Wołyń.

O ekspedycyi w tamte strony sztab główny

wciąż myślał. Lecz w trakcie rozwijających się wydarzeń natrafiały te projekty na rozmaite przeszko

PRZEJŚCIE WISŁY POD PUŁAWAMI.

dy, między któremi największą bodaj trudność stanowił wybór odpowiedniego dowódzcy. Gdy bo-

wiem generał Dwernicki zrezygnował z dowództwa w początkach lutego, ofiarowano je zaraz generałowi Sierawskiemu, ale i ten, niewiele się namyślając, podziękował za zaszczyt. Na miejsce więc Sierawskiego mianowano dowódzcą tej ekspedycyi podpułkownika Mycielskiego, gdy jednak zażądał zbyt wiele, bo aż kilka tysięcy piechoty i okazał tem żądaniem dowodnie, że nie rozumie zupełnie charakteru poruczanej mu misyi, sztab dał mu inną funkcyę, a oddał dowództwo wyprawy pułkownikowi Łagowskiemu, uchodzącemu powszechnie za zdolnego partyzanta. Z nim powtórzyła się ta sama historya, co z jego poprzednikiem, z tą tylko drobną odmianą, że Łagowski zamiast piechoty, domagał się kilku tysięcy jazdy.

Wśród tych zaś poszukiwań nowego tej ekspedycyi wodza, zbliżyły się pod Warszawę wojska rosyjskie i poczęły już bezpośrednio zagrażać stolicy, a wtedy, gdy toczono bitwy pod Dobrem, Wawrem i Grochowem, nie czas było myśleć o dalekich dywersyach. Lecz gdy bitwa grochowska złamała pierwszy zapęd nieprzyjaciół, a w obozie polskim odżyła nadzieja dalszego skutecznego boju, sprawa wyprawy wołyńskiej wzniecіła większe zainteresowanie. Wtedy to na obradach sztabu i Rządu postanowiono definitywnie ostatniego lutego wysłać osobny korpus za Bug, a dowództwo nad nim powierzyć generałowi Dwernickiemu.

Dla wskazania mu sposobu postępowania wysłano mu dwie instrukcye; jedną wojskową, przesłaną mu zaraz za pośrednictwem Sierawskiego, drugą polityczno-administracyjną.

Instrukcya pierwsza brzmiała następująco:

„Wola jest Wodza Naczelnego, ażebyś JWy Generał porozumiawszy się z gen. Sierawskim, uformował z wojska, będącego pod Jego dowództwem, korpus, którego liczba nie ma przenosić 1500 jazdy i 6 dział kalibru rosyjskiego. Korpus ten ma się szczególniej składać z dywizyonów dawnych pułków jazdy, mieć wielu oficerów i ochot-

ników: ruchomość ma być główną jego właściwością.

Z tym korpusem JWy Generał przejdziesz bez żadnej zwłoki Wisłę i działać natychmiast zaczniesz w sposób, który uznasz za najkorzystniejszy dla sprawy ojczystej, w czem Wódz Naczelny zupełną wolność JWmu Generałowi zostawia. Możesz udać się na główną komunikacyę armii nieprzyjacielskiej, przed Pragą skoncentrowanej, zniszczyć jej magazyny i parki. Stamtąd wkroczyć za Bug. Albo też, jeżeli to przedsięwzięcie zdawałoby się JWmu Generałowi zbyt trudnem do uskutecznienia, możesz maszerować prosto na Wołyń, w guberniach zabużańskich wzniecić powstanie, dla którego byłbyś ze swoim korpusem środkiem zbioru. Tam zebrawszy nowe siły, mógłbyś może działać skutecznie w tył armii nieprzyjacielskiej. Twierdza Zamość jest w stanie dostarczyć JW. Generałowi według potrzeby więcej dział i amunicyi.

JW. Generał masz uważać swój korpus za zupełnie samoistny, mniej zatem potrzebujesz zważać na utrzymanie swoich komunikacyi z naszą armią i z Wisłą. Gdybyś był zagrożony przemagającemi siłami nieprzyjaciela, masz punkt oparcia pod Zamościem, masz obszerne pole do unikania przeważnych sił na całej przestrzeni, rozciągającej się po Dniepr i Dźwinę. Nakoniec mógłbyś także szybkim marszem omylić uwagę nieprzyjaciela, udając się na prawy brzeg Narwi. Wódz Naczelny zostawia JW. Generałowi zupełną wolność robienia oddziałów, dzielenia swojego korpusu, łączenia go napowrót, zgoła oddaje zupełnie jego przezorności i czynności sposób prowadzenia działań, któryby przyniósł najwięcej korzyści polskiej sprawie.

Oprócz wojska wymienionego w niniejszej instrukcyi, uda się pod rozkazy JW. Generała legion wołyński, skoro tylko organizacya jego dozwoli mu ruszać w pole, co wkrótce ma nastąpić. Już kilku należących do tego legionu, odbiera rozkaz udania się do JW. Generała. Gen. Sierawski z resztą woj-

ska, pozostającego z dzisiejszego korpusu JW. Generała, zastąpi Go na teraźniejszem stanowisku.

Zgoła przeznaczeniem JW. Generała jest wzniecić i prowadzić wojnę na tyle nieprzyjaciela, zagrażającego stolicy, powiększać ile możności swój korpus ochotnikami i powstańcami wołyńskimi. Ma się rozumieć, że gdzie JW. Generał trafisz na władze administracyjne, działające na rzecz nieprzyjaciela, takowe uchylisz, Polaków zaś, którzy wbrew, przeciwko uchwale sejmowej objęli znaczniejsze urzędy na rzecz nieprzyjaciela, starać się będziesz odesłać pod strażą do Warszawy do dyspozycyi Rządu."

Instrukcya ta, autorstwa Prądzyńskiego, nie różniła się zasadniczo wiele od poprzednio wydanej. Obie wyznaczały Dwernickiemu jako główny teren działania Wołyń i Podole, gdzie miało za nadejściem sił polskich wybuchnąć powstanie, którego ośrodkiem i głównym motorem miał być właśnie korpusik generała. Obie też na jedno się godziły, że wobec nieodzownej w tym wypadku ruchliwości i szybkości działania siły tego oddziału nie mogły przenosić liczby 1500 głów — z tą tylko, na korzyść ostatniej instrukcyi różnicą, że to miał być wybór starej i doświadczonej w boju jazdy, a nie jakieś pierwociny nowych formacyi, jak to planowały zupełnie błędnie dawniejsze dyspozycye. Poza tem była jednak pewna różnica, która przy odpowiedniem wykonaniu mogła zmienić jeżeli nie całkiem, to bodaj w znacznym stopniu kierunek całej wyprawy. Bo gdy instrukcya pierwsza wyznaczała jako przedmiot wyłącznie tylko kraje za Bugiem i z tego powodu nawet oddział na nią przeznaczony miał się formować dopiero z załogi Zamościa, instrukcya druga wprzód inne zadania generałowi stawiała, naturalnie warunkowo tylko, do spełnienia. Proponowano mu naprzód uderzenie na komunikacye głównej armii rosyjskiej rozłożonej pod Pragą, a dopiero później po wywołaniu w ten sposób zamieszania w działaniach nieprzyjaciel-

skich, wskazywano mu jako dalszy cel tej wyprawy prowincye zabrane. Zresztą nie krępowano generała; pozostawiano mu znaczną swobodę działania, bo i trudno było przewidzieć w głównej kwaterze wszystkie okoliczności i następstwa ruchu oddziału.

Prócz tej czysto wojskowej instrukcyi wysłano Dwernickiemu prawdopodobnie nieco później jeszcze wskazówki administracyjno-politycznej natury, mocą których nadawano mu w tamtych prowincyach dyskrecyonalną, wprost nieograniczoną władzę. Miał więc organizując powstanie wszędzie tworzyć lokalny Rząd Tymczasowy, cały kraj ogłosić w stanie oblężenia, zaprowadzić sądy wojenne, zachęcać do powstania drobną szlachtę przez zapewnienie własności ziemskiej, włościan przez ulgi w robociznach a nawet przez zapowiedź zniesienia pańszczyzny, tudzież za pośrednictwem duchowieństwa. O pieniądze miał się starać nie tylko przez dobrowolne składki tamtejszych bogatych ziemian, ale i specyalnie u zakonu Poczajowskiego, tudzież u Branickiej w Białejcerkwi, gdzie już przed paru laty i Dekabryści, gotując powstanie w południowych prowincyach, mieli zamiar zaopatrzyć się w gotówkę. Dla celów agitacyjnych miał założyć generał drukarnię i gazetę, któraby wychodziła nawet w języku rosyjskim i cerkiewno-ruskim, aby jak najszersze pozyskać warstwy ludności. Nawet i posielenia wojskowe, gdzie grunt był podatny, gdyż już niejednokrotnie przedtem gnębieni żołnierze i lud włościański, próbowali, acz bez dodatnich rezultatów, wywołać zbrojne rozruchy. Nadto powtarzano jeszcze raz ogólne zasady wojny podjazdowej i doradzano generałowi korzystanie z sąsiedztwa Austryi i Turcyi, celem nawiązania stosunków, któreby mu ułatwiły sprowadzanie broni, amunicyi itp. Rady, które później opacznie przez Dwernickiego tłumaczone przyprawią cały jego korpus o zgubę.

Cele i zakres działania generała precyzował ostatni ustęp, który mówił: „Masz Pan Generał naj-

piękniejszą sposobność przysłużenia się ojczyźnie i nadania stanowczej przewagi naszemu powstaniu, jeżeli wciągniesz do naszej rewolucyi Wołyń, Podole i Ukrainę, zrobisz to, cobyśmy zaledwie zyskali wygraniem kilku walnych bitew. Słowem masz Pan Generał pozyskać lud i to koniecznie najlepiej przez wpływ księży, zbierać pieniądze, lotem błyskawicy rozszerzać powstanie, rozbijać nieprzygotowanego nieprzyjaciela. O szlachcie nie wspominam, gdyż ta najchętniej powinna sprzyjać naszemu powstaniu. Ponieważ Pan Generał prawdopodobnie ciągle moich poleceń odbierać nie będziesz, otrzymujesz niniejszem upoważnienie działania pod względem wojskowym i cywilnym wszystkiego, czego tylko wymagać będzie potrzeba osiągnienia głównego zamiaru, którym jest rozszerzenie powstania, niszczenie sił i zasobów nieprzyjaciela."

Jak więc z ostatniego zdania wynika, ten ruch ekscentryczny oddziału Dwernickiego miał dwojakie zadanie. Miał swem pojawieniem się na tyłach armii Dybicza wywołać militarną dywersyę, prócz tego zaś miał siłę swą pomnażać wybuchłemi w tamtych ziemiach powstaniami. W Warszawie spodziewano się powstania na szeroką skalę, dawano więc generałowi samych wyrobionych żołnierzy, z których każdy mógł w razie potrzeby być instruktorem insurekcyjnych wojsk. Licząc też na wielki napływ ochotników miejscowych, nie posyłano z Dwernickim więcej nad 1500 ludzi. Zbyt przeciwną bowiem zasadom strategicznym było rzeczą, wysyłać tam jakiś większy korpus i pozbawiać się w ten sposób jego pomocy w głównem centrum walki, zwłaszcza, że nawet w razie najgwałtowniejszej potrzeby, nie było go można na czas pod Warszawę ściągnąć. Choć może z żalem pozbawiano się z głównej kwatery Dwernickiego, ale uważano za potrzebne dać powstaniom jakiegoś znamienitszego generała.

Dwernicki tymczasem postąpił w sposób nieoczekiwany: Poszedł dalej za Kreutzem z całym

swym korpusem, a co więcej, rozkazał Sierawskiemu zaraz z nim się połączyć, przez co popełnił niesubordynacyę, za którą w zwykłych warunkach powinien był stanąć przed sądem wojennym; nietylko bowiem nie zastosował się do przysłanych mu z głównej kwatery rozkazów, lecz działał wręcz przeciwnie do ich brzmienia.

W swych pamiętnikach, pisanych wogóle w tym celu, aby się ze swej działalności wytłumaczyć i imię swe zrehabilitować, jako powód tego niezwykłego kroku, podaje on niemożliwość wykonania przysłanych z Warszawy rozkazów, ponieważ na pozostały jego korpus, pozbawiony znacznej liczby konnicy, którąby poszła za Bug, z łatwością mógł napaść Kreutz, rozbić go i zająć z powrotem Sandomierskie, przez co utraconoby cała korzyść z dotychczasowych Dwernickiego zwycięstw i przepędzenia Kreutza na prawy brzeg Wisły. Powtóre w tym już czasie, jak to generał starał się przedstawić, stosunki na Wołyniu i Podolu gruntownej uległy zmianie na gorsze, gdyż ściągnięto tam znaczniejsze siły rosyjskie z Wołoszczyzny, mnóstwo obywateli aresztowano, tak że ten mały korpusik, z którym go w tamte strony sztab główny wysyłał, stanowczo w tak zmienionej sytuacyi nie mógł wystarczyć. Dla poparcia swych wyłożonych obszernie racyi, dodaje generał pismo Prądzyńskiego z 8 kwietnia, w którem kwatermistrz generalny zajęty właśnie wykonywaniem swego głównego planu, zapoczątkowanego tak świetnie przed paru dniami Wielkiem Dembem, a tuż w przededniu zwycięstwa pod Iganiami pisał z punktu widzenia tej właśnie chwilowej sytuacyi o korpusie Dwernickiego, że spełnił główny swój cel, bo odciągnął znaczną część sił nieprzyjacielskich od Warszawy ku południowi.

Owóż wszystkie tu przytoczone argumenty nie wytrzymują rzeczowej krytyki. Przedewszystkiem akt niesubordynacyi niczem wytłumaczyć się nie da. Pomijając jednak ten zasadniczy postulat karności wojskowej, podkreślić trzeba, że i z ogólnego

punktu widzenia dowody generała w zupełności go nie usprawiedliwiają. Obawy jego o swój pozostały korpus i o rozbicie go przez Kreutza były płonne. Pod dowództwem Sierawskiego pozostawał bowiem korpus wcale silny, który nawet po odejściu Dwernickiego z jego 1500 ludźmi, liczyłby jeszcze 8500 głów, jeżeli nie więcej. Przeciw temu zaś korpusowi stawał Kreutz mający pod swymi rozkazami 3200 — w najlepszym razie 3500 ludzi, w dodatku zdemoralizowanych ostatniemi porażkami. Siły więc jak z tego obliczenia się okazuje, były zbyt nierówne, ażeby Kreutz ośmielił się na kroki zaczepne. Co do przeprowadzenia oddziału z 1500 koni obok Kreutza, to było właśnie rzeczą zdolności generała; zresztą i w tym wypadku Kreutz nie był nadto groźny. Opis zaś generała o upadku ducha na Podolu, o licznych aresztowaniach, o ściąganiu pospiesznym wojsk rosyjskich z Wołoszczyzny, był brany z czasów nieco późniejszych, a fakty te nie mogły wtedy wpływać na decyzyę generała, który przed dojściem do Bugu, jak najlepszej był myśli. Wyraz tego odnajdujemy w kilku raportach do sztabu pisanych, o których później będzie mowa. W końcu powoływanie się na opinię Prądzyńskiego jest chybione, gdyż generał ten w swych niedawno ogłoszonych pamiętnikach takie o postępku Dwernickiego wypowiada zdanie (t. I. str. 570): „Dwernicki popełnił przez to wielki grzech wojskowy, wyraźny akt niesubordynacyi i przez to stał się głównym sprawcą czekającej go klęski“ — a na innem miejscu (t. IV. str. 113): „Jakkolwiekbądź odłączenie tego korpusu w kierunku zupełnie ekscentrycznym, gdy nieprzyjaciel z przemagającemi siłami stał przed Pragą, było wielkim błędem przeciwko zasadom sztuki wojennej — a większym jeszcze grzechem przeciwko karności, którego się dopuścił Dwernicki, zabierając wbrew i przeciwko rozkazowi cały korpus, nieszczęściem nakoniec było, że mu to uszło.“

Jak więc z tego dowodnie się okazuje, Dwerni-

cki w swych pamiętnikach nie podał właściwych przyczyn swego postępowania. Szukać ich też należy dopiero między wierszami jego apologii, a jak się z nich okazuje, powodem tego kroku Dwernickiego — była jego zawiedziona ambicya. Już poprzednio odrzucił on proponowane sobie dowództwo wyprawy do prowincyi zabranych, ponieważ wysyłano go tam z nazbyt według jego rozumowania, szczupłemi siłami. Obecnie znowuż to samo polecono mu wykonać i z taką samą liczbą żołnierzy. To jedno już wystarczało do wzniecenia niechęci u generała. — Do tego w dodatku przyłączyło się i wietrzenie intrygi, o które pomawiał Dwernicki Sierawskiego i sztab główny. Sierawskiego bowiem wysłał generał do Warszawy, żeby przedstawił konieczność wzmocnienia wspólnego korpusu pułkiem starym piechoty i jazdy, a ten po powrocie nie tylko że mu żadnych nie przywiózł posiłków, ale ten nieszczęsny rozkaz wymarszu na Wołyń z garścią ledwo jazdy — z tym dodatkiem, że całą komendę obejmuje nad pozostałym korpusem właśnie nie kto inny, tylko Sierawski. Rzeczywiście wszystkie po-

KRAKUS KOŚCIUSZKI.

zory przemawiały za tem, że Sierawski swymi wpływami wyjednał w głównej kwaterze dowództwo tego korpusu dla siebie. Sztab zaś, a zwłaszcza sam Naczelny Wódz Skrzynecki z całą chęcią to uczynił, aby się w ten sposób pozbyć generała niewygodnego dla nawiązujących się właśnie z nieprzyjacielem układów i z tego powodu wysłał go tam daleko, na stracone, jak się wyraża Dwernicki, imię.

IX.

Generał w mylnem oświetleniu wystawiając sobie motywy ekspedycyi w prowincye zabrane, po otrzymaniu tych rozkazów wziął na kieł — i ani myślał do nich się zastosować. Przeciwnie — tak działał, naturalnie na własną już rękę — jakby ich był wcale nie otrzymał. Pchnął więc naprzód rozkaz do Sierawskiego, by on zaraz przeszedł ze swym korpusem na prawy brzeg Wisły i z nim się bezzwłocznie połączył — a gdy Sierawski nie dał żadnej odpowiedzi, następnego dnia rano ponowił jeszcze raz w ostrzejszym już tonie wczorajsze swe polecenie. Sam Dwernicki zaś — zamiast wybrać wyznaczony sobie oddział 1500 jazdy, wyruszył 3 marca, a więc nazajutrz po przyjściu do Puław, w pościg za Kreutzem, który w tym czasie znajdował się w Lublinie.

Pierwsze natarcie siłą faktów miało spaść na oba te pułki, które poprzedniego dnia zostały przez awangardę Dwernickiego i oddział Kozakowskiego wyparte z Puław. Doszły one do sąsiedniej miejscowości Końskowoli i stamtąd próbowały potem jeszcze parokrotnie w tym dniu zająć Puławy, każdym jednak razem zostały ich ataki odparte przez pułk strzelców Małachowskiego, kilka zaś szwadronów przepędziło Rosyan za Końskowolę. Dnia 3 marca począł ich dalej ścigać Dwernicki. Dochodząc do Kurowa znowu zobaczył nieprzyjacielską jazdę, uwijającą się pod tem miasteczkiem. Znając szczupłość sił rosyjskich, postanowił jednym za-

machem je rozbić. Dla wzięcia więc we dwa ognie nieprzyjaciela wysłał kilka batalionów piechoty bocznemi drożynami przez las, by uderzyła z boku i tyłu na Kurów, gdy jazda będzie atakować od frontu. Manewr ten jednak się nie udał — ponieważ odkomenderowana do wykonania szarży jazda: dywizyon 4 p. ułanów i dywizyon krakusów ks. Poniatowskiego, nie czekając na ruch okrążający piechoty, przedwcześnie rzuciła się na nieprzyjaciela, który w międzyczasie widząc nadchodzące szyki polskie, szukał schronienia w samem mieście. Ledwo jednak kilka strzałów zdołały dać ustawione na rynku kurowskim dwie armaty, gdy wymienione wyżej cztery szwadrony wpadły na nie i wraz z obsługą i dowodzącym oficerem zabrały do niewoli.

Choć jednak rezultat tego natarcia był dodatni, byłby on znacznie większy, gdyby równocześnie zaszła była od tyłu wysłana lasem piechota — i zatarasowała nieprzyjacielowi drogę do ucieczki. Ponieważ to się jednak nie stało, więc jazda rosyjska, pozostawiwszy na łup zwycięskich krakusów i ułanów oba swe działa, uciekła wolnym traktem do Markuszewa; za nią w pogoń puścił się cały dywizyon ułański i jeden szwadron krakusów.

Pościg jazdy za jazdą wobec równorzędności broni — nigdy nie przynosi świetnych wyników, bo o starciu wręcz rzadko kiedy można myśleć wśród bezładnego rozhukania i rozbiegania się koni; już z góry nie mając widoków powodzenia, był on zgoła niepotrzebny. W dodatku przyniósł on znowu niemiłą niespodziankę, podobnie jak to było w czasie pościgu krakusów pod Nową Wsią. Oto pod Markuszewem przybyły niespodzianie ściganej kawaleryi rosyjskiej świeże posiłki. Generał Kawer mianowicie, wysadzony do obserwowania twierdzy Zamościa, obchodząc w dużym promieniu okolicę, zaawanturował się całkiem niepotrzebnie od Janowa aż do Bełżyc, przez co nie tylko oddalił się znacznie od punktu jego pieczy powierzonego — ale

wysunął się znacznie po za sferę działania przepisaną mu przez Kreutza. — Na dobitkę skoro się dowiedział w Bełżycach o pobliskiem sąsiedztwie sił polskich — nie tylko się nie cofnął, ale jeszcze posunął się przez Wąwolnicę do Markuszewa. Usłyszawszy zaś odgłosy bitwy kurowskiej — wyruszył w jej stronę na czele 6 szwadronów finlandzkiego pułku dragonów, dwu sotni kozaków i czterech armat. Przyszedł o tyle na czas, że zasłonił oddział Tuchaczewskiego, stawił silny opór nadbiegającym za nim ułanom i krakusom, zmieszał ich, a zmusiwszy do ucieczki rozpoczął sam pościg. Lecz wkrótce już jego dragonów spotkał tenże los, który on przed chwilą zgotował szwadronom polskim. Oto w międzyczasie Dwernicki, zająwszy Kurów, rozpoczął marsz z całym swym korpusem w kierunku Markuszewa. Teraz znowu on zasłonił swych ściganych ułanów, ze świeżemi siłami trzech dywizyonów natarł na rozhukanych dragonów — i nieledwie w tej chwili silna szarża znowu zmusiła ich do ucieczki. Dla ulżenia zaś im w tym pochodzie, zabrał niepotrzebny w takich warunkach balast w postaci dwóch armat wraz z jaszczykami. Na tem kończyły się w tym dniu harce wojenne, które kosztowały Rosyan przeszło czterdziestu ludzi zabitych i cztery armaty, tudzież 83 ludzi wziętych do niewoli — nie licząc rannych. Generał wraz ze swym korpusem noc przepędził w Markuszewie. Kreutz zaś, dowiedziawszy się od Kawera, który jeden z pierwszych w zapamiętałej ucieczce przybył do Lublina, o klęsce jego i Tuchaczewskiego — posłał im na pomoc do Jastkowa część swojej jazdy, która przyjąwszy uciekinierów — noc przepędziła w Jastkowie, stojąc opodal placówek polskich. Dnia 4 marca Dwernicki rozpoczął wczesnym rankiem dalszy ruch zaczepny. I tym razem postanowił użyć swego ulubionego manewru oskrzydlenia. Mianowicie z Markuszewa traktem lubelskim wysłał do Garbowa silny oddział kawaleryi, mający udawać właściwy korpus polski, sam zaś

z głównemi siłami wziął się bocznemi drogami do traktu krakowskiego w prawo — przez lasy ożarowskie do Konopic. — W miejscowości tej znowu rozłamał swój korpus na dwie części. Główne siły miały iść na Lublin — od prawego skrzydła, — pułkownik zaś Rychłowski z kilku batalionami piechoty, miał przez wąwozy koło Łur, zajść od tyłu, gościńcem idącym od Krasnegostawu, aby w ten sposób wziąć Kreutza w trzy ognie i zmusić go do poddania. Atak miał nastąpić wszystkich oddziałów razem o szóstej wieczorem. Plan się nie udał. Gdy Dwernicki wieczorem podstąpił pod Lublin, nie zastał w nim Kreutza. Ten uprzedzony przez dezertera z czwartego pułku ułanów o nastawionej na niego pułapce, o godzinie czwartej z miasta wyszedł i podpaliwszy mosty stanął w Tatarach. Dwernicki zajął bez oporu Lublin.

Mimo, że i tym razem nie udało mu się schwytać Kreutza, planował w dalszym ciągu Dwernicki napad na jego oddział. — Był pełen dobrych myśli — ponieważ liczył na pomoc Sierawskiego, który mu właśnie doniósł o swej na prawy brzeg Wisły przeprawie, a że Kreutz następnego dnia z Tatar ruszył kilka kolumnami przez Piaski do Suchodołów, więc znowu dla zaatakowania go z dwu stron posłał Dwernicki wezwanie do komendanta Zamościa, pułkownika Krysińskiego, by posłał ile może piechoty wraz z artyleryą do Uhań, leżących na trakcie do Uściługa, czyli na linii odwrotowej Rosyan. Jednakowoż jeszcze tegoż samego dnia poniechał generał tej na szeroką skalę zakrojonej ofenzywy, dowiedział się bowiem, że Sierawski choć przeszedł na prawy brzeg Wisły, musiał zaraz przeprawić się z powrotem; generał zaś sam nie czuł się na siłach do ścigania nieprzyjaciela na tak znacznej przestrzeni. Pozostał więc od 4 do 6 marca w Lublinie, gdzie głównie zajęty był reorganizowaniem swego korpusu i restytucyą władz polskich.

Dnia 7 poszedł Dwernicki w dalszym pościgu za nieprzyjacielem, który tymczasem przeprawił

się przez Wieprz w czterach punktach w Łańcuchowie, Ciechankach, Oleśnikach i Krasnym Stawie i tym ruchem zeszedł Dwernickiemu zupełnie z traktu zamoyskiego — usuwając się w strony północne — ku Łęcznie. I tu nasuwa się przykra uwaga. Przed paru dniami, jak wiadomo, otrzymał Dwernicki rozkaz pójścia z 1500 jazdy na komunikaryę przeciwnika. Tego nie uczynił, a w obronie swej powoływał się na konieczność pobicia wprzód zasłaniającego mu dalszą drogę w kierunku prowincyi zabranych korpusu Kreutza. Obecnie jednak gdy ten nieprzyjaciel nie tylko, że mu dalszej na Zamość drogi nie wzbraniał, ale usunął się w ten sposób, że sam był trudny do zaskoczenia — było już rzeczą w najwyższym stopniu niewłaściwą ze strony Dwernickiego, iż nie słuchając przysłanych mu rozkazów, kontynuuje marsz całego korpusu do Zamościa i za Bug. Powinnością było generała bodaj w Lublinie wybrać sobie doborowy oddział jazdy, resztę zaś korpusu, bezpieczną teraz od nagabywań Kreutza, odesłać Sierawskiemu. On tego nie uczynił; poszedł z swym całym korpusem, staczając po drodze drobne utarczki z patrolami Kreutza. Tak w Fajsławicach dowiedział się, że most koło Krasnegostawu jest pilnowany przez dragonów, którzy mają rozkaz za ukazaniem się sił polskich podpalić go i zniszczyć. Wysłał więc w nocy z 7 na 8 marca, z Fajsławic dywizyon strzelców konnych gwardyi, który równo z dniem wpadł do miasta, rozpędził dragonów i most uratował. Jako zwycięzca zatrzymał się Dwernicki przez całe trzy dni w Krasnymstawie od 8 do 10 marca. Generał działał w pełnem jak się zdaje przekonaniu o słuszności swej sprawy. Nie tylko więc trzy dni czasu stracił, ale nawet wysłał stąd 9 marca z raportem swego szefa sztabu majora Osińskiego, domagając się znacznej gotówki w złocie, tudzież wzmocnienia jeszcze korpusu piechotą i kanonierami. Do tego rodzaju zaś postępowania ośmielało zachowanie się w tej sprawie sztabu głównego. W Warszawie pierwsze wiado-

mości o niezastosowaniu się generała do przysłanych mu rozkazów, wywołały konsternacyę, ale tylko u ludzi takich jak Prądzyński, który swym genialnem okiem prawdziwego strategika, potrafił w lot ocenić wszystkie następstwa tego fałszywego kroku. Tymczasem Wódz Naczelny nie nazbyt sobie wziął do serca ten akt nieposłuszeństwa ze strony generała, bo przedstawiającemu mu całą sprawę we właściwem świetle Prądzyńskiemu, miał powiedzieć: „E, kiedy już poszedł, to dajmy mu pokój, może go też i Pan Bóg natchnął — a on jest szczęśliwy". Zamiast więc pociągnąć niekarnego generała do odpowiedzialności, Skrzynecki nie tylko udzielał mu milcząco aprobaty za jego dotychczasową działalność, ale co więcej, posłał mu jak gdyby nigdy nic się nie stało, pochwałę za bitwę pod Nową Wsią i Kurowem, tudzież szereg ozdób honorowych dla najdzielniejszych. Takie postępowanie dowodnie świadczy o słabości charakteru Naczelnego Wodza; stanowiło ono zarazem fatalny precedens dla innych gorszych zdarzeń, żeby wspomnieć Ramorinę.

Choć skutkiem samowolnego postąpienia Dwernickiego położenie korpusu i zadania jego powinny były uledz gruntownej rewizyi, sztab główny zasadniczo nic w raz wydanych rozporządzeniach nie zmieniał, wysłał mu tylko, jak się zdaje, w tym właśnie czasie t. j. około 6 marca ową instrukcyę cywilno-administracyjną. Zresztą Chrzanowski, jako szef sztabu rozkazem z 7 marca No. 3096 zażądał tylko, aby Dwernicki przysyłał mu regularnie co pięć dni dokładne raporty o stanie poszczególnych pułków i oddziałów korpus jego składających. Ponadto zaś, w trzy dni potem wysłał Skrzynecki do korpusu Dwernickiego niewygodnego sobie w Warszawie naczelnika szkoły podchorążych i jednego z głównych twórców powstania, kapitana Wysockiego z misyą, której bliższe określenie mieściło się w następującym rozkazie:

No. 3216. W Warszawie, dnia 10 marca 1831.

Naczelny wódz siły zbrojnej narodowej do Dwernickiego.

Przesyłam Panu Generałowi kapitana Wysockiego, któren zda mi rapport o stanie korpusu pod rozkazami Pana Generała znajdującego się. Oficera tego Pan Generał zatrzymasz przy Swym korpusie, gdzie może być użyteczny bardzo dla otwarcia związków z oficerami wojsk Rosyjskich. Na dobrowolne bowiem związki więcejby jeszcze prawie liczyć można, jak na siłę oręża.

Skrzynecki.

Wywiadowcza ta misya Wysockiego, upozorowana otwarciem związków z oficerami wojsk rosyjskich, w samem założeniu już była chybioną. Dowiodła ona chyba tylko braku zmysłu politycznego u rozpolitykowanego Skrzyneckiego, ponieważ w korpusie Dwernickiego, nikt nie mógł na seryo wierzyć w tego rodzaju egzotyczno-spiskowe posłannictwo gościa. Każdy widział choćby nawet mimowoli, w byłym naczelniku podchorążych tajnego kontrolera działań ulubionego generała, nieproszone i niepotrzebne oko i ucho naczelnego wodza. Z tego powodu został on odrazu nieprzychylnie przez wiarusów przyjęty. A że poczciwy Wysocki pewnie bronił się przed podobnemi insynuacyami i wszystko czynił, byleby je tylko od siebie jak najdalej odsunąć, więc naturalnem tego następstwem było, że cała jego misya w łeb wzięła, a Dwernicki mógł w dalszym ciągu robić, co sam tylko zechciał.

X.

Inaczej zupełnie na marsz Dwernickiego w kierunku Zamościa, zapatrywała się główna kwatera rosyjska. Tam w przeciwieństwie do sztabu polskiego, z lekkiem sercem wypuszczającego go ze swej sfery działania, z zaniepokojeniem śledzono ruchy polskiego korpusu. Pierwsza wiadomość o przejściu Dwernickiego przez Wisłę i posuwaniu się w stronę Lublina, doszła Dybicza dość późno, bo dopiero 5 marca. Mimo, że była ona niejasna, przecież domyślono się, że ruch ten został skierowany nie

tyle przeciw samemu Kreutzowi, ile raczej dla opanowania prowincyi południowych. Siły rosyjskie w tamtych stronach były dość nieliczne, i w dodatku ze sobą bardzo luźnie tylko związane a częstokroć bez zupełnego nawet ze sobą czucia, ponieważ głównem przeznaczeniem ich było utrzymy-

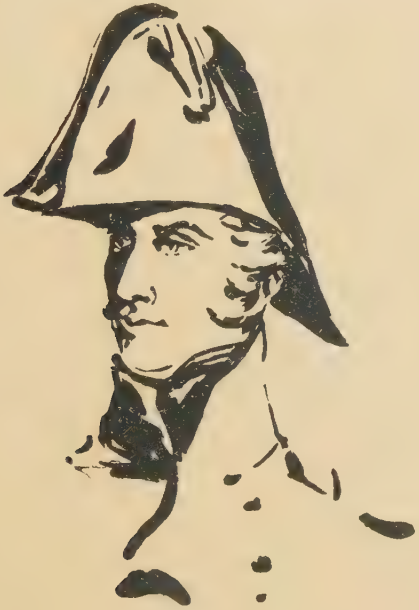

PIOTR WYSOCKI.

wać w postrachu tamtejszą ludność i co najwyżej zakrywać boki i tyły głównej armii, a nie prowadzić wojny z poszczególnymi korpusami nieprzyjacielskimi. Owóż aby tym gwałtownym na teraz brakom zaradzić wobec tak znacznego zapędzenia się w głąb tych ziem oddziału Dwernickiego feldmar-

szałek postanowił natychmiast lewe to skrzydło wzmocnić, tudzież wszystkie tam rozłożone korpusy i mniejsze oddziały ściśle ze sobą powiązać.

W tym celu więc bez odwłoki zaraz tegoż samego 5 marca wydał rozkaz marszu trzeciemu korpusowi rezerwowemu jazdy pod generałem Wittem jakoteż brygadzie grenadyerów litewskich Murawiewa, co razem stanowiło oddział liczący około 13 000 ludzi (7000 przeszło jazdy i 5 900 piechoty). Witt, który otrzymał dowództwo nad tym całym korpusem miał za zadanie jazdę swą na razie skoncentrować nad Wieprzem, a stamtąd rozesłać silne rekonesanse w dwie strony: raz w kierunku Puław i Lublina dla zbadania dokładnego celu i kierunku marszu Dwernickiego, powtóre w stronę Kreutza, dla podania mu ręki i dla ściślejszego zespolenia go z główną kwaterą, z którą dotychczas generał ten albo w żadnych, albo w luźnych jeno pozostawał związkach.

Dybicz nie ograniczył się jednakże do tych zarządzeń. Przewidując słusznie to, co Dwernicki powinien byłby bez najmniejszej zwłoki uczynić, t. j. jak najszybciej rzucić się za Bug, posłał on w te pędy kuryera z wezwaniem do kijowskiego sztabu rozłożonej tam pierwszej armii, by natychmiast odeszły do Dubna, Łucka i Włodzimierza wszystkie tam rozlokowane pułki t. j. jedenasta dywizya piechoty, trzecia dywizya huzarów a wreszcie czwarty korpus kawaleryi, ażeby obsadzić należycie te miasta, trzymać na wodzy gotujące się tam powstanie i nie dopuścić Dwernickiego do dalszego posuwania się w głąb kraju.

Ale jeszcze i tego było za mało Dybiczowi. Wiadomości dochodzące do niego mocno przesadzały siły Dwernickiego. Feldmarszałek więc obawiając się, że oddziały, które już posłał pod komendą Witta nie dadzą mu rady, dodał do nich jeszcze 7 batalionów trzeciej grenadyerskiej dywizyi Nabokowa t. j. 5000 ludzi. Dla strzeżenia zaś granic cesarstwa przesunięto pułk kozaków Katasanowa

do Włodawy, którym wzmocniono rozłożony już w tamtych stronach oddział pułkownika Anreppa, składający się z 7 szwadronów jazdy. Dla tem ściślejszego złączenia Witta z Kreutzem wysłał osobno jeszcze Dybicz pierwszą brygadę drugiej dywizyi strzelców konnych znanego już z bitwy pod Stoczkiem Paszkowa, który miał stanąć w Kocku i wejść w ścisły kontakt na lewo z Kreutzem, na prawo z Wittem.

Jak wielką wagę przykładał Dybicz do tej wyprawy, świadczy jeszcze i to, że na jej czele postawił jednego z najzdolniejszych oficerów, swą prawą rękę, szefa sztabu generała Tolla. I słusznie, bo ta wyprawa Dwernickiego, niosąca zarzewie wojny w granice cesarstwa mogła przy warunkach sprzyjających, nadać całej tej kampanii zupełnie inne piętno, mogła punkt ciężkości przerzucić z dotychczasowej defenzywy polskiej w defenzywę rosyjską, zmuszoną bronić swych słabizn we własnem państwie, zagrożonem przez śmiałe ataki polskie.

Całej doniosłości powierzonej mu ekspedycyi jakby nie rozumiał Dwernicki. Zamiast podążać prosto na wschód, by jak najprędzej dosięgnąć prowincyi zabużańskich, on niepotrzebnie trzy dni zwleka w Krasnymstawie, a następnie wciąż jeszcze traci drogi czas, jeżeli nie na drobnych rozprawach z patrolami Kreutza, to bodaj z oddziałami, które tamtemu spieszyły z pomocą. I tak dostawszy wiadomość, że brygada piechoty Bałbekowa idzie z Uściługa przez Wojsławice, ażeby połączyć się z Kreutzem, zapragnął znieść ten oddział, by bodaj w ten sposób powetować sobie to ciągłe wymykanie się przeciwnika. Zwykłym więc zwyczajem dzieli swój korpus na dwie części i wysyła pułkownika Rychłowskiego z dwoma batalionami piechoty, trzema dywizyonami jazdy i czterema armatami, boczną drogą przez Rakołupy do Uhania, by odciąć tej brygadzie odwrót do Uściługa, sam zaś z resztą swego korpusu, miał napaść na nieprzyjaciela nocującego w Wojsławicach. Bałbekow wczas ostrze-

żony, cofnął się z Wojsławic do Uściługa wpierw nim mu drogę zamknął Rychłowski ze swoim oddziałem. Ten więc zręcznie pomyślany manewr, odskakujący od właściwej linii pochodowej generała, znowu spełzł na niczem, wobec czego Dwernicki udał się po dwudniowym marszu przez Uhanie, Grabów i Wojsławice do Zamościa, gdzie stanął 13 marca i tam też był zmuszony zatrzymać się czas dłuższy pod osłoną armat tej twierdzy. Skłaniało zaś go do tego kilka powodów. W pierwszym rzędzie nie pozwalały mu ruszać się z miejsca olbrzymie roztopy wiosenne, tamujące wszelkie ruchy, dalej chęć zreorganizowania i zaopatrzenia we wszelkie niezbędne potrzeby swego korpusu, wreszcie konieczne porozumienie się wprzód z przedstawicielami tych ziem, do których miał wkroczyć i które pod sztandar wojenny chciał powołać. Nawiasem dodać należy, że o wyprawie wysłanej na niego przez Dybicza pod dowództwem Tolla przez długi czas zgoła niejasne tylko miał Dwernicki wyobrażenie.

A w podobnem zupełnie pod tym ostatnim względem położeniu znajdował się też i jego przeciwnik. Witt z powierzonym sobie korpusem poszedł drogą ciągnącą się opodal prawego brzegu Wisły. Z powodu wiosennych odwilży i wielkiego błota marsz odbywał się z wielką trudnością. 7 marca doszedł ten korpus do Ryk, a następnego dnia rzucił dwa mosty przez Wieprz koło Bobrownik, na których odbyła się stopniowo powolna przeprawa, tak iż w niedaleko od Bobrownik położonym Żyrzynie stanął Witt dopiero 11 marca. Tegoż dnia dopędził w tej miejscowości cały korpus, który przenosił liczbę 18 000 ludzi i liczył aż 75 dział, właściwy jego dowódzca generał Toll. Tu także dowiedziano się o ostatnich poruszeniach oddziału Kreutza, mianowicie że generał ten, uniknąwszy rozbicia ze strony Dwernickiego przez zręczne umknięcie w bok ku Łęcznej i zasłonienie się z tej strony Wieprzem, gdy dowiedział się o dal-

szym marszu Dwernickiego na wschód, wrócił na dawniej zajmowane stanowisko i w tym celu napowrót odzyskał słabo tylko przez polskich rekonwalescentów broniony Lublin. Ruchem tym jednak popełnił Kreutz jeden kardynalny błąd, stracił mianowicie zupełnie z oczu Dwernickiego, na skutek czego pierwszą czynnością przybyłego do Żyrzyna Tolla było wywiedzenie się o ruchach i zamiarach polskiego generała. W tym więc celu sam Toll poszedł z główną swą siłą do Lublina tą drogą, którą niedawno przechodził od Kurowa Dwernicki, na Bychawę wysłał generała Murawiewa z brygadą litewskich grenadyerów i brygadą ułanów a pułk Dońców Choperskiego rzucił do Krasnegostawu.

Według kombinacyi Tolla miał Dwernicki, stojący według jego mniemania w Krasnymstawie przed sobą trzy możliwości: 1) pójść prostą drogą na Dubienkę lub Hrubieszów za Bug, 2) zamknąć się na jakiś czas w Zamościu a potem dopiero stamtąd wyruszyć na Wołyń, 3) wreszcie wrócić również prostą drogą na Rachów w kierunku wprost przeciwnym bo ku Wiśle. Zbierane po drodze przez gęste podjazdy wiadomości, nie przynosiły żadnych pozytywnych i pewnych danych. Wnioskując jednak z większości przyniesionych Tollowi pogłosek, nabierał on coraz więcej przekonania, że Dwernicki ma zamiar wobec nieudanego pościgu za Kreutzem wrócić przez Wisłę na lewy brzeg. W tem mniemaniu polecił Toll zająć Lublin i obserwować przeprawę nad Wisłą, do czego wysunął Kreutza z dwiema brygadami dragonów, tyleż strzelców konnych, jeden batalion karabinierów, pułk kozaków Choperskiego i dwie baterye konne. Sam zaś stanął ze swym korpusem 16 marca w okolicach Żółkiewki, skąd mógł dość łatwo pilnować dalszych poruszeń Dwernickiego stojącego pod Zamościem, zwłaszcza zaś jego linii odwrotnej na Rachów ku Wiśle.

Skombinowane ruchy licznego korpusu Tolla, nie mogły ujść uwadze Dwernickiego i załogi Zamościa. Ale generał polski podobnie jak i Toll nie

znał dokładnie dalszych zamiarów przeciwnika. Był wciąż jak najlepszej otuchy co do projektowanej wyprawy za Bug i czekał tylko, — jak to w swym raporcie z 18 marca Naczelnemu Wodzowi donosił „pory, która mi ruszyć się z miejsca i działać dozwoli". — Co zaś tyczy się dalszych planów Tolla, to miał o nich zupełnie błędne mniemanie — gdy pisał w tym samym raporcie — „zdaje mi się, że nieprzyjaciel albo idąc ponad Wisłę chce się koło Rachowa lub Zawichostu przeprawić a Witt te poruszenia odemnie i od twierdzy zasłania, albo też zaraz od Wieprza wziąwszy kierunek do Bugu dla zwrócenia mej uwagi i działania w przeciwną stronę, Witt się tu pokazał, a potem mając samą kawaleryę może się rzucić w którąkolwiek stronę." Nie wiedział więc generał, że ta wyprawa cała zwrócona jest przeciw niemu — a nie wiedział też, że Witt dowodzi nie tylko jazdą, ale i pewną ilością piechoty.

Pozycya tymczasem wojsk rosyjskich ustawicznie się zmieniała. — Ponieważ tymczasem nad Bug przybliżyły się od wschodu wykomenderowane do Łucka i Włodzimierza jedynasta dywizya piechoty i brygada huzarów, więc Dybicz uznając te siły, które zostały jeszcze wzmocnione 5 batalionami rezerwowymi za dostateczne do obrony granic Wołynia — polecił Tollowi całą uwagę zwrócić na drogi prowadzące do przeprawy przez Wisłę, gdzie wciąż spodziewano się złapać Dwernickiego. W tym więc celu przesunięto korpus Kreutza z Rachowa do Urzędowa. Korpus Witta miał pilnować całej tej przestrzeni — przez którą przechodził przedtem Dwernicki do Zamościa, a więc od ujść Wieprza aż po Lublin, gdzie stanął Toll 22 marca. Bezpośrednio zaś korpus polski miał obserwować stojący w Krasnymstawie pułkownik Anrep — mający pod swą komendą 2 pułki dragonów, 3 pułki kozaków, 4 działa. Dnia 26 marca stanęły wojska rosyjskie na świeżo wyznaczonych posterunkach,

XI.

Tymczasem Dwernicki nie wiele sobie z tej pułapki robił, mając wciąż oczy skierowane na wschód; zresztą tak o rozłożeniu i siłach Tolla, jako też wojsku mającem mu bronić przeprawy przez Bug, niepewne tylko i niezgodne z faktycznym stanem rzeczy dochodziły go wiadomości. Były one wiarygodniejsze o ile chodziło o wojsko z pod komendy Tolla, gdyż gęste utarczki patrolowe dostarczały dość często niewolników, powiadamiających Dwernickiego o sile swoich korpusów; nie brak też było i wiadomości ze strony sprzyjającej sprawie ludności miejscowej. Gorzej natomiast z relacyami zabużańskiemi.

W swym raporcie z 22 marca wysłanym do Naczelnego Wodza, pisał w tym względzie Dwernicki co następuje: „O korpusie Rüdigera (przeznaczonym do obrony tamtych prowincyi) mam najpewniejsze wiadomości, bo od takich, u których stały oddziały jego wojska, że przed dwudziestu dniami stał jeszcze w Kamieńcu. Ciż sami będąc już w Galicyi dowiedzieli się, że spiesznie wyszedł ku Dunajowi, również, że generał Roth będąc już w marszu ku Dniestrowi, także do Dunaju wrócił.

Korpus generała Rüdigera najwięcej z 10 000 składa się, konie ma bardzo piękne, ale lud mizerny, niechętny i prawie cały z rekrutów złożony. — Codziennie odbieram pewniejsze wiadomości, że w wiadomem miejscu (tj. za Bugiem) zastanę wszelką gotowość i zasilenie ludźmi i końmi już zupełnie przygotowanymi. Oby tylko droga cokolwiek się poprawiła, zrobię ruch mając na celu dobro ogólne i obym odpowiedział godnie zaufaniu, jakiem zaszczycić mnie w swym ostatnim rozkazie Naczelny Wodzu raczyłeś. Usiłowania moje zawsze będą te same, z jakiemi zacząłem kampanię, a jeżeli Bóg, co błogosławi naszej sprawie uwieńczy pomyślnym skutkiem nasze działania, to w przysłużeniu się choć w małej części do zbawienia drogiej

ojczyzny i w Twem zadowoleniu Naczelny Wodzu znajdę dostateczną nagrodę."

Jak z przytoczonych słów dowodnie się okazuje, generał był dobrej myśli, licząc na wydatną pomoc w tamtych stronach i na słabość sił nieprzyjacielskich. Nadziei tych nie zmniejszały pewne względy ubocznej natury, zwłoka pod Zamościem i choroby (nie cholera jednak, o której wspominają pamiętniki Dwernickiego, a której nie było w wojsku). Generał raportował 28 marca do głównej kwatery: „Mamy wiele chorych, a szczególniej w twierdzy nawet i śmiertelność przez kilka dni była znaczna i trwogą nabawiła, lecz niema epidemii, tylko pora tak wilgotna i miejsce niezdrowe są tego przyczyną. Od kilku dni jak nie odsyłam chorych do miasta, mam szpital w Nowem Mieście, żaden tu jeszcze człowiek nie umarł. Z ordynacyi i obwodu Hrubieszowskiego dostawiają mi różne produkta, które ciągle oddaję do magazynu w twierdzy na zaopatrzenie co z tegoż wybrałem... — Podług wszelkiego podobieństwa za dni dziesięć najdalej droga o tyle się poprawi, że będę mógł wyruszyć. — Gdyby wtenczas nie było na lewym brzegu Wisły w którymkolwiek punkcie między Kazimierzem i Zawichostem kontrdemonstracyi przeprawiania się, toby odciągnęło w tamte strony nieprzyjaciela do Lublina w innych miejscach znajdującego się i przeprawę moją za Bug łatwiejbym mógł wykonać, nie mając za sobą znacznego korpusu, a to, co będzie przedemną łatwo pokonam albo ominę... Również prosiłbym o przysłanie Legii Litewsko-wołyńskiej, bo ta ze wszech względów będzie najużyteczniejsza, gdy za Bug przejdę."

Ponieważ zaś dość dużo miał przybywających ochotników, więc prosił równocześnie 28 marca osobnem pismem Komisyę wojny — o jak największą ilość obuwia dla swego korpusu i grotów do lanc.

Tymczasem zaś te nadzieje tak co do gotowości zbrojnej mieszkańców prowincyi zabużańskich, jak i co do słabości sił rosyjskich tam się znajdują-

cych na wątłych jeno opierały się podstawach. Znowu winną tu była nieudolnie zorganizowana służba wywiadowcza — tym razem jednakże nie wojskowa, bo przecież Dwernicki nie mógł oświetlać sobie drogę tak daleko w głąb kraju swymi podjazdami — lecz tajna, spełniana bądź przez tamtejszych mieszkańców, bądź to przez emisaryuszów wysłanych specyalnie w tym celu z ramienia Dwernickiego. Ten rodzaj służby wywiadowczej był zupełnie zaniedbany i zdany na łaskę przypadku.

Dwernicki, pochodzący z tamtych stron, znał trochę miejscowe stosunki. Miał tam i koneksye rodzinne i zwykłe związki znajomości; kilkunastoletnia jednak służba wojskowa poza granicami tych prowincyi choć tych związków nie zerwała, to przecież znacznie je rozluźniła i oziębiła. Stąd to też pochodziło, że generał nie był wtajemniczony w działalność tamtejszych tajnych związków i w agitacyę przedrewolucyjną zabużańskich ziemian, w następstwie czego nie oryentował się należycie i w sytuacyi, jaką wytworzyła tam wiadomość o wybuchu rewolucyi w Warszawie. Nie znając jej sam, musiał polegać na relacyach obcych — trafunkowo tylko i zależnie od rozmaitych przypadków mu dostarczonych. Nazbyt zaś wielki optymizm nie dozwolił mu na kry-

tyczną ocenę odróżniania prawdy od zmyślonych fantazyi. Niefortunny był też i dobór ludzi, mających spełniać ważną funkcyę pośredników między generałem a mieszkańcami Wołynia i Podola. Do obozu pod Zamościem zgłaszali się rozmaici ludzie z wiadomościami; byli to przeważnie ochotnicy, których wcielał generał do swych szeregów. — Byli jednak i tacy, którzy porozumiawszy się z generałem i przyniósłszy mu wiadomości o ostatnich za Bugiem wydarzeniach, wracali i tych używał Dwernicki jako emisaryuszów powierzając im rozmaite misye do spełnienia bez urzędowego jednakowoż charakteru. Jeden był tylko wysłannik, który nie tylko używał w całej pełni, ale niestety dodać zaraz należy, że i nadużywał charakteru urzędowego. Był to Chrościechowski — także mylnie Chróścikowskim zwany. — Na emigracyi tytułował się on „majorem, szefem sztabu organizacyi województwa Płockiego, posłannikiem narodowym w kilku politycznych misyach“. Owóż ten pan major *in partibus,* ukazał się w swej działalności zwykłym fanfaronem, jeżeli nie co gorsza, osobnikiem stojącym na obcym żołdzie; w każdym razie człowiekiem lichym, że nie mógł, czy nie chciał, bronić się przed zarzucanemi mu potem na emigracyi różnemi przekroczeniami — między któremi nie brak było i zarzutu największego — jaki spotkać może „majora i posłannika narodowego“, zarzutu zdrady. Człowiek ten, zbywający tanim frazesem czy bombastycznym zwrotem sprawę choćby największej wagi, już poprzednio działał w prowincyach zabranych z ramienia naprzód dyktatora, potem księcia Radziwiłła, od którego nawet otrzymał odpowiednie pismo uwierzytelniające jego charakter specyalnego wysłannika, wreszcie od Skrzyneckiego. Z temi to poleceniami jeździł on po dworach, celem nawiązania komunikacyi z Warszawą, lub też siedział w północno-wschodnim zakątku Galicyi i stamtąd niby spełniał swą polityczną misyę.

Gdy Dwernicki stanął pod Zamościem, zjawił

się u niego 16 marca Chrościechowski ofiarując generałowi swe usługi. Ten, polegając na poleceniach urzędowych, zlecił mu udać się na Wołyń, zapowiedzieć tam rychłe korpusu polskiego przybycie i wrócić z wiadomościami o stanie organizacyi powstańczych, tudzież o ilości sił rosyjskich. Chrościechowski wywiązał się dość problematycznie z powierzonej misyi. Pojechał wprawdzie za Bug, lecz nie zapuszczał się nazbyt daleko w głąb kraju. — Przywiózł jak najlepszą opinię o gotowości tamtejszych mieszkańców do insurekcyi, co poświadczało też kilka dostarczonych przez niego listów. — Lecz były to wszystko relacye czerpane na chybił trafił — do właściwych władz organizujących tamtejsze powstanie Chrościechowski nie dotarł, wysłał tylko odpowiednie zapytanie do nich na piśmie, na które odpowiedź miała mu być dostarczoną do Zamościa. Tak więc nie sfatygowawszy się nazbyt, wrócił po kilkunastu dniach do obozu i już 1 kwietnia ofiarowywał się z nową misyą. Ponieważ zaś grunt wołyński mu nie bardzo odpowiadał, więc dla odmiany, koniecznie pragnął, by go generał wysłał do Warszawy, zanim nie nadejdzie odpowiedź z Wołynia. Ażeby zaś poznać tę figurę warto przytoczyć wycinek z jego listu pisanego w tej właśnie sprawie do Dwernickiego z dnia 1 kwietnia: „Przyzwyczajony będąc do ruchu i czynności bez względu na trudy i niebezpieczeństwo, oświadczam się JW. Generałowi, iż jeżeliby potrzebował użyć mnie do dotarcia do dowódzców po lewym brzegu Wisły, a zarazem wyśledzenia siły nieprzyjacielskiej tamującej komunikacyę z Warszawą, lub do innych jakich zleceń, poddaję się na ten cały czas dopóki odpowiedź nie nadejdzie z Wołynia pod Jego rozkazy, które z uszanowaniem i wiernością za prawdziwy zaszczyt, będę się starał wykonać". — Nie brak w dalszym tego raportu ciągu i tego rodzaju bombastycznych zwrotów, jak „staram się, aby każdą godzinę poświęcić usłudze publicznej", lub „kilka dni, w którychbym bezczynny został w Zamościu liczyłbym w straty nieodżałowane",

Dwernicki w rzeczy samej niedość jasne i pewne miał o stanowisku korpusu Tolla wiadomości, komunikacye z Warszawą miał nieomal zupełnie przecięte, tak, że Wysocki, przybyły ze swą drażliwą misyą do Zamościa, ledwo z wielkim trudem zdołał się wymknąć rozstawionym na całej przestrzeni posterunkom rosyjskim, a szef sztabu Dwernickiego, Osiński — który wracał z ważnemi ekspedycyami z Warszawy, tudzież wiózł dla korpusu pieniądze, nie mógł się już bezpiecznie dostać do obozu Dwernickiego i był zmuszony pozostać w Zawichoście. Przecież generał nie skorzystał z ofiarowanych w tym względzie usług Chrościechowskiego; wysłał go ponownie w przeciwnym kierunku na Wołyń, skąd miał wciąż jeszcze tylko wiadomości niepewne i sprzeczne. Tak np. w piśmie ze sztabu głównego datowanem w Warszawie 7 marca, donosił mu generał Chrzanowski w dopisku co następuje: „W ten moment odebrał Wódz Naczelny pewną wiadomość przez obywatela przybyłego z Ukrainy, że prowincya ta powstała 25 lutego". Tymczasem z tych wieści, które do Dwernickiego dochodziły, wiedział on, że tamta prowincya najpóźniej zdolna jest do poruszenia. Podobnie sprzeczne wieści nie pomagały zupełnie do rozjaśnienia zawiłej sytuacyi, do rozwiązania trudnej łamigłówki, jakie przyjęcie spotka korpus polski za Bugiem. Dodać jeszcze należy, że generał, co mu słusznie zarzucał w swoich „Uwagach nad wyprawą generała Dwernickiego na Ruś" Różycki, niedość inicyatywy rozwinął w nawiązaniu bezpośrednich, trwałych stosunków z Wołyniem i guberniami dalszemi. Choć jednak Dwernicki odczuwał wszystkie niedomagania służby wywiadowczej, to przecież nie mógł już dłużej zwlekać. W noc z 31 marca na 1 kwietnia powiózł Chrościechowski na Wołyń oficyalną wiadomość, że Dwernicki przejdzie Bug, skoro tylko nieco drogi podeschną; generał wyznaczał nawet przeprawę przez tę rzekę na 10 kwietnia. Wzywał tamte prowincye na ten dzień do

powstania, a na początek żądał dostarczenia mu pewnej ilości koni do dział.

Czas już był najwyższy. Bo oto wkrótce coraz więcej alarmujące poczęły napływać do obozu generała wiadomości. Jeden np. anonimowy korespondent, mieszkający, jak podawał, blizko Uściługu, donosił w liście z 2 kwietnia, że wprawdzie wszystwo jest gotowe już do powstania, „lecz duch słabnieć zaczyna tak długiem oczekiwaniem". — „Zaręczam — pisał on dalej — że w przeciągu dni kilku Wołyń da powstańców uzbrojonych do dwudziestu tysięcy" — lecz zarazem ostrzegał, że „każdy dzień opóźniony jest do niewynagrodzenia". Jeszcze bardziej przynaglał do pospiechu inny list z 5 kwietnia, którego autor pełen trwogi, zapowiadał, że „Jeżeli JW. Generał Dwernicki w przeciągu trzech, czterech dni nie wkroczy na Wołyń, zgubieni zostaną wszyscy obywatele dobrze myślący. Dowiedzieli się bowiem Rosyanie o związku powstania" — przyczem zawiadamiał, że przyszedł rozkaz odbierania broni od obywateli, co już teraz rozpoczęły władze rosyjskie wprowadzać w czyn. — Ten list kończył się jak i poprzedni przestrogą, że „każdy dzień opóźniony, przyniesie straty niewynagrodzone". Wobec takich nawoływań dłuższa zwłoka pod murami Zamościa była nazbyt ryzykowną. Ponieważ zaś w dodatku główny przytaczany przez generała powód zatrzymania się tam korpusu został usunięty, drogi mianowicie pełne grzęzawisk już podeschły, więc Dwernicki nazajutrz po wyruszeniu Chrościechowskiego na Wołyń — tj. 2 kwietnia nakazał zebranie się swemu korpusowi pod Zamościem w Nowem Mieście, skąd po przybyciu wszystkich oddziałów — wyruszył 3 kwietnia w drogę. Nie poszedł jednak prostą drogą ku Wołyniowi, ale obrócił marsz swego korpusu na zachód do Zwierzyńca, a więc w kierunku wprost przeciwnym, tak jakby miał zamiar wracać za Wisłę. Tę demonstracyę wykonał on, aby zwieść Tolla i odwrócić jego uwagę od właściwego przedmiotu

swego marszu. Dla tego już przed paru dniami porozsyłał liczne podjazdy dla oświetlenia drogi do Wisły, zajął nimi Turobin, Wysokie, a tamtejszym wójtom nakazał dostarczyć dla swego korpusu żywności w przeciągu 24 godzin. Po noclegu w Kozobudach, stanął korpus 4 kwietnia w Zwierzyńcu, skąd znowu wysłał Dwernicki majora Wierzchleyskiego z dwoma dywizyonami jazdy celem zajęcia Szczebrzeszyna, a gdy Wierzchleyski zajął Szczebrzeszyn, umocnił położony tam most i od porozsyłanych podjazdów dowiedział się, że nigdzie nie ma w pobliżu nieprzyjaciela, tejże samej nocy powrócił do głównego korpusu.

W Zwierzyńcu pozostał Dwernicki z nieznanej przyczyny dwa dni, przez 5 i 6 kwietnia. Postój był tylko o tyle ważny, że generał dowiedział się tam z listów Sierawskiego i Ługowskiego o polskich zwycięstwach pod Wawrem i Wielkiem Dembem. Tu też Dwernicki zabawił się niepotrzebnie, za wzorem Naczelnego Wodza w dyplomatę, wysyłając swego adjutanta Anatazego Dunina i adjunkta sztabu podporucznika Józefa Dzierzkowskiego, znanego później powieściopisarza i działacza zwłaszcza w r. 1848 z wielce egzotyczną misyą. Oto idąc za wzorem konfederacyi barskiej, starał się nawiązać stosunki i z Francyą i z Turcyą i w tym właśnie celu słał obu oficerów do Konstantynopola, żeby pozyskać sobie za pośrednictwem tamtejszego przedstawiciela Francyi, generała Guilleminot, pomoc Wielkiej Porty. Nad tą misyą, jej celowością i użytecznością nie ma się zresztą potrzeby szerzej rozwodzić, gdyż już w samym zarodku się nie udała, a obaj oficerowie z powodu braku funduszów na drogę zaraz z Galicyi zawrócili i złączyli się wkrótce z korpusem w Drużkopolu.

Wysłane na wszystkie strony rekonesanse, nigdzie w dość znacznym promieniu nie spostrzegły nieprzyjaciela, któryby mógł wzbronić marszu na Wołyń, wobec czego Dwernicki wykonawszy te demonstracye w kierunku zachodnim ze Zwierzyńca

obrócił 7 kwietnia pochód we właściwym kierunku i poszedł prosto przez Niemierówkę, Tyszowce do Kryłowa, gdzie stanął 9 kwietnia. Po drodze nigdzie nie napotkał nieprzyjaciela; nie tylko dla tego, że go zwiódł Dwernicki tą udaną w kierunku Wisły demonstracyą, ale zwłaszcza z tego powodu, że wtedy armia polska prowadziła silną przeciw głównym siłom rosyjskim ofenzywę, co zmusiło Dybicza do odwołania całego nieomal korpusu Tolla z wyprawy przeciwko Dwernickiemu, ażeby módz stawić należyty opór atakującym go pułkom polskim. Oddziały zaś pozostawione na obserwacyi Dwernickiego były zbyt oddalone i liczebnie słabe, by mogły skutecznie przeciwdziałać ruchom korpusu.

Kryłów, miejscowość położona tuż nad Bugiem, zajmowało 50 kozaków, których śmiałem natarciem w moment rozbili ochotnicy z Galicyi i Wołynia, przyczem dwudziestu kilku wraz z kapitanem wzięli do niewoli. Dwernicki zaraz po przybyciu do tej miejscowości, polecił Wysockiemu most stawiać. Następnego dnia, t. j. 10 kwietnia, w dzień bitwy pod Iganiami, o godzinie 2 popołudniu most był gotowy, po nim też przeprawił się do wieczora cały korpus. Ukazujących się kozaków łatwo przepłoszył Dwernicki, rzuciwszy na nich kilka kartaczów, których wystrzały miały zarazem zwiastować tamtejszym mieszkańcom zjawienie się wojska polskiego po tej stronie Bugu. Droga na Wołyń stała otworem.

XII.

Dwernicki przekraczał Bug z dość znacznemi siłami. Ponieważ wyprawa się nie udała, wódz jej skłonnym był szacować cyfrę swego korpusu poniżej rzeczywistej. Najprawdziwsze w tym względzie daty mieszczą się w raportach urzędowych, podanych przez Prądzyńskiego. Według listy stanu obecnych do boju jeszcze 18 lutego korpus Dwernickiego liczył ogółem 6250 ludzi — t. zn. 4 dywizyony

ułanów, 4 strzelców konnych, 4 bataliony piechoty, tudzież 6 dział. W międzyczasie odpadł z tego tylko batalion drugiego pułku piechoty liczący 826 ludzi, przydzielony do korpusu Sierawskiego. Na jego za to miejsce przybyła jazda, mianowicie dywizyon 5 p. strzelców konnych byłej gwardyi, liczący około 250 ludzi, dywizyon krakusów Kościuszki i dywizyon krakusów Poniatowskiego, oba okrągło licząc, również po 250 ludzi. Artylerya wzmocniona została o 6 dział i przeszło 100 ludzi obsługi, tak, że ubytek batalionu choć wprawdzie taktycznie ujemny, przecież równoważył się liczebnie przyrostem innych broni. Ponieważ zaś pod Zamościem przybyło ze stu ochotników z Wołynia i Galicyi, ponadto zaś z rekrutów, dostawionych przez okolicę Zamościa i następnie w drodze formował się batalion wolnych strzelców, więc razem można śmiało liczyć korpus Dwernickiego na prawie 7000 ludzi. Ubytki w szeregach, powstałe wskutek strat bojowych i chorób, zostały skompletowane, jak to sam Dwernicki przyznaje, przez straż bezpieczeństwa z Lubelskiego.

Siły powyżej wymienione tworzyły cztery brygady. Pierwsza dowodzona przez podpułkownika Rychłowskiego, składała się z trzech dywizyonów strzelców konnych, mianowicie pułków 2, 4, 5 i bateryi lekkiej artyleryi i 6 dział. Brygada druga podpułkownika Terleckiego utworzoną była z dywizyonów 1 p. strzelców konnych, dywizyonu 1 p. ułanów i dywizyonu krakusów Kościuszki, tudzież batalionu 6 p. piechoty. W skład brygady trzeciej dowodzonej przez podpułkownika Wierzchleyskiego wchodziły dwa dywizyony ułanów 2 i 4 p., 2 bataliony piechoty 1 i 5 p. i 6 dział pozycyjnych. Czwartą brygadę dowodzoną przez podpułkownika Szeptyckiego stanowiły dywizyon 3 p. strzelców konnych, dywizyon 3 p. ułanów i dywizyon krakusów Poniatowskiego. Podkreślić tu jednak należy, że skład poszczególnych brygad jakoteż nazwiska ich dowódzców nie jest całkiem pewny, gdyż między

podającym je Prądzyńskim a Duninem znaczne są różnice.

Z tak uformowanym korpusem wchodził Dwernicki na ziemie ruskie. Pod względem swej konfiguracyi strategicznej stanowią one dla siebie niejako zupełnie odrębny teatr wojny od zachodu czyli od Królestwa, zamknięty linią Bugu, od północy bagniskami Prypeci i jej licznych dopływów, od południa zaś na dość znacznej przestrzeni granicą austryacką. Teren od zachodu idący zrazu pagórkowaty i pokryty gęstymi lasami, przechodzi stopniowo w wielki niż stepowy Ukrainy.

Na znacznej tej przestrzeni Rosya nie wybudowała żadnych fortec ani nie umocniła żadnych punktów obronnych, choć miejscowości takich jak Łuck, Dubno, gdzie krzyżowały się węzły drogowe i mieściły się znaczne magazyny zapasów wojskowych, było w tamtych stronach dość dużo. Wyjątek jedyny stanowił Kamieniec Podolski, ale i ta stara twierdza polska, która wytrzymała tyle oblężeń i napadów tureckich i kozackich, żyła raczej tradycyą czasów Rzeczypospolitej, rząd rosyjski bowiem o nią nie dbał, i nie zaopatrzył jej w nowe urządzenia obronne.

O ile jednak w tamtych stronach nie było żadnych wybitniejszych, sztucznie zrobionych fortyfikacyi, o tyleż znowu przyroda nie poskąpiła tamtym ziemiom, a zwłaszcza Wołyniowi naturalnych środków obronnych, mianowicie licznych rzek o

brzegach przeważnie moczarzystych, a więc tem łatwiejszych do obrony i lasów wybornie ukrywających ruchy poszczególnych oddziałów, napady z zasadzki itp. manewry wojny podjazdowej. Zwłaszcza bagna poleskie z dopływami Prypeci, osłonięte gęstymi borami, to doskonały szereg fortyfikacyi obronnych ogromnie łatwych, zwłaszcza w porze wiosennych roztopów, do utrzymania przed potężniejszym nawet znacznie nieprzyjacielem. W tych warunkach ogromną miał wagę stosunek ludności do powstania. Prowincye te odznaczały się już dawniej sangwinicznymi projektami powstańczymi. Pouczającym w tym względzie przykładem był całkowity projekt powstania ofiarowany przez Horodyskiego w r. 1807 Napoleonowi. Wówczas jednak trzeźwy umysł cesarza przeniknął zawczasu, jak mało było tam rzeczywistej gotowości. Faktycznie, jak to już niedługo przyszłość miała okazać Dwernickiemu, ludność tamtejsza, wbrew szumnym zapowiedziom, naogół była nastrojona obojętnie, poddawała się raczej wypadkom, poddawała się sile, ale nie szła z własnego porywu, z poczucia patryotyzmu. Powstanie mogło tam liczyć tylko na garść szlachty i oficyalistów. Inne warstwy były nie tylko sprawie powstania obce, po części nawet wrogo usposobione. Tak przedewszystkiem przeważna część miejscowej magnateryi ,pod kierunkiem żyjącej jeszcze hetmanowej Branickiej, była przeniknionа duchem rosyjskim; podobnie bywało ze szlachtą, której większa część nie sprzyjała rewolucyi, przesiąknięta pojęciami również rosyjskiemi, zwłaszcza w kwestyi uwłaszczania włościan. Stanowisko jej, zajęte w tej właśnie sprawie wpłynęło niemało na uchwałę Sejmu warszawskiego, dyskutującego właśnie w tym czasie ową kwestyę; dla tego właśnie odroczono rozprawy, z obawy, by sobie nie zrazić obywateli tamtejszych prowincyi. Zresztą, sięgając do niedawnych precedensów, można się było przekonać, że duch obywatelstwa raczej na gorsze mógł się zmienić niż na lepsze.

Wszak już ks. Józef w czasie swej kampanii, prowadzonej w r. 1792 w tamtych właśnie stronach, uskarżał się na brak poparcia ze strony tamtejszych mieszkańców, którzy za to tem chętniej służyli generałowi Kachowskiemu. Niemniejszą też gorliwość służenia Rosyi okazało tamtejsze obywatelstwo w r. 1812, kiedy to żołnierz, dostarczony z gubernii zachodnich, pierwszy wkroczył do Księstwa Warszawskiego i zajął Warszawę po odwrocie Napoleona z Moskwy. Jeżeli zaś tamte dwie warstwy wyższe tak łatwo zżyły się z nowym porządkiem rzeczy, to wprost niema co mówić o ruskich włościanach, których rewolucya i wszelkie z nią stoczone przemiany mogły poruszyć tylko odmianą stosunków pańszczyźnianych.

Takie zaś znane już z niedalekiej choćby przeszłości precedensy nie rokowały i teraz nazbyt różowych nadziei. To też ani Dwernicki, ani sztab główny ani rząd warszawski nie powinni się byli łudzić, że rzeczy nagle się zmieniły, że obecnie stanie się coś nadzwyczajnego i że cała ludność da się poruszyć do powstania. Tymczasem u władz tych brakowało pod tym względem jasnego na sprawy patrzenia.

Wkraczał Dwernicki na Wołyń, licząc wyłącznie na pomoc tamtejszych powstańców, a nie brał w zupełności pod rachubę rzeczy tak ważnej i pewnej, bo nie ulegającej żadnym fluktuacyom, jak właściwości terenu. Wkraczał, nie znając dokładnego rozłożenia sił nieprzyjacielskich, tudzież swej względem nich obronności, zupełnie w ten sposób, jak gdyby szedł na czele nie korpusu kilkutysięcznego ale co najmniej dwudziestotysięcznej armii. Ponadto rozpoczął on odrazu ofenzywę, podjął wbrew warszawskim instrukcyom regularną wojnę na wielką skalę, przez co ściągnął na swój niewielki oddział wszystkie rozłożone tam siły nieprzyjacielskie i naraził go zgoła niepotrzebnie na pościg zrazu przeważającego a potem w dwójnasób nawet silniejszego przeciwnika, który tamował swobodę ru-

chów, nie dozwalał nieść wydajniejszej pomocy wybuchającym powstaniom i w ogólności, wypełnić poruczonego zadania.

Ciężkie właśnie zadanie czekało Dwernickiego zaraz u samego progu Wołynia. Wejście do tej prowincyi stanowi wązka ledwo na cztery mile szyja, ciągnąca się dość daleko w głąb kraju, zamknięta z jednej strony błotami Prypeci, z drugiej granicą austryacką. Pierwszorzędnej dla korpusu polskiego wagi był wybór drogi. Trakt główny szedł od Uściługa przez Włodzimierz, Torczyn, Łuck do Dubna, lecz był zajęty w znacznej części przez wojska rosyjskie, należące do korpusu generała Rüdigera, któremu powierzono właśnie obronę tych prowincyi. Dwernicki nie znał dokładnie ani rozkładu, ani sił rosyjskich i z tego powodu nie ważył się iść tą drogą, by wywrócić jednym zamachem przeciwnika. Pozostawała mu droga północna od Kowla czyli raczej bezdroża poleskie ciągnące się wzdłuż Prypeci, w których łatwo mógł bronić się przed naporem nieprzyjaciela, a w ostatecznym razie mógł łatwo przejść na lewy brzeg tej rzeki, stosownie zresztą do instrukcyi i szukać schronienia bodaj nawet na Litwie; wreszcie droga południowa na Horochów i Beresteczko, lepsza z powodu łatwości posuwania się, lecz zarazem i niebezpieczna z powodu sąsiedztwa granicy austryackiej, do której korpus przyparty ginął bez ratunku.

Dwernicki wybrał drogę ostatnią z kilku powodów. I tak już sam marsz demonstracyjny z Zaścia do Zwierzyńca a następna droga w tej samej dyrekcyi na wschód do Kryłowa, wskazywał z góry wybór tej a nie innej linii marszowej. Dalej Dwernicki spodziewał się tam właśnie zastać zebrane kadry insurekcyjne. Tędy wreszcie najbliżej i najprędzej mógł się dostać do dalszych prowincyi, Podola i Ukrainy.

Z Kryłowa więc wysławszy 11 kwietnia dwa dywizyony traktem ku Włodzimierzowi, poszedł generał drogą ciągnącą się wzdłuż granicy austrya-

ckiej na Horochów. Po drodze otrzymał wiadomości od Chrościechowskiego, który mu 7 kwietnia donosił, że po jego powrocie z Zamościa rzeczy się zmieniły, „miejsca przeprawy zostały częściowo odkryte", lecz mimo to obiecywał, że „my na pierwszy za granicą wystrzał z całą siłą bez odwłoki powstaniemy". Po rozmaitych fantastycznych opowieściach, kończył emisaryusz swój raport propozycyą dość dwuznaczną, „wieleby nam przytem generał ułatwił, gdyby bohaterskim obrotem, przez korpus Rüdigera przebić się zdołał".

Istotne informacye jednakże zawierał nie list Chrościechowskiego, który pisał o wszystkiem innem, tylko nie o tem co się dzieje w prowincyach, do których był wysłany, ale krótki raport b. pułkownika a zarazem jednego z naczelników wołyńskiego powstania Prażmowskiego, który mu donosił o rozłożeniu sił nieprzyjacielskich i o ich ilości. Uprzedzał więc generała ,że Rüdiger stoi na czele 5400 ludzi koło Włodzimierza, że reszta jego korpusu, mianowicie dwa pułki dragońskie liczące 1600 koni stoją w rezerwie nad Styrem dla obrony przeprawy w Łucku, Targowicy, Krasnem i sięgają aż do Beresteczka. Informacye te w dość znacznym stopniu zgadzały się z faktycznym stanem rzeczy. Generał Rüdiger bowiem w chwili wkroczenia Dwernickiego na Wołyń miał swój korpus w następujący sposób rozłożony: jako straż przednia stał pułk kozaków Popowa w Hrubieszowie a rezerwowe bataliony pułku mińskiego i 49 strzelców z 25tej dywizyi, razem 660 ludzi, tudzież pierwsza brygada 3-ciej dywizyi huzarów, mająca 1510 ludzi w 12 szwadronach stały w Uściługu. Sam Rüdiger miał główną kwaterę opodal Włodzimierza w Łokaczach, gdzie miał pod swymi rozkazami drugą i trzecią brygadę 11-tej dywizyi piechoty, wynoszących w 8 batalionach 2246 ludzi i pierwszą brygadę 1-ej dywizyi dragonów, mającą w 12 szwadronach 1070 ludzi, tudzież 6 dział. Ponadto zaś pierwsza brygada 11-ej dywizyi piechoty i batalion rezerwowy pułku

wołyńskiego, razem jakie 1300 ludzi, trzymały dwa ważne punkty Łuck i Dubno. Razem miał Rüdiger w tej pierwszej fazie przeszło 6000 ludzi pod swymi rozkazami. Lecz nie było to wszystko; bo w drodze były inne jeszcze oddziały, które miały się z nim złączyć. Rüdiger z tem, co miał pod ręką, nie śmiał stawiać czoła Polakom, nie zatrzymał się więc we Włodzimierzu, ani też nie wyruszył naprzeciw Dwernickiego, lecz cofnął się do Krasnego, gdzie zajął nad Styrem silną pozycyę w zamiarze nie tylko bronienia przeprawy przez tę rzekę, ale i ważnego punktu węzłowego Dubna. — Tam zresztą spodziewał się wzmocnić swe siły napływającymi zewsząd posiłkami.

Dwernicki tymczasem wszedłszy raz na drogę, ciągnącą się wzdłuż austryackiej granicy, już z niej nie schodził. — Czynił to zaś na własną rękę, a tłumaczenie się generała instrukcyami, otrzymanemi w tym względzie z Warszawy, nie wytrzymuje krytyki; o podobnem zleceniu nigdzie niema wzmianki.

Korpus polski przeszedł następnie Latowicze, gdzie w swe szeregi wcielił tamtejszych chłopów branych właśnie w sołdaty, a następnie udał się w dalszą drogę do Porycka. Opodal tej miejscowości przyszło do pierwszego starcia. Gdy bowiem 11 kwietnia około południa znajdowali się Polacy pod wsią Lachowcem o dwie wiorsty od Porycka odległej, zobaczono od Dubna nadchodzący do Porycka pułk dragonów kargopolskich. Na jego to spotkanie wysłał Dwernicki do Porycka z dwóch stron naraz kilka szwadronów jazdy. Naprzód uderzył oddział czwartego pułku strzelców konnych, złożony z pięciu plutonów — który swem śmiałem natarciem od frontu zmieszał niespodziewających się ataku Kargopolców. — Reszty dokonały dwa szwadrony drugiego pułku ułanów, które zaraz wpadły z boku i zupełnie dragonów rozproszyły i rozpędzonych dwie mile gnały, biorąc 150 nie-

wolników, nie licząc zabitych i rannych, tudzież bagaży straconych w tej walce przez Kargopolców.

Po tej utarczce zatrzymał się Dwernicki na noc w Lachowcu i stąd to wydał generał następnego dnia, t. j. 12 kwietnia odezwę do mieszkańców Wołynia, Podola i Ukrainy z oznajmieniem o swem w te prowincye wkroczeniu i z wezwaniem do broni oraz do łączenia się z jego oddziałem. Odezwa ta, pióra jak się zdaje ks. Pułaskiego, grzeszyła zbytnią rozwlekłością i jednostronnością, gdyż z apelem zwracała się wbrew przysłanym z Warszawy instrucyom, do jednej tylko warstwy ziemiańskiej, inne zaś pomijała milczeniem.

W Lachowcu zupełnie niepotrzebnie zatrzymał się generał dzień cały — bo dopiero 13 kwietnia wyruszył dwoma kolumnami w dalszą drogę, posuwając swój główny korpus przez Mielatyn, Pieczychwosty do Drużkopola, podczas gdy brygada Wierzchleyskiego poszła równolegle na Zawidów, Podbereśce i Misków do Horochowa.

Drużkopol był dla generała punktem bardzo ważnym z tego powodu, że tam on miał po raz pierwszy zetknąć się z przywódzcami insurekcyi, miał naocznie zbadać wielkość sił, na które mógł liczyć w dalszej kampanii, miał wejść w bezpośredni z nimi kontakt i rozpocząć właściwą przez sztab mu nakazaną działalność. W Drużkopolu też rzeczywiście zastał generał kilkunastu tamtejszych obywateli z Michałem Czackim na czele. Lecz czekała go smutna niespodzianka, gdyż oni mu oświadczyli, że powstanie jest niegotowe, ponieważ władze rosyjskie jednych już aresztowały, drugim bodaj broń poodbierały, a wszystkich wybitniejszych ściśle pilnują.

Zapowiedź ta dla lepiej oryentującego się w tamtejszych stosunkach nie powinna była być niespodzianką. Pomijając już te warstwy, o których niechęci do powstania już poprzednio była mowa: o magnatach, części szlachty i wieśniakach, nawet i ta klasa ludności, na którą najwięcej można było li-

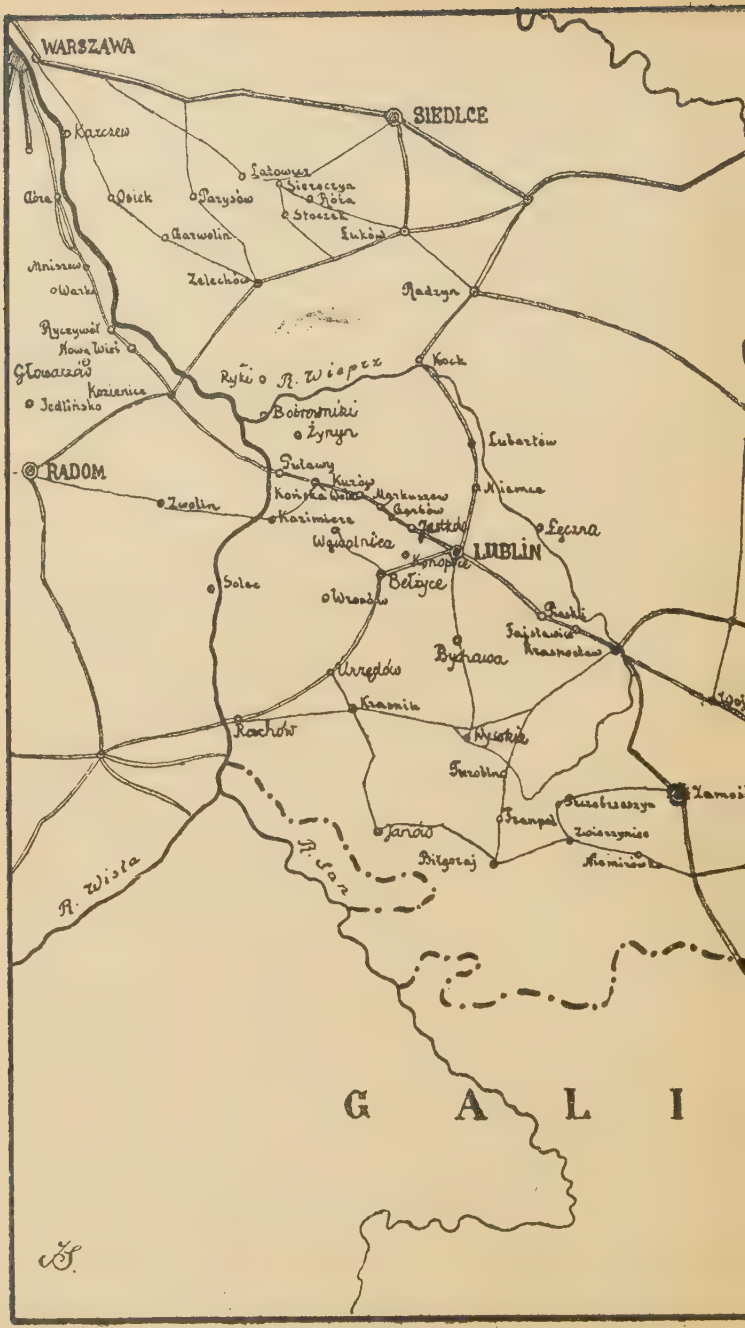
WARSZAWA
SIEDLCE
Kazeres
Latowicz
Sierocczyn
Kotla
Stoczek
Abra
Odrick
Parysów
Łukiej
Garwolin
Mrozów
Warka
Zelechów
Radzyn
Rycerzewo
Nowa Wieś
Głowaczów
Kozienice
Jedlińsko
Ryki
R. Wieprz
Kock
Bobrowniki
Żyrzyn
Lubartów
RADOM
Gulawy
Kurów
Kozyra
Nagrusznow
Miemce
Zwolin
Kazimierz
Jastkow
Leczna
Wąwolnica
LUBLIN
Kamionka
Solec
Bełżyce
Wrzelów
Ruski
Bychawa
Urzędów
Kraśnik
Rachów
Wysokie
Turobin
Janów
Biłgoraj
Tarnogrod
Zwierzyniec
Krasnobród
R. Wisła
R. San
G A L I

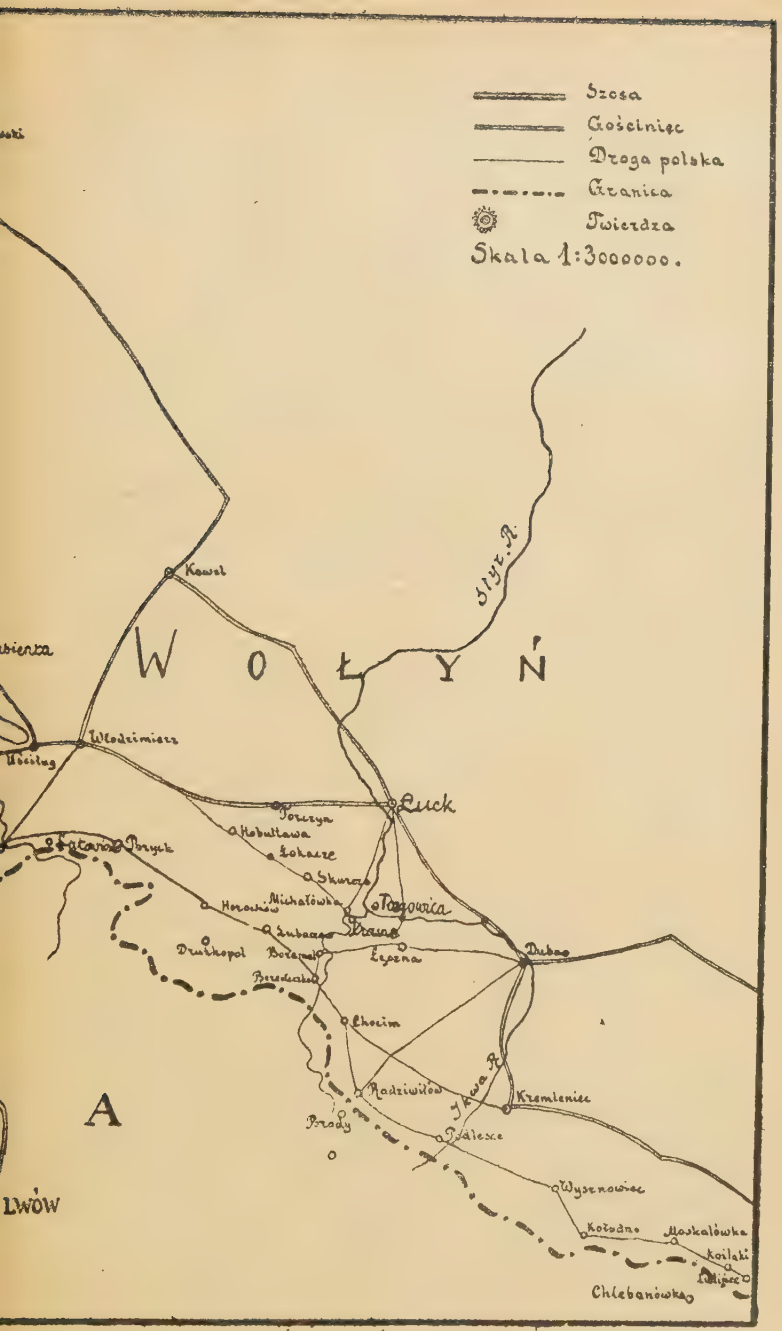
Szosa
Gościniec
Droga polska
Granica
Twierdza
Skala 1:3000000.
Styr R.
W O Ł Y Ń
Kowel
Włodzimierz
Łuck
Torczyn
Kobułtowa
Łokacze
Skurcze
Michałówka
Torgowica
Hrana
Dubno
Łyczna
Borowiec
Berestecko
Chołm
Radziwiłłów
Jława R.
Kremieniec
Poręby
Zdołbice
Wyszniowiec
Kozodno
Moskalówka
Kozlaki
Chlebanówka
A
LWÓW

czyć tj. średnia posiadłość ziemiańska i drobna szlachta przeważnie nie dopisała. Prowincye te coprawda brały dość żywy udział w pracach dawniejszych tajnych związków, jak Towarzystwa patryotycznego i związku Templaryuszów, przyczem pewien wpływ wywierała i organizacya rosyjska, która w Kijowie odbywała swe zjazdy. Późniejsze jednak aresztowania położyły kres dalszym pracom związkowych. Pewien ruch wywołały dopiero wiadomości o wybuchłem w Warszawie powstaniu. Rozproszone ogniwa dawnych związków poczęły się znowu powoli łączyć. Nie było to jednakowoż rzeczą łatwą bo i sama organizacya dawno już rozpadła się i przeszkadzały żywszemu ruchowi zaprowadzone świeżo sądy wojenne, tudzież gęste przemarsze wojsk rosyjskich, naprzód korpusu W. Ks. Konstantego, cofającego się z Królestwa, a następnie przez grudzień i styczeń oddziałów idących na Warszawę.

Dopiero więc w lutym i marcu, gdy wojska te nieco się z tych ziem usunęły, rozpoczął się żywszy ruch wśród związkowych. Najtrudniej szła sprawa na Wołyniu właśnie, gdzie brak było jakiejś poważniejszej organizacyi. Natomiast Podole i Ukraina dość szybko się porozumiały, a związkowi tych prowincyi na zjeździe w Czerniawce 8 marca wybrali swym naczelnikiem Tyszkiewicza i postanowili urządzić powstanie w tych ziemiach, chociażby nawet najsmutniejszy los spotkał broń narodową w Królestwie, zarazem zabrali się zaraz do odpowiednich przygotowań, które jednakże z powodu krótkości czasu i innych choćby technicznych względów nie mogły przybrać zbyt wielkich rozmiarów.

Owóż Dwernicki naprzód natknął się na Wołynian, a pełen różowych nadziei co do ich gotowości powstańczej, w Drużkopolu doznał rozczarowania. Zamiast zapowiadanych kadrów insurekcyjnych, zastał generał ludzi zgorzkniałych, pełnych ostrożności, a choć niejeden z nich chętny i ofiarny wziął udział w dalszych losach korpusu, ogół po-

został niewzruszony. Po takiem to przyjęciu generał nie mógł liczyć na przypływ fali ochotników, ale był zmuszony w pierwszym rzędzie polegać na siłach korpusu własnego. Już więc w niedługim czasie Dwernicki spostrzegł swój błąd, wynikły z zaniedbania wymagań służby wywiadowczej i z opierania się na osobniku tak podejrzanej wartości, jak Chrościechowski. Na pochwałę Dwernickiego podnieść należy, że w sytuacyi się zoryentował i odpowiednio do zmienionego położenia odtąd działał. Mimo chłodnego przyjęcia, zatrzymał się Dwernicki w Drużkopolu i tam stosownie do instrukcyi ustanowił imieniem Rządu Narodowego 14 kwietnia władzę krajową wołyńską z Michałem Czackim jako jej regimentarzem na czele. Innych przybyłych tam obywateli, nadawszy im odpowiednie godności, porozsyłał do ich okręgów, celem organizacyi wszędzie powstania i dostarczania mu niezbędnych materyałów i potrzeb wojennych. Sposób jednakowoż, w jaki nakazywał urządzenie powstania nosił znamiona połowiczności.

Powoływać ludność pod broń i nakazywać dostawy wojskowe można wtedy, gdy są siły do wyegzekwowania zażądanych świadczeń, lub też wtedy, gdy się liczy bezwzględnie na zapał ludności, na jej dobrą wolę i chęć służenia sprawie, do bronienia której jest powołana. Przykładem dla pierwszego rodzaju może być Napoleon, który wchodząc do zajętego kraju, nakładał kontrubucyę i tworzył pułki z podbitej ludności, stąd tyle różnojęzycznych posiłkowych wojsk. Przykładem dla drugiego rodzaju mogą być polskie powstania, dla których na proste wezwanie odnośnych czynników kierowniczych tyle poniesiono każdym razem ofiar bez wszelkiego przymusu. Dwernicki był w takiem niefortunnem położeniu, że za mało miał siły do ścisłego egzekwowania swych poleceń, a za mało było też zapału i entuzyazmu, żeby bez przymusu się obyło. Zdał władzę na tamtejszych obywateli, którzy mogli tylko pięknem słowem od swych sąsia-

dów jakieś świadczenia na rzecz korpusu wydobyć, lecz była to władza czysto abstrakcyjna, która mogła jeszcze coś zdziałać np. w Królestwie i wogóle tam, gdzie ludność była przychylnie dla sprawy powstania nastrojona, ale musiała być skazaną na nieczynność tam, gdzie nawet ta nieliczna garstka ziemiańska, na którą można było przedtem liczyć — teraz na skutek represyi rosyjskich znacznie w swym zapale ochłonęła. Dwernicki uczuł odtąd konieczność wobec niedomagań pomocy z tej strony, polegania raczej na sobie — na siłach swego korpusu, z czego znowu wypływała dalsza troska stosunku jego do nieprzyjaciela — o czem dotychczas generał niezbyt wiele myślał, zajęty wciąż kombinacyami powstańczemi. Zdaje się też, że i przybyłe do Drużkopola ziemiaństwo zapewniało, że powstanie inny zupełnie weźmie obrót, gdy generał odniesie nad swym przeciwnikiem zwycięstwo, i w ten sposób usunie zmorę ciążącą nad temi ziemiami. W każdym razie, bez względu na to, czy ta czy owa przyczyna wpłynęła na decyzyę generała, faktem jest, że od Drużkopola Dwernicki rozpoczyna na prawdę troszczyć się o nieprzyjaciela i szukać z nim spotkania. Dnia 15 kwietnia wyruszył korpus z Drużkopola i na Dołhę i Haliczany przybył do Lubaczówki, gdzie zanocował. — Stąd jednak zmienił zasadniczo kierunek dotychczasowy marszu i zamiast dalej trzymać się blizkości granicy i iść wprost do Beresteczka, Dwernicki dodnia 16 kwietnia poszedł drogą wzdłuż lewego brzegu Styru przez Lipę do Boremla, dokąd już poprzedniego dnia był wysłał drugą brygadę podpułkownika Terleckiego, jako awangardę, celem zajęcia tej miejscowości. Tegoż dnia, 16 kwietnia, jeszcze przed południem doszedł cały korpus Dwernickiego do Boremla i tam rozłożył się obozem, w ten sposób, że kawalerya z artyleryą stanęły obok miasta, a piechota zajęła samo miasto, tudzież obsadziła wybrzeża i miejsca przeprawy przez Styr.

XIII.

Miasteczko Boremel leży na lewym brzegu Styru, w miejscu, gdzie ta rzeka zwracając się nagle od Tołpyżyna prostą linią ku Boremlowi — zagina się nieomal pod kątem prostym, tworząc jakby jedno ramię prostokąta sięgające do Nowosiółek, gdzie znowu pod podobnym kątem ta rzeka się załamuje — tworząc linię mniej więcej równoległą do biegu poprzedniego Tołpyżyn—Boremel, mianowicie linię Nowosiółki—Hryniki. Z załomów tej rzeki powstał więc równoległobok, którego 3 ściany oblane są Styrem, mianowicie I bok: Tołpyżyn—Boremel. II Boremel—Nowosiółki. III Nowosiółki—Hryniki — a tylko jedna strona Tołpyżyn—Hryniki równoległa do linii Boremel—Nowosiółki stanowiła bok suchy tego prostokąta. Lewy brzeg Styru, na którym położone było i samo miasteczko i wioska, jest wyższym od prawego brzegu — ponieważ ciągną się tam wzgórza pokryte domkami i ogrodami. Na najwyższem wzgórzu wznosi się pałac boremelski — z którego widok rozciągał się szeroko na okolicę. Za tym pałacem był ogród, przypierający wprost do rzeki, obok niego prowadziła droga do mostu na Styrze, za tym zaś mostem, długości 80 kroków, ciągnęła się grobla 800 kroków długa, rzucona między oba ramiona Styru na bagniskach, która następnie przechodziła w drogę ciągnącą się wśród lasów do Jarosławiec i Dubna. Wśród tych grzęzawisk po prawej stronie grobli wznosił się murowany browar.

Mimo, że Dwernicki nieomal od tygodnia przebywał za Bugiem, nie znał jeszcze dokładnie ani sił ani położenia swego przeciwnika. Spodziewał się, że wojska rosyjskie zastąpią mu drogę w okolicach Beresteczka, dla wywiedzenia się więc o tem wysłał w tamtą stronę pierwszy dywizyon brygady Wierzchleyskiego. Według złożonego raportu w miejscu tem znajdował się ledwie pułk kawaleryi i pułk piechoty, tudzież jedna baterya artyleryi. Gdzie się podziewa Rüdiger, o tem jeszcze nie zdo-

łał się dowiedzieć. Ale i Rüdiger miał niepewne, a mocno przesadzone relacye o siłach polskich. Z tego to powodu trzymając się defenzywy, zajął 13 kwietnia Krasne, dokąd tymczasem ściągnęły mu posiłki: 1-a i 3-a brygada 10 dywizyi piechoty, czyli 3100 ludzi, 1 rezerwowy batalion 25 dywizyi około 400 ludzi, pułk Jelecki z pierwszej brygady 11 dywizyi 650 ludzi, tudzież pułk huzarów ks. Oranii 800 ludzi — co razem podniosło cyfrę rosyjskiego korpusu do 11 000 ludzi i 36 armat, z czego na piechotę przypadało około 7000, a na jazdę 4000 ludzi. Na czele tak wzmocnionego korpusu posuwał się Rüdiger 15 kwietnia z Krasnego na południe do Hrynik, a stąd zaraz jeszcze tego samego dnia doszedł do Pleszewa. — Gdy jednak Rüdiger się spostrzegł, że rachuby jego nie powiodły się, bo Dwernicki zamiast iść na Beresteczko, zwrócił się do Boremla, wówczas zajął 16 kwietnia Łęcznę, położoną na trakcie z Hrynik do Dubna, w tym celu, by w razie niemożności obrony przeprawy przez Styr, bodaj powstrzymać korpus polski od zajęcia Dubna i tamtejszych składów rosyjskich.

Tymczasem Dwernicki zająwszy Boremel, nakazał zaraz odbudować zniszczony przez wojska rosyjskie most na Styrze, do czego odkomenderował kapitana kwatermistrza Zandrowicza i podporucznika Kuczkiewicza. Nim jednak most ten został jako tako odrestaurowany, wysłał Dwernicki zaraz o czwartej po południu 2 kompanie piechoty które przeszedłszy po kładkach, rzuconych na dyle mostowe, na prawy brzeg Styru, przedostały się przez groblę, zajęły lasek, za nią położony, aby módz z tej strony obserwować nieprzyjaciela.

Dnia 17 kwietnia przed południem był most gotowy: zaraz pchnął Dwernicki na rozmaite strony podjazdy dla dokładnego wywiedzenia się o ruchach Rüdigera, o którym donieśli mu dwaj przybyli do jego obozu obywatele, że w sile 13 000 ludzi posuwa się prawym brzegiem Styru ku Boremlowi. Za temi drobnemi patrolami wysłał Dwer-

nicki oddział silniejszy złożony z dywizyonu jazdy i kompanii piechoty, który miał przejść lasek za groblą i iść ku Jarosławicom.

Wszystkie te oddziały pod wieczór wróciły do obozu, nigdzie nie spotkawszy nieprzyjaciela. Tylko major Wierzchleyski pozostawiony ze swą brygadą dla obserwacyi Beresteczka, doniósł, że załoga tego miasta wyszła stamtąd i złączyła się z głównym korpusem Rüdigera. Tak więc dzień 17 kwietnia przeszedł korpusowi polskiemu spokojnie na stawianiu mostu i wywiadach o posuwaniu się nieprzyjaciela. Ponieważ rezultat tych ostatnich był negatywny, więc generał nietylko wzmocnił załogę w lasku za groblą pozostawioną, ale też jeszcze raz w nocy po 10-tej godzinie wysłał nowe podjazdy, które przededniem natrafiły na straż przednią Rüdigera idącego na Boremel.

Gdy generał ten, przed dwoma jeszcze dniami zajął pozycyę w Łęcznej z zamiarem bronienia Dubna wciąż jeszcze nie znał ani sił, ani zamiarów przeciwnika. Wtedy to kozacy pozostawieni przez niego na boremelskiej grobli, spędzeni następnie za nadejściem polskiego korpusu przez dwie, wysłane za most kompanie piechoty, donieśli mu o zajęciu przez Dwernickiego Boremla i o jego zamiarze przejścia właśnie w tem miejscu przez rzekę, na co całkiem wyraźnie wskazywała odbudowa zniszczonego przez nich mostu. Rüdiger po otrzymaniu tych wiadomości opuścił dotychczasową swą w Łęcznej pozycyę i udał się wraz z całym swym korpusem w kierunku Boremla, wszakże nie z zamiarem bronienia Polakom przeprawy przez Styr i stoczenia decydującej bitwy, ale tylko w chęci wybadania stanu liczebnego polskiego oddziału tudzież kierunku jego marszu, by módz odpowiednio do tego zająć obronne pozycye w okolicach Dubna. Stąd pierwsze jego ruchy były chwiejne — i nazbyt oględne. W pierwszym rzędzie starał się on oczyścić prawy brzeg Styru, z rozłożonych tam kompanii polskiej piechoty. Zaraz więc, skoro tyl-

ko się rozwidniło, do ataku na oddziały wolnych strzelców i 2 kompanie 5 p. piechoty, broniące lasku za groblą, wysłał 4 bataliony strzelców pułku 19, 20, 22 i 49, dwie armaty i pułk Achtyrskich huzarów. Choć polska piechota dzielnie lasku broniła, Dwernicki, nie mając zamiaru trzymać się w tej pozycyi, posłał przez Wysockiego nakaz cofania się przez most do Boremla. Jako wsparcie dla zakrycia tego odwrotu posłał jeszcze 2 kompanie 6 p. piechoty. Gdy przyszły posiłki, garstka piechoty polskiej rzuciła się niepomna na rozkaz, znowu do ataku, który jednak, wobec przewagi przeciwnika, widoków powodzenia nie miał. Wkrótce już rosyjskie bataliony wyparły polską piechotę i atakując ją wraz z nią poczęły wdzierać się na groblę. Baczny na wszystko Dwernicki, gdy zobaczył swą kolumnę w niebezpieczeństwie, nakazał dać ognia z czterech dział ustawionych na tarasie pałacu boremelskiego, z takim skutkiem, że nietylko powstrzymano dalszy zapęd nieprzyjaciela, ale zmuszono go do bezładnej ucieczki; sypiące się na groblę i na zbitą kolumnę kartacze tyle narobiły spustoszenia i szkody. Po tem pierwszem starciu, piechota polska osadziła miejsce przeprawy koło mostu, tudzież lewy brzeg Styru, Rüdiger zaś jeszcze na razie nie zdecydowany, co dalej ma czynić, widząc, że grobli tak łatwo nie weźmie, nie wsparł tamtego ataku świeżemi kolumnami, zatoczył tylko koło browaru 8 dział i z tych zaczął ostrzeliwać pałac boremelski. Rozpoczęła się bitwa artyleryi z obu stron; polskie działa ustawione na tarasie pałacu, których liczbę powiększono jeszcze dwoma świeżo przybyłemi, zwróciły na bateryę nieprzyjacielską ogień tak skuteczny, że w przeciągu niedługiego czasu zdemontowały pięć armat rosyjskich i wysadziły w powietrze trzy jaszczyki, co spowodowało Rüdigera do wzmocnienia tej nadniszczonej bateryi świeżą pół baterya 24 funtowych dział.

Epizodyczne starcie na grobli miało jednak ważne następstwa. Rüdiger dopiero wtedy od jeń-

ców, wziętych w tym boju, dowiedział się o faktycznych siłach Polaków. Dotąd znacznie przece-

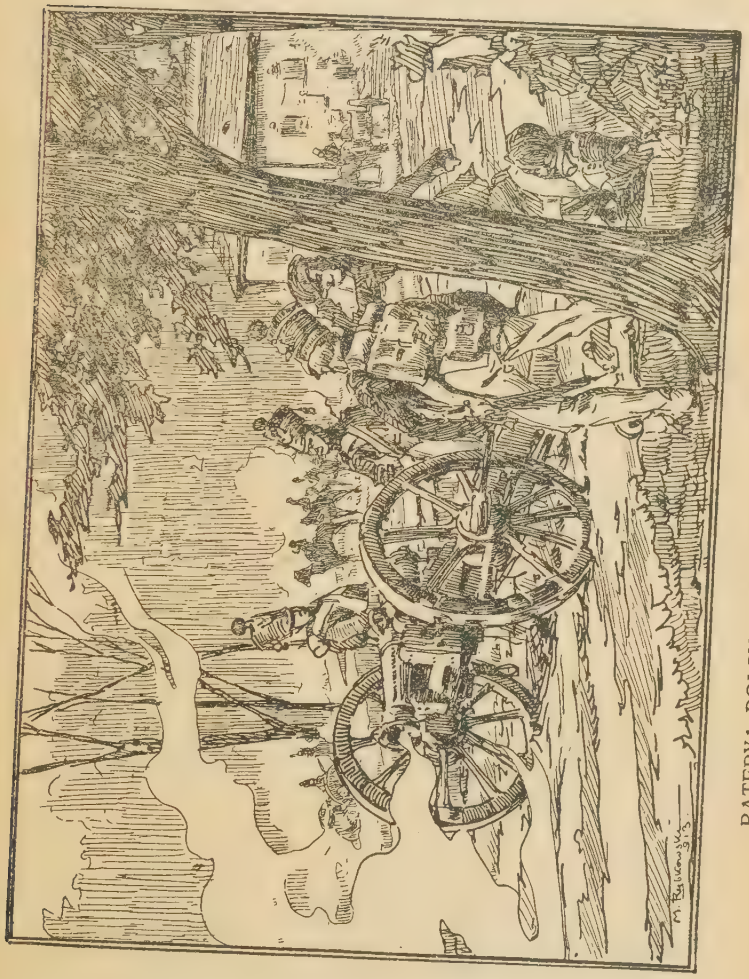

BATERYA POLSKA NA TARASIE ZAMKOWYM W BOREMLU.

niał on liczebność korpusu Dwernickiego, gdyż szacował go na 20 000 ludzi — i z tego powodu trzy-

mał się tylko defenzywy, zamierzając wytrwać w niej tak długo, dopóki mu nie nadejdą odpowiednie posiłki. I teraz, idąc do Boremla, atakował grobię tylko cząstką swego lewego skrzydła, gdy prawe oparł o Hryniki dla lepszego jeno rozpatrzenia pozycyi polskiej. Teraz jednak po starciu na grobli, gdy się dowiedział, że siły polskie są w dwójnasób słabsze od jego korpusu, przerzucił się do działań zaczepnych. — Ponieważ zaś widział, że otwartym atakiem przez most boremelski nie przedostanie się bez znacznych przynajmniej strat na lewy brzeg Styru, postanowił przeprawić swój korpus przez tę rzekę w miejscu niebronionem przez Polaków, z zamiarem stoczenia na lewym brzegu stanowczej z Dwernickim rozprawy. W tym celu nakazał zaraz po południu stawiać most w Hrynikach w tym punkcie koncentrując nieomal wszystkie swe siły.

Dwernicki, powiadomiony o przedsięwzięciu Rüdigera, posłał dla obserwacyi tych robót oddział kawaleryi, ponadto zaś obsadził batalionem piechoty i pewną liczbą jazdy, położoną na drodze od Hrynik do Boremla wieś Nowosiółki. Tymczasem wysłany na zwiady pluton nie mógł się dostać w pobliże budującego się mostu, gdyż zakrywający tę robotę lasek zajęli kozacy, którzy nie dali mu się do tego punktu zbliżyć. Dwernicki więc wysłał z Nowosiółek jednę kompanię piechoty dla oczyszczenia lasku. Ta rozkaz otrzymany wypełniła, lecz nie utrzymała się w dębinie, gdyż Rüdiger po świeżo postawionym moście wysłał cały pułk piechoty, który wyparł kompanię polską i zmusił ją do cofnięcia się na swe dawne w Nowosiółkach stanowisko.

Na takich utarczkach zeszedł dzień 18 kwietnia. W starciu na grobli poniosły obie strony znaczne straty, Polacy od atakujących ich strzelców, Rosyanie od kul armatnich. Dzień ważny ze względów taktycznych, ponieważ Rüdiger zmienił zasadniczo swe postępowanie przechodząc do ofen-

zywy. Z innych drobniejszych wydarzeń dnia zanotować należy wzięcie do niewoli przez powstańców wołyńskich dwóch oficerów sztabowych, adjutanta Dybicza podpułkownika Wintutowa i kapitana Kruzensterna, którzy jechali do głównej kwatery z ważnemi depeszami Rüdigera.

Ponieważ Dwernicki sądząc po ruchach przeciwnika, spodziewał się następnego dnia, to jest 19 kwietnia, stanowczego spotkania z armią nieprzyjacielską, odpowiednio rozdzielił i uszykował swoje siły. Wieś Nowosiółki, narażoną na pierwszy zapęd nieprzyjaciela idącego od Hrynik, obsadził batalionem piechoty, na polu zaś obok tej wsi ustawił dywizyon 4 p. ułanów i dywizyon 1 p. strzelców konnych. Siły te stanowiły niejako awangardę. Właściwy swój korpus ustawił obok Boremla w ten sposób, że jazdę swą w dwóch liniach po 6 szwadronów i artyleryę rzucił na pole pod tą miejscowością się znajdujące, 2 szwadrony kawaleryi zatrzymał w odwodzie, 2 kompanie piechoty zostawił koło kościoła, przy rogatce od strony Nowosiółek; 2 kompanie stanęły przy ogrodzie pałacowym dla strzeżenia mostu i drogi od grobli, 2 zaś dywizyony jazdy, 1 batalion piechoty tudzież 2 działa pod komendą majora Wierzchleyskiego zajęły wieś Rudkę o ćwierć mili po za Boremlem na drodze do Beresteczka.

Jak widać z tego rozmieszczenia sił, Dwernicki spodziewał się napadu z trzech stron równocześnie: od Hrynik, od grobli i mostu, wreszcie od Beresteczka. Lecz choć zaraz zrana 19 kwietnia rosyjscy tyralierzy obsadzili dębinę, leżącą między ich przeprawą a Nowosiółkami, przecież do godziny jedenastej nie poczynił Rüdiger żadnych kroków zaczepnych, tak, że Dwernicki, który przez cały ranek pozostawał w Nowosiółkach przy swej przedniej straży, zwątpiwszy już w atak na ten dzień, wrócił do swej kwatery w Boremlu. Ledwo jednak generał o godzinie 12 w południe zsiadł z konia, gdy

przybył do niego adjutant z raportem, że nieprzyjaciel następuje na straż przednią.

Natychmiast generał powrócił na dawne swe obserwacyjne stanowisko, a widząc przemożne siły nieprzyjacielskie idące do ataku na Nowosiółki, nakazał odwrót swej jeździe i piechocie, która miała poprzednio spalić tę wioskę. Bronić Nowosiółek zupełnie nie miał Dwernicki zamiaru; rzecz to bowiem była zanadto ryzykowna czekać na atak tak przemożnych sił w pozycyi do tego ani odpowiedniej ani nawet należycie nie przysposobionej. Zresztą wobec nierównego terenu, jazda, na której działanie jenerał najwięcej liczył, nie mogła być skutecznie do szarż użytą. Ustawiwszy więc w szachownicę oba dywizyony, cofnął się wraz z batalionem piechoty do Boremla, obok którego rozciągająca się na dość znacznej przestrzeni równina, nadawała się do rozmaitych ewolucyi jazdy.

Rüdiger postanowił atakować Boremel z dwu stron odrazu. W tym więc celu pozostawił 2 bataliony strzelców, brygadę piechoty, oddział jazdy i część swej artyleryi dla zajęcia grobli i mostu obok pałacu boremelskiego. Resztę zaś swego korpusu przeprawił obok wsi Hrynik przez Styr, chcąc od Nowosiółek równocześnie atakować Dwernickiego. Piechotę więc swoją, stanowiącą lewe skrzydło, oparł o lewy brzeg rzeki, jazdą zaś, stanowiącą jego skrzydło prawe, postanowił nie tylko atakować Dwernickiego od czoła, ale zataczając znaczne koło obejść jego lewą flankę i odciąć go w ten sposób od jego linii odwrotowej na Horochów.

W pościgu więc za cofającą się przednią strażą polską, nieprzyjaciel zajął piechotą Nowosiółki — przed tą wsią ustawił dwie baterye, dwie zaś inne ustawił na polu dla poparcia ataku swej kawaleryi; jej bowiem powierzał główne w tym boju zadanie także generał rosyjski. Dwernicki był jednym z najlepszych dowódzców kawaleryi w wojsku polskiem, Rüdiger taką samą sławą cieszył się w wojsku ro-

syjskiem, zwłaszcza po niedawnej kampanii tureckiej, w której parokrotnie się odznaczył.

Bitwa pod Boremlem, to bitwa głównie jazdy, bitwa, która jak podnosił to Prądzyński „w dziejach wojennych całego świata na wieczne czasy świetną kartę zajmować powinna".

Jazda rosyjska, przeszło 3000 koni, posuwała się wśród obustronnej gęstej strzelaniny z dział, wciąż naprzód w dwóch liniach, mając w pierwszej brygadę dragonów, w drugiej brygadę huzarów, pułk huzarów ks. Oranii i 600 kozaków wraz z bateryą armat w rezerwie. Doszła do równiny, na której Dwernicki postanowił stoczyć bitwę. Generał podsunął pod zbliżające się kolumny jazdy i artyleryi, bateryę konną kapitana Puzyny, która swymi celnymi strzałami zmieszała zbliżające się szeregi; z tego w mig skorzystał Dwernicki, rzucając do ataku cztery świeżo z pod Nowosiółek powracające szwadrony i sześć dalszych, stanowiących pierwszą linię polskiej jazdy. Z takim impetem wpadły one na dragonów, że rozbiwszy ich, nabytym rozpędem wywróciły jeszcze i następną linię huzarską, przejechały się po obu bateryach, i oparły się aż o pułk huzarski ks. Oranii, stojący w odwodzie. Dalszy zapęd polskiej jazdy rozbieganej i nie utrzymującej już wskutek ataku należytego ordynku, powstrzymała rezerwa kulami kartaczowemi swej bateryi, poczem pułk huzarski śmiałem uderzeniem zmusił ułanów do odwrotu. I właśnie ten odwrót świadczy jak najchlubniej o polskiej jeździe. Dokonano go w jaknajgorszych warunkach, nie dość, że rozluźnione szwadrony polskie były ścigane przez huzarów orańskich; jeszcze po drodze starały się je ze wszystkich stron otoczyć, obie przedtem rozbite brygady, znowu przyprowadzone do jakiego takiego ładu.

Wśród napierającego zewsząd nieprzyjaciela, trzeba było torować sobie drogę lancą, wyrąbywać ją pałaszem. Rzutkość, wyrobienie we władaniu bronią, przytomność umysłu, zręczność, odwaga i mę-

stwo, oto przymioty, którymi wówczas w całej pełni zajaśniały szyki polskie, i to nie tylko oficerowie, jak majorowie Lewiński, Krasnodębski, Potocki, Trojanowski, kapitan Modzelewski, ale wogóle wszyscy żołnierze, chlubnie pełniąc nałożoną na nich powinność.

W ustawicznej walce dotarły polskie szwadrony do swych dawnych pozycyi. Wtedyto uderza na rosyjską jazdę druga linia kawaleryi pod dowództwem podpułkownika Szeptyckiego; zasłoniła ona sobą odwrót pierwszej linii i znowu z całym impetem natarła w liczbie sześciu szwadronów na zbliżające się kolumny nieprzyjacielskie. Atak prowadził sam Dwernicki, który w powstałem stąd zamieszaniu, omal nie dostał się do niewoli, gdyż koń pod nim padł a rosyjscy huzarzy już poczęli go otaczać, ale w czas jeszcze nadbiegł mu z pomocą szwadron 4 p. ułanów i wyratował wodza z opresyi.

Uderzenie udało się znowu doskonale, gdyż nieprzyjaciel nie mógł wytrzymać natarcia i po krótkiej walce podał tył, zwłaszcza, że w pomoc tej drugiej, obecnie walczącej linii, przyszła wkrótce i pierwsza, szybko uszykowawszy się i zerwawszy znowu z całą gotowością do boju. Obecnie sukces był jeszcze świetniejszy od pierwszego ataku, gdyż przedtem rozpęd nie pozwolił zabierać armat, teraz, gdy dragoni i huzarzy zostali wpędzeni w błota, łupem zwycięzców stały się działa, stanowiące środkową bateryę. Było ich ośm, a ponieważ trzy już przedtem zdemontował celny ogień Puzyny, więc strata dla nieprzyjaciela pod tym względem była dość znaczna, a powiększały ją nadto szkody wielkie, poniesione wśród podwójnego ataku jazdy. Wiele zwłaszcza ucierpiał pułk huzorów ks. Oranii, osłaniający w ostatniem starciu odwrót szwadronów rosyjskich.

Podczas tak wspaniałych zapasów jazdy nie zasypiała sprawy i druga kolumna nieprzyjacielska, pozostawiona przez Rüdigera na grobli wiodącej do Boremla. Ta rozpoczęła zrazu silny ogień dzia-

łowy: kule wielkiego wagomiaru nietylko uderzały w pałac, ale sięgały nawet znacznie dalej, aż do kościoła boremelskiego, a niszcząc oba te budynki, czyniły nieznaczne zresztą szkody stojącym obok nich oddziałom piechoty. Po takiej przygrywce rosyjscy strzelcy i piechota stojąca pod browarem jakiś czas nieczynnie, przeszła do ofenzywy, atakując most. Natarcie, wykonane przeważającemi siłami, miało wszelkie szanse powodzenia. Choć więc znaczna część mostu od strony grobli była rozebrana, i choć dwie kompanie piechoty pozostawione dla obrony tego przejścia, starały się bezustannym ogniem karabinowym odeprzeć nieprzyjaciela, atakujący podsunęli się już tak blizko, że poczęli kłaść pomost na dyle mostu i przygotowywać przeprawę. Mogło się to fatalnie skończyć dla korpusu polskiego, gdyż wzięty we dwa ognie, nie byłby w stanie odeprzeć podwójnego ataku. Ale w sam czas jeszcze zobaczył grożące niebezpieczeństwo Dwernicki i dla wsparcia piechoty, broniącej mostu, wysłał jeszcze pluton artyleryi porucznika Sobańskiego pod dowództwem swego szefa sztabu majora Szymanowskiego. Te dwa działa szybko odprzodkowane i ustawione tuż wprost drogi na most bluznęły kartaczami w zbite kolumny rosyjskie z takim skutkiem, że nieprzyjaciel porzucając znaczną liczbę zabitych i rannych, w nieładzie cofnął się na swą dawną pozycyę przy browarze.

Tak więc nieprzyjaciel został odparty na obu frontach. Po tych wysiłkach, nastąpiła w dalszych działaniach bojowych krótka pauza, przerywana tylko ogniem armatnim obu stron. Tak Dwernicki jak i Rüdiger reorganizowali i porządkowali swe nadwyrężone szeregi, szykując się do dalszych, już rozstrzygających ciosów. W tej myśli posłał Dwernicki w międzyczasie rozkaz Wierzchleyskiemu, stojącemu na drodze do Beresteczka koło Rudek, by pozostawił tam dla obserwacyi nieprzyjaciela jeden szwadron, sam zaś z resztą swego oddziału czemprędzej przybywał na plac boju.

Wkrótce rozpoczął Rüdiger nowy atak na Boremel, postanawiając tym razem użyć nie tylko swojej kawaleryi, ale i nieczynnej dotąd piechoty. W ten sposób walka toczona była w dwu punktach, choć w ustawieniu wojsk żadna nie nastąpiła zasadnicza zmiana. Atak rozpoczęła nieprzyjacielska jazda, uszykowana tak jak i poprzednio w dwie linie. Jej przeciwstawił Dwernicki swą kawaleryę, tak samo uszykowaną, z tą różnicą, że w odstępach między szwadronami stanęły plutony bateryi konnej Puzyny. Jej też strzały przywitały nadbiegającą od Nowosiółek rosyjską kawaleryę i odrazu złamały jej zapęd, z czego skorzystała zaraz polska jazda i śmiałą szarżą rozbiła ją do reszty, a uciekającą wypędziła na błota i lasy. Przy tem starciu najwięcej strat poniosły dwa pułki huzarów: Achtyrski i Olhopolski.

Inny miała przebieg walka na prawem skrzydle. Tam z Nowosiółek poczęła wysypywać się do ataku na Boremel rosyjska piechota. Widząc ten ruch, rzucił się Dwernicki przeciw niej z dywizyonami 1 p. strzelców konnych i 2 p. ułanów. Cały impet jazdy spadł na ten batalion, który tworzył czoło wychodzącej z Nowosiółek kolumny i odrazu został rozbity, co widząc inne bataliony wczas jeszcze cofnęły się do wsi. Ponieważ zaś bezcelowem byłoby uderzać jazdą na wieś, bronioną przez artyleryę i piechotę, więc dywizyony polskie, spełniwszy swe zadania, cofnęły się do Boremla. Było to w tej chwili, gdy inne szwadrony, odpierając atak rosyjskiej kawaleryi, wypędzały ją za Nowosiółki. Szarża ta obu dywizyonów na piechotę udała się wybornie, bo nie tylko, że w niwecz obróciła plan Rüdigera, ale w rezultacie przyniosła jeszcze zdobycz: przeszło 140 wziętych do niewoli.

Zapadał zmrok, gdy oba wojska zajęły swe dawne stanowiska. Bitwa trwała od godziny pierwszej w południe do szóstej wieczorem, pięć godzin bez przerwy. Była dotąd nie rozstrzygnięta. Rüdiger postanowił jeszcze raz spróbować szczęścia, punkt

ciężkości przenosząc teraz na atak piechoty. Przybyłe jednak świeże szwadrony Wierzchleyskiego a zwłaszcza silna burza z gwałtowną ulewą, odebrały na razie generałowi rosyjskiemu ochotę dalszych ataków. Jego kroki zaczepne tego dnia nie udały się, wszystkie jego ataki zostały odparte i to z wielkiemi jego stratami. Pole bitwy zostało w rę-

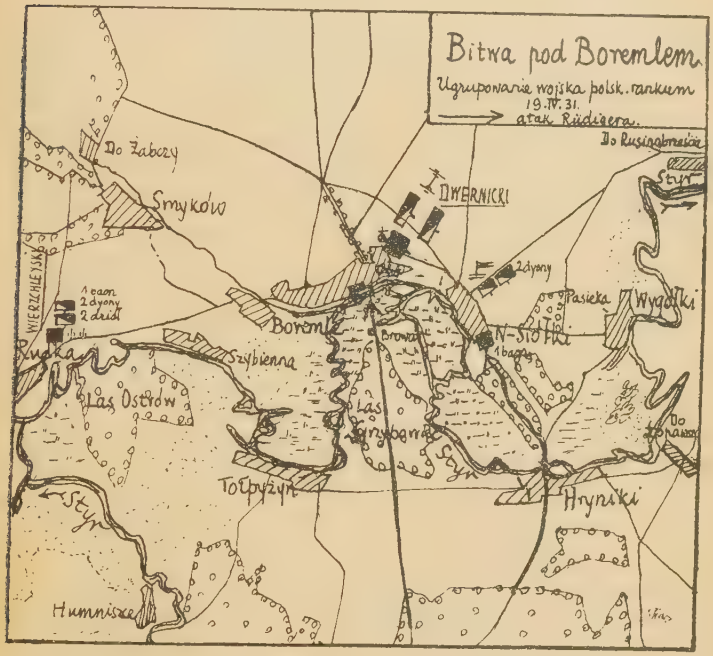

kach polskich, jako widoczny znak odniesionego zwycięstwa.

W dziejach jednak naszych, choć stanowi jedną z świetniejszych kart, nie znalazło ono dotąd stosownego odbicia, zasłonięte późniejszym tej ekspedycyi wynikiem, tak dla Dwernickiego i jego korpusu fatalnym. Wartość jednak tego epizodu słusznie podkreśla znakomity nasz strategik, generał

Prądzyński, pisząc o nim w swych pamiętnikach: „Bitwa pod Boremlem, uważana sama w sobie bez żadnego względu na okoliczności, które ją poprzedziły i po niej nastąpiły, pozostanie jak najświetniejszym pomnikiem dla wodza i dla jego żołnierzy, pozostanie chlubną pamiątką w tym tak żałobnym okresie dziejów Polski. Byłaby ona zaszczytem w rocznikach najwojenniejszego ludu. Pod Boremlem Dwernicki okazał się wodzem w całem znaczeniu tego słowa, a każdy z jego podwładnych był bohaterem."

Dodać należy, że Dwernicki jeszcze raz okazał w niej wybitne zdolności jako dowódzca kawaleryi, szarżując parokrotnie nie tylko swoim zwyczajem na nieprzyjacielskie armaty, na nieprzyjacielską jazdę, ale rozbijając nawet piechotę. Jazda też w rękach takiego generała okazała się doskonałym instrumentem. Również na wielkie pochwały zasługuje i artylerya, zwłaszcza lekka, która dzięki swemu wyrobieniu mogła śmiało podjeżdżać na blizki dystans pod przeciwnika — tam odprzodkowywać działa i zasypywać go kartaczami. Sprawność i szybkość ruchów, bystra oryentacya i celność strzałów, oto strony dodatnie naszej artyleryi, okazane nie po raz pierwszy zresztą w bitwie pod Boremlem. Jedna tylko piechota nie miała tam szerokiego pola do popisu; w ciągu tej bitwy jazdy i artyleryi pozostawiona dla obrony niektórych punktów, przeważnie była nieczynną. To zwycięstwo jednak było drogo okupione, gdyż korpus polski utracił w tych parudniowych bojach do 500 ludzi, w zabitych, rannych i wziętych do niewoli. Ten ubytek był tem dotkliwszy, że nie było nadziei jakiegoś znaczniejszego uzupełnienia go w najbliższym czasie, w przeciwieństwie do korpusu rosyjskiego, który choć poniósł o wiele większe straty, był wciąż mimo to znacznie silniejszy i wciąż rósł, wzmacniany napływającymi posiłkami.

Dwernicki więc, choć był witany tego dnia wieczorem przez swoje pułki, jako zwycięzca, przecież

nie łudził się sukcesem walki tego dnia. Doskonale odczuwał trudność swego położenia. Po ostatnich smutnych doświadczeniach w Porycku i Drużkopolu wiele liczyć nie mógł na powstanie wołyńskie. W dodatku tuż przed bitwą boremelską otrzymał on wiadomości, które w zupełności podkopywały jego nadzieje w pomoc Wołynia. Oto przybyły z Polesia obywatel doniósł mu, że ta część kraju gotowała się do powstania i już poczynione były odpowiednie kroki dla zebrania ludu, gdy w tem nadeszły z Warszawy rozkazy zakazujące powstania i pomięszały wszystkim szyki. Wracać za Bug tą samą drogą, którą korpus polski przyszedł, było rzeczą zanadto ryzykowną, bo miałoby się nie tylko za sobą cały korpus Rüdigera, ale także i od przodu mógł każdej chwili zastąpić drogę generał Dawidow, wysłany na czele pułku dragonów Finlandzkich i trzech pułków kozackich dla odcięcia Dwernickiego od Zamościa, który też zaraz na wstępie pochwycił 17 kwietnia w Kryłowie kilku oficerów korpusu Dwernickiego i garść studentów galicyjskich, spieszących właśnie do jego oddziału, następnego zaś dnia wpadł wieczorem do Włodzimierza i po zaciętej walce w zarodku stłumił wywołane tam przez Ludwika Steckiego powstanie.

Dwernicki też nie mógł liczyć na jakąkolwiek pomoc ze strony głównej armii, gdyż przybyły do obozu pod Boremlem adjutant jego major Osiński, przywiózł z Warszawy coprawda asygnaty dla korpusu, za bitwy pod Kurowem i pod Nową Wsią i jak się zdaje tę drugą instrukcyę cywilno-administracyjną, ale po za tem nic więcej. Tak, że całą nadzieję i to zresztą bardzo słabą, mógł stanowić w najlepszym razie korpus Sierawskiego. Ażeby przedostać się na Polesie — gdzie mimo fałszywego rozkazu Rządu Narodowego odwołującego powstanie, mógł Dwernicki zawsze znaleść pomoc w ludziach i dokąd mu też chronić się nakazywała instrukcya sztabu, musiał generał przebijać się przez zasłaniający mu drogę na północ korpus Rü-

digera — podobnie też nie obeszłoby się bez bitwy, gdyby był zechciał powrócić na wschód przez most i groblę drogą na Dubno. Ze zmęczonem wojskiem wyczekiwać na miejscu dotychczasowych zapasów dalszej nieuchronnej bitwy byłoby rzeczą już najgorszą, bo nieprzyjaciel, według trafnego określenia Prądzyńskiego „był tylko zarwany, ale wcale nie pokonany". W tej więc ciężkiej sytuacyi jedna tylko pozostawała generałowi nadzieja: liczył on jeszcze, że rodzinne jego Podole inaczej się, niż Wołyń popisze, że wybuchnie tam na całej przestrzeni powstanie — które mu w bród dostarczy zapasów amunicyi i ludzi, na czem mu teraz bardzo nawet zbywało.

XIV.

Po bitwie pod Boremlem nakazał Dwernicki gotowość do marszu, i w nocy bez rozgłosu, żeby nie obudzić czujności nieprzyjaciela opuścił Boremel, idąc na południe jedyną wolną drogą do Beresteczka, skąd łatwiej mógł się przedostać na Podole. W Beresteczku przeprawił swój korpus bez przeszkody przez Styr, a stąd zaraz ruszył w dalszą drogę wzdłuż granicy austryackiej, niszcząc za sobą wszelkie przeprawy, żeby jak najdalej odrzucić się od ścigającego go Rüdigera; z Beresteczka pociągnął korpus dalej do odległej o 2 mile wsi Chocimia. Tymczasem Rüdiger zaraz 20 kwietnia rano gotował nowy atak; gdy mu jednak doniesiono, że Polacy poszli w kierunku Beresteczka, rzucił w pościg za nimi kozaków i część swojej jazdy. Falisty teren między Boremlem a Beresteczkiem zakrywał marsz polskiego korpusu, dopiero więc u samej beresteckiej przeprawy zastała straż przednia Rüdigera 2 dywizyony polskie 1 i 2 p. ułanów, które zasłaniały pochód; lecz za słaba do atakowania ich ograniczyła się do obserwowania linii pochodowej oddziału Dwernickiego, za którym w tropy wysłał Rüdiger tylko dwa pułki jazdy dragonów Kargopolskich, znanych już z Porycka i hu-

zarów Oranii — którzy takie straty ponieśli pod Boremlem.

Od Beresteczka posuwał się korpus polski spiesznym marszem znowu wzdłuż granicy austryackiej — ponieważ Dwernicki pragnął obecnie ubiedz Rüdigera — i jak najprędzej dostać się do Kamieńca Podolskiego. Dnia 20 kwietnia nocował korpus polski w Chocimiu, gdzie też Dwernicki rozdał był nagrody świeżo mu przysłane za bitwy pod Nową Wsią, Kurowem i oswobodzenie Lublina — posunął kilku na wyższe stopnie, między innymi Wysockiego zamianował podpułkownikiem. Następnego dnia, opuściwszy przed świtem Chocim, stanął korpus w Radziwiłłowie. Dwernicki, owacyjnie w tej miejscowości przyjmowany przez przybyłych na jego powitanie Galicyan, a nawet przez graniczne władze austryackie, z którymi na radziwiłłowskiej komorze pił na pomyślność armii i cesarza austryackiego, trochę za długo się tam zabawił. Korzyści z tego zatrzymania się były stosunkowo drobne, bo prócz nabycia 30 koni do armat i nieco żywności nic generał tam nie zyskał, straty zaś stąd wynikłe okazały się w najbliższej przyszłości jako niepowetowane.

Dnia 22 kwietnia udał się korpus polski do Poczajowa, a nie zatrzymując się tam długo, jeszcze tego samego dnia stanął we wsi Podleścach, położonej o dwie mile od Krzemieńca, ponieważ zamiarem generała było następnego dnia zająć to miasto, gdzie spodziewał się znaleźć znaczną ilość ochotników wśród tamtejszej młodzieży. Ale plany te pokrzyżowało nazbyt długie zatrzymanie się korpusu polskiego w Radziwiłłowie. Z tej zwłoki bowiem skorzystał umiejętnie Rüdiger. Generał ten, widząc, że po bitwie pod Boremlem Dwernicki poszedł przez Beresteczko na Podole, postanowił za wszelką cenę do tego nie dopuścić. Widząc, że wobec dość znacznego odskoku, Polaków na ich drodze pochodowej nie prędko doścignie, wysłał

wprost za nimi tylko dwa pułki jazdy dla obserwacyi raczej, niż dla pościgu, a sam drogą krótszą na Koziń, poszedł równolegle do polskiej linii marszowej — z czego miał tę korzyść, że będąc każdej chwili na równej z korpusem polskim wysokości, mógł nań każdej chwili uderzyć, lub bodaj przez odpowiednie posunięcie się wzbronić dalszego posuwania się w głąb kraju. Pierwsze korzyści tego posunięcia okazały się zaraz przy obronie Krzemieńca. Rüdiger bowiem szybkim marszem uprzedził Dwernickiego w tem mieście tak, że gdy generał polski wyruszył 22 kwietnia z Podlesiec i zmierzał do Krzemieńca, dowiedział się po drodze, że już miasto to zajęły nad ranem siły rosyjskie. Wobec nieudania się tego planu, korpus polski przenocował w Podleścach, a następnego dnia znowu utartym szlakiem posunął się wzdłuż granicy i zatrzymał się na noc w Kołodnem.

Po nieudałem zajęciu Krzemieńca, Dwernicki wyzbył się wszelkiej chęci jakichś kroków zaczepnych na Wołyniu, pragnął tylko jak najprędzej dostać się na Podole, dokąd wysłał z Podlesiec Stefana Zapolskiego z odezwą wzywającą tamtejszych mieszkańców do powstania. Opuszczając Wołyń — chciał on przecież i w tej prowincyi pozostawić zarzewie wojny, i dla tego to wezwał bawiących w tej miejscowości obywateli do podpisania odpowiedniej odezwy, napisanej przez ks. Puławskiego .Lecz ci do tego kroku nie dali się już namówić. Już bowiem i dla niewojskowych nawet nazbyt widoczny był blizki koniec korpusu Dwernickiego, wobec tego, że wojska rosyjskie nie tylko od tyłu i z lewego skrzydła ale i od przodu zaczęły zabiegać i zamykać drogę Polakom. Na pochwałę wszakże Dwernickiego podnieść trzeba, że generał mimo tak zimne przyjęcie ze strony tamtejszego obywatelstwa i mimo niebezpiecznego położenia w jakim się obecnie korpus jego znajdował, przecież nie tracił otuchy lecz pragnął za wszelką cenę przedostać się z Kołodna do Kamieńca Podolskiego, gdzie przed kilku dniami,

mianowicie 15 kwietnia, według jego wskazówek miało wybuchnąć powstanie.

Dla ułatwienia więc sobie dalszego marszu część furgonów i rannych odesłał za zgodą lokalnych władz austryackich do Galicyi, sam zaś wraz z całym korpusem ruszył 24 kwietnia pod wieczór w dalszą drogę. Pobyt bowiem dłuższy w Kołodnem nie tylko, że nie mógł przynieść żadnych dodatnich rezultatów, ale co gorsza, mógł ściągnąć na niego wszystkie siły rosyjskie, których awangarda poczęła się pokazywać w pobliżu. Po całonocnym silnym marszu, korpus przeszedł o 10 rano przez wieś Koźlaki i zatrzymał się na krótki postój koło karczem lulinieckich.

Po części tuż za nim, a po części równolegle posuwał się korpus rosyjski. Koło Krzemieńca otrzymał Rüdiger niemal 3000 świeżej jazdy; połączyła się z nim brygada huzarów, brygada dragonów i brygada strzelców konnych, skutkiem czego miał pod swymi rozkazami pełną dywizyę huzarską i dragońską. (Również miałby i całą dywizyę strzelców konnych, lecz jedną brygadę odkomenderował z Dubna do Horochowa i Druźkopola, dla odcięcia wszelkich komunikacyi Dwernickiego z Zamościem i główną armią.) Razem więc z kozakami dysponował Rüdiger siłą przeszło 7000 koni. Natomiast liczba piechoty nieco się w jego korpusie zmniejszyła: z 7000 spadła do sfiry 5200 ludzi, gdyż pozostawił ją częściowo Rüdiger po drodze, dla obrony niektórych punktów jak Krzemieńca i Dubna. Od Krzemieńca więc licząc przeszło 12 000 ludzi posuwał się Rüdiger niemal równolegle do korpusu polskiego. Zamierzał nań napaść już w Kołodnem, ale gdy stamtąd wyruszył w dalszą drogę Dwernicki, pociągnął za nim i Rüdiger, idąc w równej z nim wysokości. To też ledwo Polacy zatrzymali się koło Luliniec, już atakowaną została ich tylna straż, i równocześnie też zaczęła debuszować od Wyszogrodu na lewe skrzydło polskie nieprzyjacielska konnica.

Dwernicki widząc, że nieprzyjaciel go ze trzech

stron otacza, bo naciera na jego tyły, i zachodzi mu od lewego skrzydła i od frontu, wobec czego przewidując, że bez bitwy się teraz nie obejdzie, wybrał najbliższą pozycyę jaka mu się wydawała najlepszą i zaraz na nią ruszył wraz z całym korpusem. Kluczem tej pozycyi był las dębowy, sięgający aż po granicę austryacką. Dwernicki obsadził go piechotą, na polance obok położonej stanęła jazda, która prawem skrzydłem stykała się z piechotą, ale się opierała o pagórki. Artylerya zajęła pozycyę na wzgórzach. Przystęp do tej pozycyi był trudny, gdyż dookoła były wąwozy i tylko jedna droga prowadziła do dębiny. Prawe skrzydło a po części i centrum opierało się o granicę austryacką. Dwernicki miał z niej nawet taką wygodę, że pomieścił już po stronie galicyjskiej swoich rannych, bagaże, powstańców wołyńskich, a nawet część krakusów, sam miał kwaterę w baraku granicznym No. 114, a znaczna część oficerów sztabowych i liniowych, mieściła się w galicyjskiej wiosce Unielicach Wielkich.

Pozycya ta, w ostatniej chwili przez Dwernickiego obrana, choć na ogół korzystna, z powodu trudności przystępu do niej i z powodu tych udogodnień granicznych, przecież w gruncie rzeczy, była na czas dłuższy nie do utrzymania, gdyż brakowało jej wszelkiej wolności poruszeń na skrzydłach i tyłach: korpus polski przyczepiony do obcej granicy, wisiał niejako w powietrzu. To co było zaletą tej pozycyi, otoczenie wąwozami, było też jej stroną ujemną bo wprawdzie te przepaściste rowy wzbraniały posuwania się naprzód nieprzyjaciela, zarazem jednakże więziły korpus polski i krępowały mu wszelką swobodę ruchów, na wypadek gdyby on zechciał przejść w którą stronę w ofenzywę.

Ale o tej ostatniej już nie myślał Dwernicki w tym czasie. Zaniechał wszelkiej myśli o krokach zaczepnych i mimo, że Rüdiger rozmaitymi manewrami starał się go wywabić w pole z jego pozycyi, nieporuszony pozostał na niej i przez cały dzień na-

stępny. Położenie korpusu było fatalnem, bo nie tylko, że go niemal zewsząd otaczał nieprzyjaciel, (jedna tylko strona od granicy była wolna) ale co

PRZEJŚCIE GRANICY.

gorsza począł mu dokuczać brak żywności i amunicyi.

Wtedyto, 26 pod wieczór, w rozpaczliwej wprost

sytuacyi zwołał Dwernicki po raz pierwszy radę wojenną, radę, którą według słów Prądzyńskiego „najczęściej zwołuje dowódzca, gdy już sam nie wie co począć, albo też, gdy się skłaniać zaczyna do czynu niedobrego i radby znaleść wspólników, coby wielki ciężar odpowiedzialności z nim podzielili". Tu zachodził ten drugi wypadek. Generał nosił się z planem, który rzeczywiście był bardzo ryzykowny i z tego powodu właśnie, chciał ewentualnemi jego następstwami podzielić się z podkomendnymi oficerami. Rada wojenna nic nie uchwaliła, tylko właśnie w tym zamiarze umocniła generała.

Zamiar ten wykonał Dwernicki zaraz następnego dnia, 27 kwietnia. Gdy bowiem Rüdiger, zwiedziony wieścią o zbliżaniu się Sierawskiego, postanowił ostatecznie rozprawić się z korpusem Dwernickiego i w tym celu koło godziny dziesiątej przed południem rzucił swe kolumny do ataku na pozycye polskie, Dwernicki uprzedzając to uderzenie, wraz z całym swym korpusem przeszedł granicę austryacką, za jej słupami szukając ostatecznego schronienia przed rosyjskimi atakami.

Ten krok okupił on bardzo drogo. Korpus jego przestał istnieć .Otoczony przez nadciągające wojsko austryackie został zmuszony do złożenia broni, którą częściowo, wraz z 17 armatami, oddały władze austryackie Rüdigerowi. Blizko 4000 ludzi poszło w niewolę austryacką, bo według z rozmysłu błędnych i niedokładnych wykazów, było w Klebanówce 3 maja 30 oficerów sztabowych, 269 zwykłych oficerów liniowych, 443 podoficerów, 3132 wojska, koni oficerskich 775, koni wojskowych 1919. Naturalnie, że nie byli w to wliczeni Galicyanie, Wołynianie, Podolacy, i rozmaicie skompromitowani rewolucyoniści, którzy bądźto ukryli się w Galicyi samej, bądź też przedostali się przez granicę z powrotem do Królestwa. Lecz i tak cyfra ta aż nadto smutny dawała obraz strat, jakie sprawa poniosła.

XV.

Na kim spoczywa wina zatraty całego korpusu i tak fatalnego końca wyprawy za Bug? Rozmaici wynajdywali rozmaite powody. Jedni winią sztab główny, że zdobył się na tego rodzaju awanturniczą wyprawę, drudzy przedstawiają obojętność Wołynia jako główną przyczynę klęski, inni wreszcie zarzucają samemu Dwernickiemu sprowadzenie klęski na własny korpus. Ci też ostatni, mieli najwięcej słuszności. Prawda, że sztab główny otrzymawszy wiadomości o ruchach Dwernickiego, zamało mu poświęcał baczności, zamało okazywał zainteresowania dla jego dalszych losów, a gdy wreszcie zdobył się na wysłanie mu w sukurs korpusu Chrzanowskiego, było już zapóźno, mimo to jednak nie sztab główny ponosił tu w pierwszym rzędzie winę, podobnie zresztą jak nie grała w tym wypadku głównej i decydującej roli oziębłość Wołynian w stosunku do powstania i wkraczającego w ich strony polskiego korpusu.

Jeżeli kto zawinił, że tak piękny korpus przepadł na marne, że ekspedycya w prowincye zabrane nietylko spełzła na niczem, ale znalazła taki nad wyraz przykry epilog, to przedewszystkiem sam Dwernicki. Generał ten w ciągu właśnie ostatniej kampanii okazał był niepoślednie zalety wodza, bo śmiałość inicyatywy, i ostrożność ruchów i szybkość oryentacyi, umiejętność korzystania ze słabych stron nieprzyjaciela i wiele innych cech dodatnich, które czyniły go odpowiednim do zajęcia stanowiska dowódzcy całej kawaleryi, a nawet do objęcia naczelnego wodzostwa, pod jednym ważnym wszakże warunkiem, oto, gdy będzie miał odpowiedniego szefa sztabu, któryby mu odnośne projekta już wypracowane przedstawiał do wykonania i krokami jego stosownie do ogólnych działań kierował. Stąd to nie bez głębszej przyczyny, porównuje Prądzyński w ślad za wywodami Willisena, Dwernickiego z Blücherem, z tem niedomówieniem, że tym szefem sztabu, tym Gneisenauem dla Dwernickiego

był on sam. I według wszelkiego prawdopodobieństwa ta kombinacya, to połączenie śmiałego ducha inicyatywy z zimną kalkulacyą rozważnego strategika byłyby uwieńczone pomyślnym dla całej kampanii 1831 roku skutkiem.

Tak się nie stało. Dwernicki od pierwszego swego pod Stoczkiem zwycięstwa był trzymany zdala od stolicy, zdala od głównej kwatery — był zdany na siły własne, na obrotność własną i instynkt, który mu dyktował co należy czynić wobec nieprzyjaciela i wobec coraz krzyżujących się i sprzecznych ze sobą rozkazów, otrzymywanych równocześnie i z głównej kwatery i od swego bezpośredniego przełożonego generała Klickiego. Z prób tych, mimo kilku złych pociągnięć, wychodził generał na ogół obronną ręką. Noga mu się powinęła dopiero po otrzymaniu rozkazu marszu na Wołyń.

Tak ekscentryczna wyprawa za Bug z słabem jeno i to odległem oparciem o Zamość, w strony co do których gotowości bojowej ani liczby sił rosyjskich tam rozłożonych niemal żadnego nie miano pojęcia w Warszawie, była rzeczywiście imprezą nader ryzykowną. Ale też skutkiem tego sztab główny, a ściślej mówiąc autor instrukcyi dla tej wyprawy Prądzyński, niewiele na nią ryzykował, bo ledwo półtora tysiąca jazdy, która szybkimi swymi ruchami mogła wywołać konsternacyę w obozie nieprzyjacielskim, mogła pobudzić tamtejszych mieszkańców do insurekcyi, mogła wreszcie napadając na słabo konwojowane dowozy wszelkiego rodzaju zapasów, a zarazem unikając poważniejszego starcia czynić skuteczną dywersyę na tyłach nieprzyjaciela. Ryzyko więc było stosunkowo nieduże a skutki przy sprzyjających okolicznościach mogły być wcale poważne.

Ale Dwernicki spaczył zupełnie i pierwotną myśl tej wyprawy i jej wykonanie, biorąc przez swe nieposłuszeństwo cały korpus na tę ekspedycyę. Ryzyko jej przez to niepomiernie zwiększał, a sobie

działalność znacznie utrudniał, ponieważ tak liczny korpus był nadto wpadającym w oko przeciwnika objektem, by mógł bezkarnie i bez ściągnięcia sobie na kark znaczniejszych sił nieprzyjacielskich wykonywać swe poruszenia, co znowu ogromnie krępowało swobodę jego ruchów, a tem samem czyniło główny cel tej wyprawy trudniejszym o wiele do osiągnięcia.

Dwernicki w jednym ze swych raportów do Naczelnego Wodza tak określał cele swej ekspedycyi za Bug: „Wszedłszy na Wołyń oprócz zrobienia ogólnego powstania w tamtych prowincyach działać będę tak, abym utrudniał dowóz żywności i amunicyi do armii Diebitscha i odwrót tegoż, gdy będzie z naszej ziemi uciekał". Z czego jednak faktycznie nie wiele zrobił, bo choć miał skierowaną uwagę na tamtejsze powstanie, do życia ich nie powołał, a co do akcyi na połączenia Diebitscha to ledwo rozgromienie pod Poryckiem Kargopolców i zabranie transportu 300 worów mąki może być od biedy do tego zaliczone.

Zresztą Dwernicki, wkraczając ze swym korpusem na Wołyń, naprzód bardzo mało poświęcał uwagi nieprzyjacielowi, a następnie rozpoczął prowadzić regularną wojnę z Rüdigerem. Coprawda taka bitwa pod Boremlem mogła wśród innych okoliczności świetne nawet wyrobić generałowi imię, lecz wobec wyniku końcowego całej ekspedycyi poszła na marne i w zapomnienie.

A sam epilog wyprawy? Ten od chwili, w której Dwernicki wybrał w swym wołyńskim marszu drogę wzdłuż granicy austryackiej, od której ledwo na krótki czas dał się oderwać, był bardzo łatwy do przewidzenia. Taki też los przepowiadali mu oficerowie austryaccy Caboga i Stutterheim, jeszcze w połowie marca, a więc kiedy stał pod Zamościem. Mógł tej ostateczności Dwernicki uniknąć, gdyby był chciał się trzymać instrukcyi i posuwać się Polesiem, gdzie był i grunt odpowiedni i gdzie niczem niekrępowany mógł przenosić się z miejsca na miej-

sce dowolnie. Ale generałowi przetrudna była Prypeć, wolał granicę obcego mocarstwa. Rachuba jak najgorsza, bo gdy przez rzekę, choćby i najszerszą zawsze się znajdzie miejsce stosowne do przeprawy, to przeniesienie swych sił za obcą granicę równa się zatopieniu całego korpusu.

Tej różnicy Dwernicki nie widział. Przeciwnie na blizkości granicy budował wielkie nadzieje, stamtąd czerpał żywność, tam zostawiał rannych i bagaże, a zwiedziony temi drobnemi ułatwieniami, uczynił fatalny krok, rozpoczął z przybyłymi do niego austryackimi oficerami i urzędnikami porozumiewać się co do przejścia na terytoryum cesarskie całego korpusu, a gdy wkońcu Rüdiger silniej począł nań następować, generał kazał trąbić na odwrót i schronił się na ziemi galicyjskiej.

W pamiętnikach swych bronił tego smutnego kroku Dwernicki tą głównie okolicznością, że huzarzy rosyjscy przekroczyli granicę austryacką i z tej strony poczęli zagrażać jego prawemu skrzydłu i tyłom. Pewnie, że to jest argument, ale w tym wypadku nie chodziło o utrzymanie się na pozycyi, ale o utorowanie sobie drogi i to nie do Galicyi, ale albo na Podole, albo na północ w stronę Polesia. Obowiązkiem więc generała było zebrać w ściśnięte kolumny swój korpus i jakby taranem rzucić się przebojem przez pierścień otaczających go ze wszystkich stron wojsk rosyjskich. Zapewne nieobyłoby się było i bez dużych strat, ale istnienie całego korpsp byłoby może uratowane.

Tego Dwernicki nie zrobił. Ocalił życie kilku tysięcy, ale zaprzepaścił ich dla sprawy. Innym zaś tym postępkiem dał zgubny przykład, w jaki sposób bez narażenia się na niebezpieczeństwa uniknąć można walki, przykład, za którym poszedł potem i Giełgud i Ramorino a wreszcie cała polska armia!

Są winy, których nie okupi nawet geniusz.

□□□□□□□□□

BIBLIOGRAFIA.

I. Źródła rękopiśmienne.

Archiwum X. X. Czartoryskich w Krakowie Ms. Nr. 5300 i 3939.
Archiwum kniaziów Puzynów w Gwoździcu.
Archiwum hr. Dzieduszyckich Miscell. IV. 8 a.
Archiwum wojny w Wiedniu, Feldakten.
Archiwum państwowe we Wiedniu i Lwowie.
Biblioteka Ossolińskich Ms. Nr. 3796, 900.

II. Literatura drukowana.

Dwernicki. Pamiętniki. Lwów 1870.
A. Dunin. Działania korpusu jenerała Dwernickiego: Pamiętnik emigracyi wyd. przez M. Podczaszyńskiego. Cz. I. i III. Paryż 1832—33.
Różycki Karol: Uwagi nad wyprawą jen. Dwernickiego na Ruś. Bruxella 1837.
Dwernicki: Odpowiedź na pismo pod tytułem „Uwagi K. Różyckiego nad wyprawą jen. Dwernickiego na Ruś" Londyn 1837.
Wrotnowski: „Powstanie na Wołyniu, Podolu i Ukrainie" Paryż 1837. I—II.
Barzykowski: Historya powstania listopadowego. Poznań 1884 T. II—III.
Mochnacki: Powstanie narodu polskiego. Paryż 1844.
Mierosławski: Powstanie narodu polskiego. Paryż 1845.
Prądzyński: Pamiętniki, opracował Bron. Gembarzewski. Kraków 1909. T. I—II i IV.
Smitt: Feldherrn-Stimmen. Lipsk 1848.
Smitt: Geschichte des polnischen Aufstandes und Krieges in den Jahren 1830-31. Berlin 1839. T. I—II.
Willisen: Theorie des grossen Krieges. Leipzig 1868. T. I—II.
Kołaczkowski: Pamiętniki. Kraków 1900. T. III—IV.
Kruszewski J.: Pamiętniki z 1830-31. Kraków 1890.
Puzyrewski: Polsko-russka wojna. Petersburg 1880.
Brzozowski: La guerre de Pologne. Lipsk 1883.
Zamoyski Władysław. T. II.
Dembowski: Moje wspomnienia. Petersburg 1898. T. II.
H. Kunz: Der russisch polnische Krieg von 1831. Berlin 1890.
Chołodziecki J. B.: Korpus Dwernickiego w granicach Austryi. Lwów. 1913.
Pawłowski Bron.: Wyprawa jenerała Dwernickiego na Wołyń. Biblioteka Warszawska 1907. T. IV.
Pawłowski Bron.: Dwernicki w Austryi. Kwartalnik historyczny 1912.

Z cyklu „BOJE POLSKIE“ tom IV:

CZACHOWSKI

przez

STANISŁAWA DŁUGOSZA

z obrazem na okładce i ilustracyami

MARYANA RYBKOWSKIEGO,

z mapą województwa sandomierskiego
i planami bitew

pojawi się

z końcem maja b. r.

i będzie do nabycia

we wszystkich księgarniach.

ST. FRANCIS ATHOL SPRINGS